

KRYMINALNE INTRYGI
GABRIELA CABALLERO #3

PABLO POVEDA KLATWA KRABA



Klątwa Kraba



Pablo Poveda

Original work copyright ©2017 by Pablo Poveda
Tytuł oryginału: La Maldición del Cangrejo

Okładka: ©2017 Pedro Tarancón
Przeład: Piotr Jarco
Redakcja: Natalia Grzeszczak

autornia

www.autornia.com

ISBN 978-83-959582-4-3 (wersja EPUB)

ISBN 978-83-959582-5-0 (wersja MOBI)

Copyright ©2022 by Studio Link Piotr Jarco
tel:691962519

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentów niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą elektroniczną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym, optycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Spis treści

Klątwa Kraba

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

O autorze

*Oczekiwanie, nastawione na jutro,
a marnujące dzień dzisiejszy
stanowi największą zawadę w życiu.
- Seneka Młodszy -*

1

Promienie słońca odbijały się w dębowej komodzie stojącej przy wezglowiu łóżka. Chwyciłem kieliszek wina i upiłem łyk. Grymas wykrzywił mi twarz – było mocne. Spojrzałem w lewo i zobaczyłem anioła o ciemnozłoty włosach. Spał obok mnie pod białym prześcieradłem z głową opartą na łokciu. Nazywał się Valentina. Och, Valentina, cóż to była za noc! Podniosłem się ostrożnie, aby nie zakłócać jej spotkania z Morfeuszem, złapałem majtki i żwawo wyskoczyłem z łóżka.

Wtedy otworzyła oczy. Wyjrzałem przez okno. Zapowiadał się wspaniały dzień.

– Dokąd się wybierasz, Gabriel? – zamruczała zaspanym głosem.

– Kupić coś na śniadanie – odpowiedziałem. – Jest coś otwarte w pobliżu?

Z okna na czwartym piętrze widziałem niewielką zatokę, krystaliczne morze i plażę, prawie pustą z racji wczesnych godzin porannych. Palma była miastem zakamarków, przygód i tajemnic. Byliśmy jednym z jej sekretów. Piękna Valentina skończyła niedawno dwadzieścia pięć lat. Spotkaliśmy się przypadkiem. To był jeden z tych zbiegów okoliczności, który miał swój początek w barze gdzieś pomiędzy jednym kieliszkiem a drugim. Tak właśnie się poznaliśmy, w jedną z pierwszych nocy mojego zasłużonego urlopu. Dałem się ponieść. Przyznaję. Ale tak mi zasmakowało, że chciałem to powtórzyć. Byłem w knajpie przy plaży i zauważyłem ją, kiedy szukała miejsca przy barze. Postawiłem jej gin z tonikiem i już po kilku godzinach jechaliśmy taksówką na drugi koniec promenady.

To już trzeci poranek budziłem się wtulony w aksamitną skórę Valentiny, wdychając świeże nadmorskie powietrze. Szybko uświadomiłem sobie, że apartament, w którym byliśmy nie należy ani do niej, ani do jej rodziców, ani nawet do żadnego innego krewnego. Z pewnością też go nie wynajmowała. Mieszkanie – urocza kawalerka z marmurowymi podłogami i wąskim balkonem z widokiem na morze – było prawdopodobnie własnością jej kochanka. Nic o tym nie mówiła, a ja wolałem nie dopytywać, chociaż istniało ryzyko, że wyżej wspomniany osobnik pojawi się tu wcześniej czy później i pewnie nie będzie zbyt zadowolony.

– Wracaj do łóżka – rozkazała. – Jest jeszcze wcześniej...

Miałem dziwne przeczucie. Coś mi tutaj nie grało.

– Idę na krótki spacer – odpowiedziałem. – Kawa i rogalik?

Valentina odwróciła się. Nagle usłyszeliśmy dochodzący z ulicy dźwięk klaksonu. Uniósł głowę i spojrzała na mnie.

Włożyłem szybko spodnie, zapiąłem koszulę i chwyciłem swoje rzeczy. To musiał być on, ale jak się o nas dowiedział? Tego nie wiem do tej pory.

Otworzyłem drzwi. Stał w nich mężczyzna z włosami ułożonymi na żel i zaczesanymi na tył głowy, w żółtej koszulce polo z podniesionym kołnierzem, szortach w kolorze khaki i niemodnych już okularach Ray-Ban. Miał nietęgą minę. Na jego szyi widać było pulsującą nabrzmiałą tętnicę.

– Kim u diabła jesteś? – krzyknął, chowając do kieszeni klucze do mieszkania. – Valentina?

Valentina okryła się prześcieradłem.

– Rodrigo! – zaczęła. – Mogę ci to wyjaśnić...

Znałem takie historie i dobrze wiedziałem, jak się kończą.

– Ty dziwko! – wrzasnął.

Próbowałem ulotnić się po angielsku, ale stanął mi na drodze.

– Nigdzie nie pójdziesz.

Wyjął z kieszeni składany nóż.

– Uspokój się, Rodrigo – błagała Valentina, ale on już nie słuchał.

– Mam coś dla ciebie – krzyknął ponownie. – Tak, dla ciebie. Nie wiem, kim jesteś, ale obetnę ci jaja!

Czasami nie warto wdawać się w dyskusje. Mówią, że przemoc to ostateczność, że problemy można rozwiązać za pomocą słów i rozumu. Rodrigo jednak nie wyglądał na osobnika, który byłby gotów usiąść przy stole i porozmawiać o tym, co skłoniło mnie do sypiania z jego dziewczyną. Miał w sobie tyle nienawiści, co żelu we włosach. Nie miałem cienia wątpliwości, że nie omieszka użyć noża, by pozbawić mnie męskości.

Chwyciłem kieliszek wina stojący na komodzie i chlusiłem jego zawartością prosto w twarz Rodriga. Wrzasnął. Szczęście po raz kolejny się do mnie uśmiechnęło. Rogacz nie zdążył się uchylić i cała zawartość wylądowała w jego oczach. Teraz miał już dość powodów, aby odciąć mi cokolwiek, co tylko zechce.

Wybiegłem z mieszkania bez pożegnania z Valentiną. Zbiegłem schodami na dół i puściłem się pędem, jak gdyby od tego szaleńczego biegu zależało moje życie. Choć właściwie po trosze właśnie tak było... Biegłem ile sił w nogach, a ten drań prawdopodobnie za mną.

Biegąc ulicą, nadal słyszałem jeszcze odgłosy ciosów i płacz Valentyny, która bezskutecznie starała się uspokoić kochanka.

Na drodze stał źle zaparkowany czarny kabriolet BMW Z3. To był samochód tego dupka. Pobiegłem w kierunku taksówkarza, który, oparty o drzwi samochodu, palił papierosa. Na głowie miał reklamową czapkę soku Zumosol.

- Do portu! - krzyknąłem z odległości kilku metrów.

Wskoczyliśmy do przedpotopowego Forda Sierry, którego wewnątrz zalatywało starością. Taksówkarz wyrzucił niedopałek papierosa przez okno i ruszył.

- Spieszmy się? - zapytał i roześmiał się.

- Daj pan czadu! - rzuciłem. - Zaraz ucieknie mi prom.

- Wedle rozkazu - powiedział i wcisnął gaz.

Serce mi waliło, a żołądek miałem ściśnięty jak pięść.

Ech! Valentina! Teraz zapłaci za mnie i wszystkich kolegów, którzy przewinęli się przez jej łóżko. Biedna dziewczyna. Nie umiała tego odpowiednio rozegrać. Zapewne też nie był to jej pierwszy raz. Możliwe jednak, że ten baran jej wybaczy. Stracił rogi, ale zostały mu nogi - nogi Valentyny, a te były cudowne. Ludzie byliby przerażeni, gdyby znali te wszystkie historie, które dzieją się za drzwiami sąsiadów. Valentina była jak zagubiona wróżka, która kusiła zakazanym kwiatem i odbierała innym to, co i tak do nich nie należało. Takie jest życie.

W radiu spiker monologował w wyspiarskim narzeczu, podobnym trochę do języka katalońskiego. Paco de Lucía grał na gitarze, a przez uchylone okno wpadały zapachy dobiegające z plażowych barów i restauracji.

- Spójrz pan, czy ja śnię...? - zawołał kierowca. - Ten facet jest *chalo*¹.

Z przerażeniem patrzył w lusterko wsteczne. Odwróciłem się i zobaczyłem, że zbliża się do nas czarny pysk Z3, a w nim Rodrigo z odporną na wiatr żelową fryzurą i twarzą czerwoną jak arbuz. Najwyraźniej miał zamiar nas staranować.

- Gaz! Gaz do dechy! - rozkazałem i wystawiłem głowę przez okno. - Musimy go zgubić. On nas ściga!

Kierowca wzruszył ramionami.

- W co ty się wplątałeś, młody człowieku?

- W jedną ze spódnic - odpowiedziałem. - Dość krótka.

- *Mare de Déu*²... - westchnął. - Lepiej mi było poczekać na Niemców.

Ford Sierra oderwał się od ziemi tak gwałtownie, że moje pośladki wgniotło w siedzenie. Taksówkarz omijał ślepe zaułki i emerytki z wózkami na zakupy. Chwyciłem zagłówek pasażera. W radiu słychać było cygańską muzykę, a ja modliłem się do wszystkich wyblakłych kalendarzy z Najświętszą Panią i zdjęć Chrystusa, które mężczyzna zgromadził na desce rozdzielczej.

Zmrużyłem oczy i obejrzałem się za siebie, ale czarny wóz Rodriga zniknął.

W wieży kościoła rozbrzmiał dzwon.

- Nieźle, nieźle... - powiedział taksówkarz, śmiejąc się na całe gardło. Nagle zatrzymał samochód i odwracając się do mnie zapytał - Nie masz nic przeciwko, że sobie zapalę, prawda? Żona zwykle mi nie pozwala...

Rozglądałem się wokół, ledwo rejestrując to, co do mnie mówił.

- Na tym etapie możemy przejść na ty, młodzieńcze. Nie mam nic przeciwko.

Rzuciłem na niego okiem. Wyglądał na ożywionego i piekielnie nakręconego.

- Ruszaj! - krzyknąłem.

Asfalt zadymił, zapisały opony, a woda z kałuży ochlapała chłopca z lodami, który razem z matką przechodził właśnie obok nas. Rozpędziliśmy się do 130 kilometrów na godzinę w samym centrum miasta, stawiając na nogi chyba całą policję Palmy. Prawdziwa dyskoteka. Żołądek podszedł mi do gardła, zbłądłem jak kałamarnica i żałowałem, że Ford Sierra to nie DeLorean, a fikcja kinowa nie jest prawdą. Chciałem, aby na końcu promenady czekał na mnie wehikuł czasu, który przeniósłby mnie w przyszłość lub gdziekolwiek

indziej, byleby tylko wściekły Rodrigo mnie nie dopadł. Jednak – jak mówi piosenka – marzenia są tylko marzeniami, a ja byłem zwykłym uciekinierem, który przespał się z nieodpowiednią osobą.

Taksówkarz świetnie się bawił. Podgłośnił radio i zabębnił palcami o kierownicę.

– Olé, olé – podśpiewywał. – Czy wiesz, że za młodu byłem kierowcą wyścigowym?

W tym momencie słowa te były dla mnie jak miód na serce. W końcu za nami pędziły dwa radiowozy i kabriolet BMW.

I znowu szczęście się do mnie uśmiechnęło. Z ulicy prostopadłej do promenady wyjechał piętrowy autobus pełen turystów z gołymi torsami.

Taksówkarz wcisnął pedał gazu, ominął autobus i zgubił pędzącą za nami kawalkadę. Kilka sekund później rozległ się głośny huk wpadających na siebie samochodów. Usłyszałem dźwięk klaksonów a potem kolejne uderzenia i brzęk pękających szyb.

Wjechaliśmy w dzielnicę zaniedbanych ulic i domów z wymalowanymi sprejem fasadami. Wrzawa za nami powoli cichła.

Resztę drogi jechaliśmy w milczeniu. Port był blisko. Widziałem już statki i prom, z którego na ląd schodzili złaźnieni nocnego szaleństwa turyści. Wyglądali na mocno podpitych. Z zadumy wyrwał mnie zapach smoły i oleju. Morze przypominało mi o moim domu, a jego bliskość pomagała myśleć racjonalnie. Ludzie z wybrzeża muszą być blisko morza. Inaczej czeka ich śmierć na skutek depresji w górskim schronisku. To nie były moje spostrzeżenia: czytałem o tym w prowincjonalnym dodatku niedzielным.

Zaparkowaliśmy w drugim rzędzie obok kontenera na odpady. Wyjąłem portfel i wręczyłem taksówkarzowi prawie wszystko, co miałem.

– Zachowaj to dla siebie. – Powiedział i uśmiechnął się szczerze. – *Mare de déu*, już dawno tak dobrze się nie bawiłem.

– Przyda się panu... na wydatki – nalegałem.

– Nie ma mowy! – odparł.

– Dziękuję – odpowiedziałem.

– A ty – dodał – posłuchaj, następnym razem nie będziesz miał tyle szczęścia. Nie myśl, że wszyscy są tacy jak ja.

– Wiem, wiem. – mruknąłem. Usłyszałem syrenę na promie. – Muszę już iść.

– A mówiłem ci, że za młodu byłem pilotem?

Wysiadłem z Forda Sierry i w podskokach ruszyłem do kasy biletowej. Po raz ostatni spojrzałem na taksówkarza. Z przyklejonego do dolnej wargi papierosa leciał dym, a on machał do mnie jak ojciec żegnający syna, który wybiera się na szkolną wycieczkę.

Po wejściu na statek poszedłem od razu na rufę, gdzie znajdował się bar i taras. Zamówiłem piwo. Słońce odbijało się w morzu. Pary oparte o poręcz tuliły się do siebie jak w kinie. Wokół krążyły mewy, którym dzieci rzucały resztki chleba z porannej kanapki. Spaleni słońcem i odwodnieni turyści chowali się za okularami przeciwsłonecznymi i pod słomkowymi kapeluszkami. Gloria! Pogratulowałem sobie w duchu przebiegu wypadków i podziękowałem Bogu za to, że zesłał mi takiego kierowcę.

Upiłem łyk piwa – było tak chłodne jak Blanka Desastres. Zacząłem o niej myśleć. Ciekawe, gdzie teraz jest i z kim się spotyka...

– Za twoje zdrowie, Blanka – powiedziałem do siebie i wzniosłem toast.

Nagle dobiegł mnie czyjś wrzask. Przypominał ryk rozwścieczonego goryla.

– Skurwysynu! Zabiję cię! Ty sukinsynu!

Rozpoznałem ten głos. To był on. Nie miałem pojęcia jak, ale jakimś cudem dostał się na prom. Szczęście zesłało mi jedynie krótką chwilę wytchnienia.

Zaległa cisza – przestraszeni ludzie schodzili mu z drogi. Odwróciłem się i zobaczyłem Rodriga w rozpiętej koszuli i złotym łańcuchu na szyi. Był zdyszany, a jego bordową z wysiłku twarz pokrywały liczne zadrapania. Podkasał rękawy, odsłaniając złoty zegarek, złapał za stolik i cisnął nim we mnie.

– Zabiję cię! – krzyczał rozwścieczony. – Podejdź tutaj, bohaterze! Zabiję cię!

Zaczął rzucać we mnie czym popadło: krzesłem, plażowym leżakiem, następnie butelką, szklanką, wazonem, a nawet widelcem.

Odważny – jak zawsze – zacząłem uciekać na pomost, ale prześladowca przeciął mi drogę.

– I co teraz? – zadrwił, stojąc kilka metrów ode mnie. Z kieszeni wyjął nóż. – Chodź odważniaku, podejdź no tutaj.

– Rodrigo, możemy to załatwić na spokojnie. Porozmawiajmy – powiedziałem. – Wszystko da się załatwić.

– Nie wymawiaj mojego imienia – warknął wściekły. – Zabiję cię!

Rozpędził się i wycelował we mnie głowę z tłustymi nażelowanymi włosami. Instynktownie zrobiłem unik – niczym rasowy torreador. Z boku dobiegło mnie kilka „olé”. Byłem od niego szybszy. Próbowałem go obezwładnić, ale udało mi się jedynie wytrącić mu z ręki broń, która upadła kilka metrów dalej. Rodrigo odwrócił się i zadał mi dwa ciosy, aż padłem na ziemię. Publiczność przyglądała się mojej klęsce. Usłyszałem ciche „och” i dziecko piszczące: „tato, on go zabije!”. Leżąc obok poręczy na samym końcu rufy, zobaczyłem jak Rodrigo podnosi z pokładu składany nóż. Kręciło mi się w głowie. Na przemian widziałem jego szorty w kolorze khaki, twarz Valentyny i taksówkarza wykrzykującego: „olé, olé”. Czułem niemoc. Rodrigo podszedł do mnie tak blisko, że fałdy brzucha wystające zza rozchyłonej koszuli znajdowały się tuż nad moją głową. Miał rozszerzone źrenice, jak gdyby był po paru kreskach kokainy. Trzymał nóż w ręku i szukał zemsty.

– Co teraz, odważniaku? – wykrzyknął. – Co teraz?!

W przypływie adrenaliny przesunąłem wzrok na kostki jego stóp i kopnąłem w nie z całej siły. Rodrigo upadł bezwładnie, rozcinając sobie przy okazji wargę. Ciężko poturbowany wstałem szybko, złapałem go za kołnierz koszulki i przeciągnąłem jego ciało na drugi koniec pokładu.

– Nie! Nie! – krzyczał. – Tylko nie do wody!

Spodziewając się owacji ze strony mojej publiczności, pchnąłem go do morza tak, jak wrzuca się tabletkę aspiryny do szklanki wody. Patrzyłem na Rodriga jak pływa w morzu i błaga o pomoc, machając rozpaczliwie rękami na załogi innych łodzi.

Niestety jednak gdy tylko się odwróciłem, zorientowałem się, że nie tylko nie będzie tu żadnych owacji, lecz także, że moja publiczność właśnie pokazuje mnie palcem kilku dżentelmenom w zielonych strojach. W oddali zobaczyłem Valentynę. Uśmiechnąłem się do niej, ale nie wyglądała na zbyt dumną z mojego wystąpienia.

Słońce odbijało się w tafli morza. Na pokładzie nie było już jednak ani żadnych par udających pasażerów Titanica, ani dzieci karmiących ryby.

Poczułem nagły przypływ fali zakłopotania i wstydu spowodowanego swoim brakiem dojrzałości.

Wiedziałem, że to koniec moich wakacji.



1 Wariat

2 Matko Boska

2

Służby ratownicze wyciągnęły oszołomionego niespodziewaną lekcją pływania Rodrigo z wody. A mnie zatrzymali funkcjonariusze Guardia Civil i grzecznie zaprosili pod pokład w celu złożenia wyjaśnień.

Pół godziny później jeden z przesłuchujących mnie funkcjonariuszy bazgrał coś w notesie z wyrazem niedowierzania na twarzy.

Oczywiście musiałem pominąć część historii.

– Proszę zapytać kogokolwiek – tłumaczyłem. – Zamierzał ugodzić mnie nożem!

– I potwierdza pan, że powodem była kobieta? – spytał funkcjonariusz stojący w drzwiach. – Tak?

– Ale ja nic nie zrobiłem – powtarzałem uparcie. – Valentina, ma na imię Valentina. Przed chwilą widziałem ją na statku.

– Szukanie Valentiny na promie – zaczął funkcjonariusz, który spisywał zeznanie – to jak szukanie igły w stogu siana.

– Valentina – powiedział funkcjonariusz w drzwiach. – Witaj, Valentino.

To musiał być ich jakiś tajny kod, bo nic z tego nie rozumiałem. Wolałem trzymać się mojej wersji wydarzeń, chcąc jak najszybciej wydostać się stamtąd cały i zdrowy.

– Popełnił pan bardzo poważne przestępstwo – oznajmił ten, który spisywał zeznania. – Panie Caballero, nie zdaje pan sobie chyba sprawy z tego, jakie mogły być konsekwencje pańskich poczynań.

Jego partner zaśmiał się:

– Czym się pan zajmuje?

– Jestem dziennikarzem – odpowiedziałem.

– Taa... – powiedział beznamiętnie.

– Na pewno słyszeli panowie o mnie – zawahałem się i ciągnąłem dalej – o historii dziewczyny z sekty...

– Nie, nie przypominam sobie.

– Dziennikarz? – zapytał ten drugi.

– Tak – odpowiedziałem.

– Taa... – powtórzył funkcjonariusz, spisujący zeznanie.

Mężczyźni zamknęli mnie w kajucie przerobionej tymczasowo na areszt i wrócili dopiero po dwóch godzinach. Miałem czas zastanowić się nad tym, co się ze mną stanie. Nie znałem odpowiedzi, nie wiedziałem, jakie są konsekwencje wypchnięcia kogoś za burtę – zresztą, kto mógłby to wiedzieć? Strażnicy wrócili. Usłyszałem brzęk poruszającego się w drzwiach rygła. Mieli dla mnie wiadomości. Mężczyzna, który spisywał zeznanie, wydawał się wzburzony.

– Jak wrócimy do Dénii – oznajmił – możesz złożyć skargę, jeśli będziesz chciał.

– Tak – powiedział drugi mężczyzna – jeżeli będziesz chciał.

Znowu porozumiewali się szyfrem, którego nie rozumiałem.

– Pan Gracián – powiedział protokolant – nie złoży skargi przeciw panu.

Wybałuszyłem oczy ze zdumienia. Nie bardzo wiedziałem, co się właściwie dzieje.

– Tak – powiedział drugi z funkcjonariuszy, potwierdzając słowa partnera. – Nie złoży żadnej skargi. A pan, panie Caballero? – zapytał nieco ironicznie.

Protokolant wyraźnie sobie ze mnie drwił. Czy coś ich śmieszyło w moim nazwisku? Być może, ale chyba wolałem o to nie pytać.

– Więc mogę sobie iść? – zapytałem zdezorientowany. – Tak po prostu?

– Jeżeli chodzi o nas, tak. Ale musi pan porozmawiać jeszcze z policją.

Rodrigo Gracián najwyraźniej wolał nie szukać kłopotów. W przeciwnym wypadku musiałby wytłumaczyć funkcjonariuszom, jak udało mu się dotrzeć do promu swoim sportowym samochodem. Nawet pomimo szkód, jakie spowodował po drodze było to zdumiewające i zupełnie nie umiałem tego wytłumaczyć.

Nie znałem Rodriga Graciána, ale dziennikarski nos podpowiadał mi, że daleko mu było od wzorowego obywatela. Jakoś musiał za to wszystko zapłacić, nie brudząc sobie przy tym zanadto rąk. I mowa nie o

wypadkach na drodze. Nie. Miałem na myśli samochód, mieszkanie, ładną dziewczynę i litry żelu na głowie.

Dopłynęliśmy do portu. Kiedy czekałem na wyprowadzenie spod pokładu, zobaczyłem mojego przeciwnika. Był spięty, mokry i błady jak kałamarnica. Nie odezwał się do mnie.

Strażnicy posadzili nas na kamiennej ławce przy zejściu z promu. Opuszczający prom pasażerowie przyglądali się nam jakbyśmy byli zwierzakami w zoo.

- Popełniają panowie błąd - powiedział Rodrigo. - Rodrigo Gracián. Zapamiętajcie to nazwisko.

- Proszę liczyć się ze słowami - ostrzegł go funkcjonariusz.

- Pan jeszcze wróci z nami - dodał protokolant. - Jest kilka spraw, które musimy wyjaśnić.

- A pan - powiedział drugi, zwracając się w moją stronę - poczeka na policję.

- Takie są przepisy - oznajmił protokolant.

- Już mówiłem - powtórzył Rodrigo, siedząc na ławce. - Żądam prawnika. I to już! O co tu w ogóle chodzi?

- Proszę się uspokoić. Nie uważa pan, że już dosyć się pan wygłupił? - zapytał protokolant.

Dotąd nieustraszony Rodrigo - teraz bezsilny i zagubiony - patrzył na mnie błagalnym wzrokiem, abym nic nie mówił, choć wiedziałem że i tak, prędzej czy później (a raczej prędzej) ukręci mi łeb. Biedaczek. Musieli napędzić mu stracha.

Strażnik mruknął coś do krótkofalówki i zawiesił ją z powrotem przy pasku.

Usłyszałem za sobą czyjeś kroki. A raczej odgłos gumowych podeszew. Buty wojskowe.

- Dzień dobry, panowie - oznajmił poważny, znajomy głos. Nie spodziewałem się, że tak szybko go znowu usłyszę - Teraz my się nimi zajmujemy.

- Tylko tamtym - powiedział protokolant. - Tego drugiego zabieramy my.

Wielki cień zasłonił słońce, które pieściło moją twarz. I wtedy go zobaczyłem.

- Chryste... - wymamrotał. Nie wyglądał na zbytnio ucieszonego. - Pan Caballero.

To był Rojo. Inspektor Rojo. Nie widzieliśmy się od zakończenia ostatniej sprawy. Co tu robił? Dénia nie była jego rejonem i wątpię, aby przyjechał specjalnie po mnie.

Pojawił się drugi policjant, nowicjusz. Z jego postawy można było wyczytać, kto tu rządzi.

- Znasz go? - rzucił do Rojo. Był szczupły, miał blond włosy i jak na policjanta wyglądał dosyć awangardowo. Nie kreował się na twardziela, choć w jego spojrzeniu można było dostrzec coś mrocznego. Ból, dyscyplina, może także złe doświadczenie.

- Tak - odparł Rojo. - Porozmawiamy o tym później.

- Cóż, jeśli wszystko jest w porządku, to możemy już iść - rzucił protokolant.

Wyczułem w jego głosie drwinę.

- No właśnie - dodał drugi strażnik. - Odplynie nam statek. A żona, no wiecie...

- Jaka żona? - zapytał protokolant.

- Twoja, twoja... - odpowiedział jego towarzysz, drwiąc sobie dalej. - A ja nie chcę brać w tym udziału...

Jednocześnie wybuchnęli śmiechem. Przyłączyłem się do nich w odruchu braterstwa. Myślałem, że zdejną mi chociaż kajdanki. Ale nic z tego. Śmiech nagle się urwał. Wyższy wzrostem strażnik klepnął Rodriga w plecy, chwycił go za ramię i pomógł wstać z ławki. Nasze spojrzenia spotkały się ponownie. Jego wzrok zdawał się mówić, że mnie zabije - tak to przynajmniej zinterpretowałem. Przytaknąłem mu grzecznie jak psiak, któremu właściciel grozi kapciem. Strażnicy zabrali aresztanta na pokład. Pasażerowie czekający w kolejce na rejs obserwowali ich, plotkując żywo o całym zdarzeniu.

- Chyba już możecie mnie rozkuć... - powiedziałem ostrożnie. - Co?

Rojo spojrział na mnie z góry.

- Wygląda na to, że nasze drogi znów się krzyżują - oznajmił. Potem podrapał się po twarzy. - Mam nadzieję, że będziesz mógł to wytłumaczyć.

- Byłem na wakacjach - odpowiedziałem.

- Myślisz, że jesteś sprytny, co? - powiedział drugi policjant z rękami skrzyżowanymi na piersi.

- Tęskniłeś za mną, Rojo? - zapytałem, ignorując drugiego policjanta. - Widzę, że znalazłeś sobie ucznia.

- Uważaj na słowa - rzucił ostrzegawczo i wziął mnie pod ramię. Ruszyliśmy w stronę zaparkowanego na ulicy Citroëna. - Myślałem, że będziesz daleko albo jeszcze dalej. Tak daleko, że nie będę musiał cię oglądać.

- A jednak spotkaliśmy się - powiedziałem. - Co tutaj robisz?

- To poufne - rzucił towarzyszący mu policjant.

Spojrzałem na niego z niechęcią.

- Dalej pracujesz dla prasy? - zapytał Rojo.

- Tak przypuszczam - odpowiedziałem odruchowo.

Ile czasu minęło od naszego ostatniego spotkania? Całe lato? Czy jeszcze dłużej? Zamknięty w tylnej części samochodu, który pachniał cytryną i wanilią, a nie jak mój - rozwiązłością i nikotyną - wróciłem myślami do przeszłości.

Partner Rojo włączył radio.

- 13-20, słyszysz mnie?

- Co się stało?

- Kolejny napad z białą bronią. Ulica Fénix.

- Ofiary?

- Tym razem dwie, obie ciężko ranne. Wzywam pogotowie.

- Ruszam.

- Dalej, pospiesz się. Zachowują się dość agresywnie i stracili sporo krwi. Musieli coś zażyć. Nie wiem, jakim cudem stoją jeszcze na nogach.

- Domyśl się.

- Młodość...

- Mówię ci, że już ruszam.

- Tak... No dalej, jedź.

- Przecież to robię! Jestem już blisko.

Wiadomości w policyjnym radiu powtarzały się. Podobne sytuacje miały miejsce w innych częściach miasta.

- 13-20, gdzie ty, kurwa, jesteś?

- Musiałem zatankować, już jadę...

- Nie ściemniaj.

- Co się stało?

- Jeden z nich gdzieś zniknął.

- O czym ty mówisz?

- Wyślij wiadomość do wszystkich. Tylko tego było mi trzeba w moje urodziny...

- Ale jak udało mu się uciec?

- Skoczył do morza, tak po prostu, bez zbędnych ceregieli. Porąbaniec jakiś. Zawiadom wszystkich. Nie mógł uciec daleko. Niebieska koszula, cała we krwi. Dostał pięć ciosów nożem w plecy...

Rojo wyłączył radio i odwrócił głowę.



Minęło jedenaście miesięcy. Jedenaście miesięcy od spotkania z Rojo. Poprosił mnie wtedy o pomoc w pewnym dochodzeniu. Odmówiłem. Powiedziałem mu, że muszę odpocząć, że to nie dla mnie.

Nie wróciliśmy nigdy do tej rozmowy. Zacząłem pracę w redakcji na stanowisku wicedyrektora dziennika po przyjęciu propozycji od Armando Fuego. Nowy zespół, kilku zielonych stypendystów i dziewczyna od archiwum, nieco za wolna jak na moje wymagania.

Nie zabawiłem tam długo.

Zaczęła mi ciążyć presja akcjonariuszy spowodowana brakiem wyników. Nie nadawałem się na kierownika bandy reporterów gołowąsów. Jak mogłem zarządzać innymi, skoro sam nie potrafiłem wziąć odpowiedzialności za własne życie? Z początku uważałem się za sprytniejszego od innych. Jednak po dwóch miesiącach od awansu poprosiłem Fuego o spotkanie. Nie minęły dwie godziny i zostałem zwolniony. Dlaczego? Lepiej nie wiedzieć. Wziąłem kopertę z wypłatą w gotówce, ponieważ wtedy tak to się odbywało i opuściłem redakcję. Może z tego samego powodu przestałem spotykać się z Rojo, mimo że tęskniłem za jego towarzystwem.

Minęły święta Bożego Narodzenia, a ja dalej jechałem na zdobytej wcześniej reputacji. Wtedy moje życie było pełne blasku i sławy. Kilka gazet o zasięgu krajowym i międzynarodowym zainteresowało się moim reportażem i mną samym. Stałem się osobą znaną publicznie. Dostawałem barbarzyńskie kwoty za artykuły, w których pisałem o sobie, o innych, o wspinałym śródziemnomorskim stylu życia. Dzięki zarobkom z kilku pierwszych miesięcy mogłem sobie pozwolić na zaliczkę na mały, minimalistyczny apartament z ciekawszym widokiem niż panorama ze starej klitki ciotki. Nie miałem wielu potrzeb i nie lubiłem gromadzić niepotrzebnych mebli, które jedynie zajmowały miejsce. Przestrzeń była jedną z moich najważniejszych życiowych potrzeb, którą starałem się zaspokajać za wszelką cenę. Nie rozumiałem tych opętanych par, które

na dziewięćdziesięciu metrach kwadratowych gromadziły cały najnowszy katalog Ikea. Dla mnie to była głupota – taka sama jak wycinanie lasu pod ogród. Przestrzeń była dla mnie jak tlen dla żywej istoty. Była wyrazem antymaterialistycznej filozofii, dla której byłem zdolny zerwać relacje z płcią przeciwną.

Cisza i wewnętrzny spokój pozwalały mi cieszyć się widokiem, który miałem z balkonu. Muzyka w tle i zachody słońca z buteleczką zimnego piwa. Wymieniłem też starego Seata Ibiza na używane czerwone Porsche Boxter. Byłem pieprzonym królem miasta.

Jednak sława nie trwała długo i jakość moich tekstów, na skutek przesadnie częstego kaca, pogorszyła się. Nie wiedziałem, jak zapanować nad sytuacją. Spałem w dzień, a żyłem nocą. Kobiety, brak umiaru i portowe kasyna. I Martini – wierzyłem, że jestem Jamesem Bondem z zatoki Alicante.

Powrócił problem z poczuciem własnej wartości. Świat kręcił się wokół modnego wówczas słowa: *viral*. Moja historia stała się viralem – jak film na YouTube czy letnia piosenka. Prawdziwy wirus.

Włóczyłem się nocami po dzielnicy Barrio wśród leniwych turystów, którzy opóźniali powrót do swojego kraju. Zamknięte lodziarnie, stoliki pozostawione na zewnątrz. Nadszedł październik. Wróciły marynarki w szkocką kratę, powiało wilgocią z plaży i zrobiło się chłodno. W knajpie na rogu obniżono ceny drinków. Nie było już baru, w którym czułym się swojsko.

Świat o mnie zapomniał.

Ale nie wszystko było tak dramatyczne. Utrata pracy wcale nie była taka zła.

Przyszłość rządu regionalnego wyglądała dość ponuro. Polityka w kraju była bliska wybuchu. System dwupartyjny, przemiany demokratyczne i wszystkie te kwestie, które mało mnie interesowały, bo miały niewiele wspólnego z jazzem, kobietami lub barami – miały się zmienić kilka lat później.

Wyglądało na to, że wszystko dobrze się układa, ale były to tylko pozory. Nic więcej. Nikt nie był bez winy. Usłyszeliśmy o skandalach w lidze piłkarskiej, w które zamieszani byli niektórzy stali bywalcy ratusza. Teczki, koperty, kampanie wyborcze. Dostojnicy noszący drogie garnitury za kratkami. Najpierw Castellón, potem Walencja. Formuła 1. Koperty, więcej kopert. SMS-y i wiadomości e-mail. Kryzys wewnątrz partii. Głównie rozpyływało się we wszystkich kierunkach i docierało do nas. Miało pobrudzić wszystkich, w tym mnie.

Zająłem się kopertą, którą otrzymałem po odejściu z pracy. Miałem mnóstwo pieniędzy. Zyskałem czas na przemyślenia, na zebranie sił i powrót do pisania.

Napisanie powieści przywróciłoby mnie do życia.

Kolejny bezowocny plan, który skończył się na pomysł. Było listopadowe popołudnie i słońce już schowało się za horyzontem. W Radio3 japoński kwartet grał utwory Milesa Davisa i wtedy, po raz pierwszy od dłuższego czasu, zadzwonił dzwonek przy drzwiach.

Obierałem akurat ziemniaki na tortillę i zignorowałem go.

Dzwonek zadzwonił ponownie.

Chwyciłem nóż. Trzeciego kartofla zostawiłem na desce. Podszedłem do drzwi. Okno było otwarte, a wiatr z ulicy kołysał firanką w salonie.

Spojrzałem przez wizjer i otworzyłem drzwi.

To była Blanka.

Blanka Desastres.

Dziewczyna o tajemniczym spojrzeniu ze złych snów.

– Cześć – rzuciła i spojrzała na nóż, który trzymałem w ręku. – Spodziewałaś się kogoś?

– Ech... – zawahałem się. – Nie. Blanka. Co tu robisz?

Obok Blanki stała mała walizka na kółkach.

Miała na sobie czarną bluzkę, zieloną parkę i obcisłe dżinsy z dziurami. Kręcone włosy spięta z tyłu. Oczy miała czarne jak węgiel.

Blanka zrobiła krok do przodu, chwyciła mnie za głowę i pocałowała. Nasze usta złączyły się. W tle słychać było jeżdżącą w górę i w dół windę, roznoszącą po całym budynku zapach smażonej papryki.

Przez chwilę zapomnieliśmy o otaczającym nas świecie.

Blanka odchyliła się, musnęła językiem moją dolną wargę, pogładziła dwudniowy zarost i spojrzała mi w oczy.

Odjęło mi mowę.

– Zaprosisz mnie do środka?



Idylliczny zimowy romans. Żadne z nas nie wiedziało, jak się zaczął ani dlaczego się skończył.

Kiedy zobaczyłem Blankę w drzwiach, od razu domyśliłem się, o co chodzi.

Minęło trochę czasu, od kiedy rozstaliśmy się na dworcu. Wtedy zabrakło nam odwagi. Zachowałem się jak tchórz i pozwoliłem jej odjechać.

Jak widać jednak Blanka była innego zdania.

Zaprosiłem ją do środka i zaproponowałem, aby się rozgościła. Skomplementowała wystrój mieszkania. Kiedy z powrotem zabrałem się do smażenia tortilli, ona wyjęła dla nas piwo z lodówki i dotrzymując mi towarzystwa, zaczęła opowiadać.

Po naszym rozstaniu spróbowała szczęścia w Madrycie. Stolica przyjęła ją ciepło. Ona jednak marzyła o tym, aby przytulił ją ktoś inny. Nie mogła przestać myśleć o nas.

Przeszliśmy do salonu.

Zająłem się przygotowaniem kolacji, a Blanka usiadła na kanapie z puszką piwa Mahou w ręce.

Cały czas mówiła o sobie, o swoim życiu w Madrycie, o chłopaku, którego poznała i który zapraszał ją na kolacje. Powiedziała mi, że Malasaña³ zmieniła się, że praca freelancera jest wyczerpująca, a chłopak, z którym się umawiała, przestał jej stawiać kolacje, bo nie chciała iść z nim do łóżka. Tak wyglądało jej życie. Było inne niż moje, ale równie bezkształtne i próżne.

Zastanawiała się nad wyjazdem do Barcelony, Vigo lub Gijón, ale żadne z tych miejsc ostatecznie jej nie przekonało. Pewnego dnia, po nocnej imprezie z przyjaciółkami z wydziału, obudziła się skacowana i przygębiona. To był dobry moment na refleksję. Zrozumiała wtedy, że musi mnie znowu zobaczyć.

Ledwo powstrzymałem się od ironicznych oklasków. Pewnie dostałbym w twarz. Potakiwałem więc tylko głową, próbując nadążyć za jej potokiem słów. Czyżby mi się oświadczała? Nie. Może więc ze mnie drwiła? Nic już z tego nie rozumiałem. Czyżby faktycznie miała zostawić wszystko, żeby mnie zobaczyć?

Tortilla ostygła, a w puszcze zabrakło piwa.

Nadeszła moja kolej.

Zwierzenia Blanki tak mnie wciągnęły, że zapomniałem o jedzeniu, a wypity alkohol uderzył mi lekko do głowy.

Rzuciłem się na nią i zaczęliśmy całować się na kanapie. Od pocałunków przeszliśmy do bardziej intensywnych pieszczot. Słyszałem, jak oddycha głęboko. Rozebraliśmy się szybko. Zerwałem z niej stanik i cisnąłem nim w stronę kuchni. Nasze ciała się połączyły. Temperatura momentalnie wzrosła, gdy dysząc ciężko zaczęliśmy dotykać się nawzajem z jeszcze większą pasją. Kochaliśmy się. Bez pytań, bez komentarzy. Daliśmy się ponieść.

I tak wyglądały kolejne dni.

Życie toczyło się dalej, a my, całkowicie oddani miętności, robiliśmy to w kuchni, pod prysznicem, w galerii handlowej czy nawet w toalecie klubu Sala Stereo, gdzie występowały znane zespoły muzyczne. Bez kontroli i bez umiaru.

Kolejne dni wyglądały jak wyjęte z życia bohaterów fikcji literackiej. Powieści, z której ktoś wyrwał część stron. Wkrótce mieliśmy zmierzyć się z rzeczywistością, w której zacnie brakować pieniędzy na życie i trzeba będzie poszukać pracy. Mieszkać razem? Nie byłem na to przygotowany. Jeszcze nie.

Tańczyliśmy każdej nocy w barach Alicante do rytmu soul i radiowych piosenek. Ludzie wokół nas mogli nie istnieć. Byliśmy niepokonaną parą, bohaterami własnej nocy. Nie musieliśmy liczyć się z nikim. Żyliśmy w takt naszej własnej piosenki.

Stopniowo zaniedbywałem swoje nieliczne zobowiązania towarzyskie. Odmawiałem randek, wyjść na kawę i spotkań ze starymi znajomymi. Mieli przecież swoje rodziny, dziewczyny i pracę. Mieli wszystko co niezbędne, by być zwyczajną w swoim robotniczym czy mieszczańskim środowisku. Sukces zależał od stanowiska i listy kompleksów, które dźwigali na swoich barkach.

Wizyta Blanki dobiegła końca. Wróciła do Madrytu w Boże Narodzenie. Dołączyłem do niej kilka dni później. Poznałem jej brata – sympatycznego młodego faceta z aspiracjami do zdobycia fotela burmistrza. Byli jak dwie strony tego samego medalu. On – tłamsił resztki szaleństwa pod dobrze skrojonymi garniturami, ona – stawiała żelazne granice i trzymała go w ryzach.

Zatrzymałem się w pensjonacie przy Alberto Aguilera, a w przerwach między wizytami u jej rodziny spacerowałem po ulicach Madrytu. To znaczy, błąkałem się – tak się właśnie czułem. Nie było trudno zgubić się w tym wyjątkowo pięknym mieście. To miał być zimowy, romantyczny wyjazd z długimi spacerami w

parkach i włączędze po niezliczonych zaułkach – miłosne przeżycie w blasku świateł samochodów przejeżdżających Gran Vía.

Pewnego późnego wieczoru stałem pod budynkiem Carrión⁴ z ogromnym kolorowym neonem marki Schweppes i przyglądałem się przejeżdżającym samochodom, kobietom w ciepłych płaszczach, młodzieży z miejskich gangów, chaosowi, życiu. Czekałem na Blankę – na nie swój pociąg, na czarno-białe zakończenie w stylu *Nouvelle Vague*.

Blanka wyglądała na szczęśliwą. Pocałowała mnie. Wracała ze spotkania z przyjaciółkami – poczułem od niej zapach alkoholu. Oszczędziłem jej kazań. Były zbędne. Poszliśmy do baru koło pensjonatu i zamówiliśmy piwo, oliwki oraz sałatkę. Real Madryt grał u siebie. Bar był pełen rozemocjonowanych kibiców komentujących żywo mecz. Wszyscy zjednoczeni wokół jednej sprawy. Czy jest coś piękniejszego niż zbiorowe szczęście? Nie wydaje mi się. Mieszkałem w kraju, w którym bary pełniły rolę granicy między realnym życiem a fantazjami. Bar był schronieniem, miejscem odkupienia i duchowego oczyszczenia. Tu nikt nie podnosił pierwszy kamienia, nie zadawał pytań.

Siedzieliśmy oparci o siebie plecami w kącie baru. Śmiałyśmy się, piliśmy piwo. Co i raz wołaliśmy kelnera, aby napełnił szklanki, przeszkadzając mu w oglądaniu meczu.

– Ciekawe dokąd nas to wszystko zaprowadzi... – zastanawiała się głośno Blanka.

Wzniesiliśmy toast, spojrzeliśmy sobie w oczy i znowu poczułem owo znajome działanie łączącej nas chemii, która zawsze skracała dystans między nami.

Real Madryt wygrał. Byliśmy pełni euforii i nadziei. W oczach kibiców widać było coś więcej niż zwykła duma. Rozległo się głośne „olé”.

– Pepe! Daj mi ginu z tonikiem! – krzyknął obok mnie facet w różowej koszuli rozpiętej na piersi.

– Jeszcze jeden! Juanito ma dziś w końcu urodziny! – dodał ktoś spontanicznie.

Automat do gry obwieścił wygraną. Szczęśliwiec otrzymał żywiołową owację. Z szafy wysypało się mnóstwo monet.

– Wygrana! – krzyknął zwycięzca. – Zabieram jutro synów do Casa Lucio!

Spojrzeliśmy po sobie. Byliśmy świadkami dość znanej nam sceny – mieszanki radości z wygranego meczu i litrów wypitego alkoholu. Żegnajcie kryzysie, szara strefo i rachunki na koniec miesiąca. Żegnajcie przyjaciele, jak śpiewali Ramones. Alkohol podrażnił już moje neurony. Zapłaciłem, zanim nas wyrzucili, wziąłem Blankę za rękę i ruszyliśmy w dół ulicy w kierunku pensjonatu.

Kochaliśmy się.

Zapłataliśmy się w prześcieradłach. Tego dnia nie przysięgaliśmy sobie wiecznej miłości ani wierności.

Nie.

Zasnęliśmy z gorzkim posmakiem piwa na ustach.

Następnego dnia rano wziąłem szybki prysznic i zaraz po nim pojechałem do Blanki. Zajrzałem na chwilę do jej mieszkania i powiedziałem, że czekam na nią w barze obok. Zamówiłem mocną czarną kawę i zabrałem się za pisanie listu pożegnane.

Byłem świadom, że większość związków ma swój początek i koniec. Tylko nieliczne są na zawsze. Większość umiera po drodze, tu i teraz. Nasz czas dobiegł końca.

Może wszystko potoczyło się zbyt szybko. Może nie byłem na to przygotowany. Wcześniej czy później Blanka będzie chciała czegoś więcej, będzie chciała związać się na stałe, żyć na poważnie i stworzyć parę według tradycyjnego modelu narzuconego przez społeczeństwo. Być może spotkaliśmy się w najmniej odpowiednim momencie naszego życia.

Blanka weszła do kawiarni uśmiechnięta. Wyglądała pięknie z włosami upiętymi w samurajski kok. Kelner uśmiechnął się do niej i zapytał co podać. Usiadła obok i pocałowała mnie w policzek.

– Jak się masz? – zapytała.

Upiłem łyk kawy, objąłem ją w talii i dyskretnym ruchem wsunąłem liścik do tylnej kieszeni jej spodni.

– Spałaś dobrze?

– Spiałam w lepszych miejscach... – mruknęła. Kelner postawił kawę z mlekiem na metalowym barze. Blanka podziękowała i upiła łyk. – Coś się stało?

Musiała zauważyć, że byłem przygnębiony. Spojrzałem na barowy zegar. Mój pociąg odjeżdżał za dwie godziny. Będę tęsknił za Madrytem, za samotnymi spacerami w świetle neonów. Czas zleciał mi tu tak szybko... Nie mogłem uwierzyć, że spędziłem tu tyle dni.

– Muszę wyjechać – oznajmiłem chłodnym, ale nie do końca pewnym tonem.

Blankę zamurowało.

Pocałowałem ją w policzek i wyszedłem zanim zdążyła się rozpłakać.

Tego ranka było zaledwie pięć stopni, ale słońce grzało wyjątkowo przyjemnie. Miasto budziło się w dobrym nastroju. Na ulicy panował niewielki niedzielny ruch. Pobliskie bary rozsiewały po okolicy duszący zapach smażonego oleju.

Po chwili Blanka wybiegła za mną.

– Wyjeżdżasz? Tak po prostu? Tak bez słowa? – krzyczała za moimi plecami. – Jesteś dupkiem!

Szedłem dalej, nie oglądając się za siebie. Wejście do metra było coraz bliżej, a ja stawałem coraz krótsze kroki i coraz bardziej przyspieszałem.

Odwrociłem lekko głowę i kątem oka zobaczyłem postać Blanki. Nie było mi łatwo.

Wzięłem głęboki oddech i schodami podziemnymi dotarłem do peronu, skąd metro zawiozło mnie na dworzec kolejowy.

Byłem tchórzem. Zapamiętam ten dzień na całe życie. Widziałem już ludzi robiących gorsze rzeczy, ale i tak czułem się ze sobą paskudnie. Zastanawiałem się co sprawia, że czasami postępujemy tak żałośnie. Przypomniałem sobie mimowolnie scenę, której byłem kiedyś świadkiem. To było na lotnisku w Barcelonie. Jakaś dziewczyna rozstawała się ze swoim chłopakiem. Siedziałem obok nich, rozwiązywałem akurat krzyżówkę, czytałem artykuł o Bradzie Pittcie i popijałem kawę. Mieli zaplanowane wakacje. On wydał fortunę, żeby z nią wyjechać. Chciałem mu powiedzieć, żeby się nie martwił, że nie jest sam, że to samo przytrafiło się Bradowi Pittowi, kiedy pojechał do Kalifornii zobaczyć swoją dziewczynę (w artykule napisano, że związała się z jakimś producentem z Hollywoodu). Chciałem powiedzieć mu, że może być następnym Bradem Pittem, i że to tylko taka lekcja od życia.

Jednak nie zrobiłem tego, to nie była moja historia, nie mój problem.

Kiedy wszystko się kończy, a nasze serce przestaje bić dla drugiej osoby, stajemy się samolubni, nikczemni i bezduszni. Oszukujemy samych siebie, wmawiając sobie, że przecież robimy to, co dla niej najlepsze, a tak naprawdę, myślimy tylko o sobie i o własnej przyszłości.

Tego dnia ja również myślałem wyłącznie o sobie. Zachowałem się nieuczciwie wobec Blanki. Ale później, w pociągu, poczułem się dziwnie lekko. Zrzuciłem z siebie ogromny balast emocjonalny. Jednym pociągnięciem pióra skreśliłem Blankę z mojego życia.

Nadeszła zima, którą spędziłem w Alicante. Wróciłem do pisania. Literaturę łączyłem z pisaniem krótkich felietonów dla prowincjonalnych gazet oraz sporadycznymi wykładami na uniwersytecie. Powodzenie mojej ostatniej historii wystarczyło, aby podtrzymać swoją wegetację do nadejścia wiosny.



3 Dzielnica Madrytu

4 Budynek w Madrycie będący ikoną ulicy Gran Vía

Dojechaliśmy w okolice dworca kolejowego.

– Wygląda na to, że znowu ci się upieczą – rzucił do mnie z ironią Rojo.

Radiowóz zatrzymał się i inspektor zdjął mi kajdanki. Popatrzyłem na odjeżdżający radiowóz i poczułem pragnienie. Potrzebowałem mocnego drinka. Chciałem zapomnieć o tym, co się wydarzyło i mieć powód do uzalania się nad sobą następnego dnia.

Doszedłem do ulicy Alfonso X El Sabio i usiadłem na tarasie irlandzkiego pubu The Duke. Wszystkie irlandzkie bary są identyczne, podobnie jak restauracje typu fast food. Chyba w każdym mieście można znaleźć lokal z drewnianymi stołami i ławami obitymi czerwonym skajem, z kolorowymi szybami w oknach i grupą brytyjskich turystów, którzy odłączyli się od wycieczki i popijają Guinnessa.

Gdy podeszła kelnerka, zamówiłem kufel zimnego piwa. Popołudniowy chłód nie zdążył jeszcze ostudzić rozgrzanego powietrza na ulicy.

Skłamałbym, gdybym powiedział, że przez cały ten czas ani razu nie pomyślałem o Blance. Byłbym kłamcą w każdym calu. Oszukiwałem również, gdybym twierdził, że w moim życiu wszystko gra. Tak wcale nie było. Czułem nudę. Zostałem w mieście sam. Moi rówieśnicy rozproszyli się po całym kraju albo zamienili nocne wypadki na popołudniowe aperitify, jakby przeczuwali, co w przeciwnym wypadku mogłoby stać się z nimi w przyszłości. Zostałem napiwek i ruszyłem spacerem, rozmyślając o rozmowie między policjantami, którą usłyszałem w radiowozie.

Piwo szumiało mi w głowie, a w żołądku burczało. Przyspieszyłem kroku i ruszyłem ulicą Calderón de la Barca w kierunku Plaza de Toros. Nagle obok mnie przemknął biały Golf. Jechał tak szybko, że wzbudzony przez niego powiew powietrza prawie zdmuchnął mnie z chodnika. Uniosłem ręce w geście oburzenia. Obok mnie zaczęli przystawać przechodnie i przyglądać się pędzącemu samochodowi. Jakiś mężczyzna przed barem palił papierosa. Po chwili minął nas kolejny rozpedzony pojazd – Seat León. Rozległ się huk. Usłyszeliśmy brzęk tłuczonego szkła i odgłos rozdzieranej blachy. Podbiegłem kilka metrów i zobaczyłem Golfa w białej maską w witrynę kliniki dentystycznej. Kierowca musiał stracić kontrolę nad pojazdem, którego przód przypominał teraz akordeon. Drugi samochód zatrzymał się na środku ulicy. Kierowcy jadący za nim zaczęli na niego trąbić. Z kliniki wybiegł przerażony personel.

– Niech ktoś wezwie policję! – krzyknęła starsza pani.

– Gdzie się podziewają, kiedy są potrzebni? – zawtórowała jej inna kobieta.

Słychać było *matki boskie*, westchnienia – gapiów ogarnął niepokój. Z baru obok wyszedł jakiś mężczyzna. Miał na sobie rozpiętą koszulę, złoty łańcuch na piersi, a w ustach cygaro. Wyglądał jak prawdziwy *macho*. Gdy zbliżył się do samochodu, z Golfa wygramolił się bez niczyjej pomocy kierowca. Miał posiniaczoną twarz i krwawiącą ranę na czole.

– Wszystko w porządku, kawalerze? – zapytał mężczyzna z cygarem. Były to jego ostatnie słowa.

Tajemniczy kierowca chwycił mężczyznę w płu i cisnął nim o asfalt.

Nastało jeszcze większe zamieszanie. Szykował się niezły tytuł do artykułu w gazecie.

Wtem stojący na ulicy Seat León ruszył z piskiem opon i zaczął pędzić wściekle w kierunku tajemniczego kierowcy, po czym uderzył w niego, wzbijając go w powietrze i odrzucając na kilka metrów dalej.

Przez tłum przetoczyła się kolejna fala *matek boskich*. Z daleka słychać już było dźwięk syren policyjnych. Nie mogłem uwierzyć w to, co widziały moje reporterskie oczy.

Odruchowo zapisałem numer rejestracyjny Seata, który z piskiem opon odjechał w kierunku Plaza España.

Leżący na ziemi mężczyzna wstał o własnych siłach. To nie było normalne. To było po prostu niemożliwe. Następnie podszedł do przejścia dla pieszych, rozejrzał się i, nadal obserwowany przez tłumy gapiów, przeszedł na drugą stronę ulicy. Na pomoc ruszył mu sanitariusz z karetki pogotowia, która właśnie przyjechała na miejsce. Mężczyzna bez zastanowienia wyciągnął z kieszeni nóż i dwukrotnie dźgnął nim ratownika. Trach, trach!

Usłyszeliśmy jęk, rozpaczliwy lament skierowany ku niebu, a następnie ogłuszający huk wystrzału.

Najpierw na ziemię upadły łuski, a potem osunęło się na nią bezwładne ciało uciekającego mężczyzny.

– Niech nikt się nie rusza! – krzyknął policjant, dalej celując w napastnika.

Nie posłuchałem i podszedłem na tyle blisko, że prawie mogłem dotknąć leżącego nieruchomo człowieka.

Ten dziwny wypadek musiał mieć związek z rozmową, którą usłyszałem w radiowozie. O co w tym wszystkim chodzi? Co dzieje się w tym mieście? I co mnie ominęło, gdy byłem na Majorce?

Myślałem szybko. Pierwsze co przyszło mi do głowy to żywe trupy, epidemia i śmiertelny wirus.

Naogładałem się zbyt wiele filmów.

Zrobiłem kilka zdjęć telefonem.

Po paru minutach na miejsce zdarzenia zaczęli przybywać dziennikarze, którzy ze swoimi obiektywami, jabłkowymi telefonami, ciemnymi okularami i czterodniowym zarostem obsiedli cały teren jak muchy.

Wróciłem do mieszkania, otworzyłem puszkę piwa i usiadłem na kanapie. Włączyłem odtwarzacz i włożyłem płytę Coltrane'a.

Nogi mi drżały. Nie mogłem przestać myśleć o tym, czego byłem świadkiem. Przeszło mi przez myśl, aby zadzwonić do Blanki. Była niezła w takich łamigłówkach. Wiedziałem jednak, że nie mogę tego zrobić – to byłoby żałosne.

Dokończyłem piwo i otworzyłem kolejne. Drugie wchodziło lepiej. Więcej gazu, więcej siły.

Uspokoilem się trochę i zajrzałem do internetu, ale nie znalazłem nic na temat ostatnich wypadków. Zegar tykał. To była historia tego lata – pomyślałem – moja historia.

Zadzwonił telefon. Rzuciłem okiem na wyświetlacz. To był numer Rojo.

Nadeszła moja pora pytań.



Z inspektorem Rojo umówiłem się następnego dnia w pobliskim barze. Zaparkowałem Porsche za domem towarowym na Maisonave i ruszyłem żwawo w stronę miejsca spotkania. Zza baru pozdrowiła mnie kelnerka. Podszedłem do niej i zamówiłem kawę.

– Z lodem czy bez? – zapytała. Musiała mieć skończone trzydzieści lat. Kręcone włosy w kolorze marchewki upięła z tyłu głowy, a przez rozpiętą z przodu bluzkę widać było obfity biust. Oderwałem od niego wzrok dopiero wtedy, gdy powtórzyła pytanie.

– Nie, czarną – powiedziałem speszony. – Kawę, czarną kawę.

Kelnerka chyba nie zrozumiała powodu mojego roztargnienia.

– Jak chcesz – odpowiedziała – ale w tym upale taka kawa nie wyjdzie ci na dobre...

– A potem podaj mi piwo – dorzuciłem z uśmiechem na twarzy.

– Boże! – odwróciła się i przeszła na drugi koniec sali, gdzie na swoją kolej i dolewkę dżinu czekał jakiś pocziwy staruszek.

Podniosłem wzrok i zacząłem oglądać telewizję.

– Możesz dać głośniejsze? – poprosiłem. Kobieta podgłośniła odbiornik, trzymając w jednej ręce butelkę Lariosa, a w drugiej pilota.

– To wymyka się spod kontroli. Co za świat! – skomentował obraz emeryt, zerkając lubieżnie na kobietę.

– Ma pan rację – odpowiedziała grzecznie. – Ach, ta dzisiejsza młodzież... Powiem panu jedno: to wszystko wina rodziców. Mam córkę i kiedy będzie pełnoletnia, dowie się, co to znaczy praca. W barze panował zgiełk zagłuszający dźwięk telewizora. Wpatrywałem się w obraz. Właśnie relacjonowano wydarzenia z poprzedniego dnia. Wiadomość na pasku informacyjnym wskazywała, że chodziło o porachunki.

– Akurat! – wykrzyknąłem mimowolnie, ściągając na siebie zdziwione spojrzenie staruszka i barmanki. – Mówię do telewizora – rzuciłem na usprawiedliwienie.

Po wiadomościach na ekranie pojawił się elegant w garniturze i ostrzegł przed nadchodzącą falą upałów. Spojrzałem na stojącą przede mną kawę. Nagle poczułem na sobie czyjś wzrok.

– Jesteś w pracy? – usłyszałem ochryply głos Rojo.

– Żeby pójść do pracy – odpowiedziałem – muszę się najpierw obudzić. – Gdzie kupiłeś to przebranie?

Rojo usiadł obok mnie. Miał na sobie ciuchy zupełnie nie w jego stylu. W koszulce z logo Iron Maiden i dzinsach przypominał członka motocyklowego gangu.

Zobaczywszy policjanta, kobieta natychmiast zignorowała staruszka i podeszła do nas.

– Kawa z koniakiem – powiedział.

– Już podaję – odpowiedziała z uśmiechem.

- Myślę, że nie będzie ci przeszkadzać, jeśli porozmawiamy tutaj - powiedział. Kelnerka za barem przygotowywała kawę.

- Do mnie się nie uśmiechała - powiedziałem z wyrzutem. - Cóż, nie, nie mam nic przeciwko. Ale jeśli miałeś zamiar nie rzucać się w oczy, to ci się nie udało.

- To teraz nie ma znaczenia - odparł. - Moi ludzie widzieli cię wczoraj. Czy ty naprawdę nie możesz usiedzieć na miejscu? Nie minął nawet jeden dzień od kiedy...

- Wracałem do domu - próbowałem się bronić. - Czy to ma związek z tym, co słyszeliśmy w Dénia?

- Ty niczego nie słyszałeś - uciął krótko. - A prawda jest taka, że jeszcze nic nie wiadomo. A ty? Coś wiesz?

- Wiem, że wygląda to bardzo źle - powiedziałem. Kelnerka podeszła z kawą i zaległa cisza. Otworzyła butelkę koniaku Magno i nalała trochę do filiżanki. Obrzuciła nas wnikliwym spojrzeniem. Konspiracja wychodziła nam dość słabo.

- Nie wierzę w teorię porachunków - dodałem.

- Nie możemy siać paniki - oświadczył Rojo.

- A ten nowy? - spytałem. - Kto to jest?

- Martinez? - odparł. - Będą z niego ludzie.

- Wiesz - zacząłem. - Wczoraj. Ten wypadek. To wszystko było podejrzanе. Ten drań rozbił się samochodem, po czym wysiadł z niego o własnych siłach i jeszcze dał radę dźgnąć kogoś nożem. Rojo, byłem tam i widziałem wyraz jego twarzy.

- Do rzeczy, Gabriel.

- Cóż, widziałem w jego oczach to samo, co w spojrzeniu tego gościa z Majoroki - wyjaśniłem. Rojo zmarszczył czoło. - Więc tak, w pierwszej chwili, nie wiem, co o tym sądzić. Kiedy zobaczyłem go w mieszkaniu Violety, odniosłem wrażenie, że był naćpany albo wracał z imprezy. Sam wiesz, Palma, noc... Ci ludzie mają pieniądze - a już na pewno mają ich o wiele więcej ode mnie. Wiesz, o co mi chodzi?

- Sugerujesz, że te dwa zdarzenia są ze sobą powiązane? - zapytał. - Narkotyki?

- Kurczę, przyjacielu. Jak zawsze trafiasz w sedno - odpowiedziałem. Rozejrzałem się wokół, upewniając się, że nikt nas nie słyszy: - Myślę, że tak, że na mieście pojawił się jakiś nowy specyfik i ludzie wariują po jego zażyciu.

- Skąd te przypuszczenia? - zapytał z niedowierzaniem.

- Mam też inne teorie - wyjaśniłem - ale to była pierwsza myśl, która przysłała mi do głowy.

- Musiałbym zapytać speców od narkotyków - stwierdził i oparł się o bar. - Tak czy inaczej, na pewno bym coś wiedział.

- Niekoniecznie - powiedziałem. - Wiesz jak działa ta zgraja polityków i cała reszta.

- Zrobimy autopsję i badania krwi - wyjaśnił. - I jeśli wyniki coś pokażą, może wezmę pod uwagę twoją teorię.

- A jeśli badania nic nie wykażą? - zapytałem. - Jeśli nic nie znajdziecie, a ja mam rację, to wtedy co? Będziesz czekał na kolejną śmierć? Nie wiem, Rojo, może przesłuchaj tego faceta z Majoroki.

- Nie mogę tego zrobić... - odpowiedział i zamyślił się na chwilę. - Czego chcesz w zamian za pomoc?

- Historii - powiedziałem. - Daj mi historię, choć kilka szczegółów.

- Nie. Jeszcze jeden skandal z twoim udziałem, a założą mi kartotekę.

- Dobrze wiesz, że sam nie powinieneś się za to zabierać - próbowałem go przekonać. - Wiesz też, że nie puszczyć pary z ust. Niczego nie opublikuję, dopóki sprawa nie zostanie wyjaśniona.

- Muszę się zastanowić - westchnął, bawiąc się serwetką.

- Jak sobie życzysz - odburknąłem i zapanowała cisza. Zamówiłem małe piwo. - Co porabiałeś ostatnio? Słyszałem, że zrezygnowałeś z awansu.

- Nie przegapisz żadnej plotki, co? Pracowałem.

- Dowiedziałeś się czegoś? No wiesz, o swojej żonie.

To nie było wygodne pytanie.

- Zrobiłem małe postępy - wymruczał w stronę filiżanki. - Znalazłem trochę powiązań, nic wielkiego. Gang działa cały czas, ale moje szefostwo nie chce, żebym się angażował w ten temat.

Wiedziałem, że rozmawianie o tym sprawia mu trudność. Na jego twarzy pojawił się grymas rezygnacji. Czasami słowa od czynów dzieli ogromna przepaść i jedno życie to za mało, żeby wspiąć się na sam szczyt. Rojo nie zrezygnował z poszukiwań, mimo że żona powiedziała mu, że nie chce go znać. To była miłość, miłość do drugiego człowieka, do prawdy i do siebie samego.

- I nie pomyślałeś, że twoja żona...

- Nie - powiedział stanowczo. Sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął pomarszczoną kserokopię. Wyglądził załamania kartki i podał mi ją.

To był wycinek z gazety, z tego samego dziennika, któremu odmówiłem współpracy. Zdjęcia sprzed dwudziestu lat, z La Mangi i Kartageny. Nagłówki artykułów mówiły o strzelaninie na plaży, uprowadzeniu kobiet i pogańskim rytuale, w trakcie którego złożono ofiarę z młodej dziewczyny. Ja piłem wtedy jeszcze Cola Cao.

- Ta dziewczyna miała tatuaż na piersi - powiedział i wyciągnął z portfela zrobione przez jakiegoś amatora czarno-białe zdjęcie, na którym widniało nagie ciało dziewczyny, z raną postrzałową w klatce piersiowej. W okolicy żeber miała wytatuowany znak kraba.

Następnie położył przede mną fotografię kobiety.

Miała zgrabną figurę, krótkie włosy, a ubrana była w różowe bikini i ciemne okulary przeciwsłoneczne. Za nią widać było parasol i plażę. Przyjrzałem się jej uważnie. Ręce miała skrzyżowane na piersi dzięki czemu na ramieniu dostrzegłem niewielki rysunek. To był tatuaż, ale trudno było odgadnąć, co przedstawiał.

- To twoja żona, prawda? - spytałem. Gdyby nie liczyć zdjęć w jego biurze, to pokazywał mi ją po raz pierwszy.

- Zrobiła go sobie niedługo po tym, jak się poznaliśmy - wyjaśnił. - Byłem idiotą. Kiedy zapytałem ją o ten tatuaż, odpowiedziała mi, że po prostu jej się spodobał i chciała go mieć. A ja to kupiłem! Tak po prostu. Nie chciałem wyjaśnić. Ludzie przecież tatuują sobie na ciele różne głupoty. Skąd do cholery miałem wiedzieć, co on oznacza?

- A kim jest ta kobieta z gazety?

- Zdjęcie tej dziewczyny znalazłem tego lata, gdy zająłem się sprawą. Tak więc ani słowa nikomu o tym.

- Dlaczego krab? - spytałem.

Wyjął z kieszeni dzinsów telefon i otworzył album ze zdjęciami. Jedno z nich przedstawiało mężczyznę z wczorajszego wypadku, stojącego na środku ulicy.

- Daj mi chwilę - powiedział i zaczął przewijać zdjęcia palcem.

Zaciekawiona kelnerka zerkała na nas raz po raz z kąta, w którym rozmawiała ze starszym. Bar powoli zaczynał się zaludniać. Zbliżała się pora drugiego śniadania. Skinąłem na nią i poprosiłem o rachunek. Podeszła i zanim zdążyła spojrzeć na ekran telefonu, wręczyłem jej banknot pięciu euro.

- Bez reszty, piękna - powiedziałem.

- Dziękuję, przystojniaku - ruszyła zadowolona w stronę kasy.

Rojo powiększył zdjęcie.

Na ekranie widać było posiniaczonego mężczyznę leżącego na stole sekcyjnym. Na boku miał wytatuowanego pomarańczowego kraba.



Obudziłem się i spróbowałem przypomnieć sobie sen. Śniły mi się pomarańczowe kraby. Były wszędzie - na plaży, pośród skał. Nie ruszały się, tylko przyglądały mi się wnikliwie, nie mając jednak zamiaru zrobić mi żadnej krzywdy. Ogarnęło mnie dziwne uczucie. To był jakiś koszmar. Z powodu upału w głowie huczało mi tak, jakbym zeszłej nocy przeholował z alkoholem. Skołowany poszedłem do łazienki i włożyłem głowę pod kran.

Temperatura na zewnątrz rosła zgodnie z prognozą.

Nie mogłem wyrzucić z pamięci fotografii, którą Rojo pokazał mi w barze.

Kraby, wszędzie kraby. O co w tym wszystkim chodzi?

Włączyłem telewizor. Kilka osób dyskutowało o jakimś reality show. Przełączyłem na inny kanał. Kuchnia - kraby, zupa z owoców morza. Wyłączyłem odbiornik, otworzyłem okno balkonowe i puściłem radio. W Radio 3 prowadzący zapowiedział utwór power jazzowego trio z Michigan. Słuchałem audycji, jednak myślałem wróciłem do wydarzeń wczorajszego dnia, do krabów z mojego snu i zastanawiałem się, jaki to wszystko ma związek z żoną Rojo.

Coltrane wygrywał na saksofonie smutne dźwięki, a ja szukałem inspiracji, czegoś, co mnie oświeci i da siłę.

Spojrzałem na zegarek - była prawie pierwsza po południu. Zrezygnowałem ze śniadania i nastawiłem kawiarkę. Nuty płynące z saksofonu relaksowały mnie i pomagały jaśniej myśleć.

Włączyłem laptopa i zacząłem przeglądać horoskopy.

Jedna z wróżb brzmiała: „Jeśli w snach widzisz kraby, to oznacza to, że ostatnio postępujesz niewłaściwie. Bądź ostrożny, bo możesz ściągnąć na siebie poważne problemy”.

Zamknąłem przeglądarkę. Kawiarka zaczęła prycać, więc wstałem i wlałem całą jej zawartość do kubka. Porządna dawka kofeiny zawsze ratowała mi dzień.

Przemyślałem wszystko jeszcze raz. Szukanie tropu w snach nie miało najmniejszego sensu.

Według Rojo do przestępstw związanych z krabami dochodziło już wcześniej, jeszcze przed zaginięciem jego żony. To był dobry punkt wyjścia, by dowiedzieć się czegoś więcej od naszego najlepszego doradcy – Google’a. Zacząłem myszkować w internecie. Wpisałem kilka zapytań. Bez rezultatu. Intuicja słusznie więc podpowiadała mi, że tego, czego szukam, nie znajdę w sieci.

Ubrałem się i ruszyłem na miasto.

Kilka minut później promienie czerwcowego słońca próbowały bezskutecznie przebić się przez moje okulary przeciwsłoneczne. Wsiadłem do autobusu przypominającego swym kształtem lodówkę i pojechałem do mojej starej redakcji. Jeden ze stażystów rozpoznał mnie, gdy wchodziłem po schodach na górę. Minąłem go bez pozdrowienia i wszedłem do redakcji jak do własnego mieszkania.

Na mój widok praktykantka w recepcji podniosła raban, a następnie zagroziła mi drogę.

– Halo! – wykrzyknęła, gdy zamierzałem już otworzyć drzwi do archiwum. – Czy mogę w czymś pomóc?

– Tak – odpowiedziałem. – Otwórz mi drzwi.

– Nie ma pan prawa tam wchodzić – odpowiedziała. – Kim pan jest?

Wtedy na recepcji pojawił się stażysta w okularach w grubej oprawie – ten, z którym minąłem się wcześniej na schodach.

– Caballero – oznajmił tak, jak gdyby właśnie zobaczył gwiazdę filmową.

– Przyjacielu, Bastydzie – pozdrowiłem go.

– Bordonado – poprawił mnie.

– Mniejsza o to – rzuciłem lekceważąco. – Kto tu teraz dowodzi?

Wtedy zza biurka wstała i podeszła do mnie modnie ubrana dziewczyna – brunetka z pasemkami we włosach. W uszach miała dwa szmaragdy, które, podobnie jak jej oczy, błyszczały w czerwcowym słońcu. Szła bezgłośnie w sportowym obuwiu, kołysząc biodrami jak gwiazda telewizyjnego show.

– Przykro mi – powiedziała. – Ale dzisiaj ja szefuję redakcji i nie może pan tam wejść.

– Możesz mówić mi po imieniu – odpowiedziałem. Nie wyglądała groźnie, przeciwnie – na policzkach miała wesołe pieguski. – Jak ci na imię?

– Natalia – odpowiedziała, nieco zawstydzona moją pewnością siebie. – Natalia Lafuente.

– Ale burdel – mruknął do siebie chłopak w okularach i skierował się do swojego biurka.

– Jaki burdel? – rzuciłem do niego. – Jedyne burdel tutaj to ty sam. Nie jesteś nawet w stanie zadbać o swoją posadkę.

Chłopak zarumienił się.

– Ale... – wyjąkał i złapał się za głowę.

– Żadnych „ale”, Bordonado. Ta dziewczyna broni swojego stanowiska. Co z ciebie za mężczyzna... powinni cię zwolnić. Masz szczęście, że już tu nie pracuję.

– Przykro mi – powiedział.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Teraz, panno Lafuente – zwróciłem się do niej – będziesz tak miła i otworzysz mi drzwi do archiwum. To bardzo pilne.

– Nie mogę tego zrobić – odpowiedziała. – Nadal nie wiem, kim pan jest.

Nagle uderzył mnie smród litrów wody kolońskiej. Usłyszałem skrzywienie butów na podłodze. Nienaganny chód.

Odwrociłem głowę.

Za mną stał mężczyzna. Spodnie w kolorze khaki, pasiasta koszula, bordowe, kastylijskie mokasyny. Ze sportowym magazynem pod pachą przypominał bardziej właściciela redakcji niż jej redaktora naczelnego. Rozpoznałem to bezczelne, wyzywające spojrzenie.

Matías Antón Cañete.

Studiowaliśmy razem na tym samym wydziale, ale na studiach zamieniliśmy ze sobą ledwie parę słów. Syn przedsiębiorcy z branży obuwniczej wybrał dziennikarstwo zamiast kariery adwokata i z tego powodu uważany był w rodzinie za czarną owcę.

Chyba tym razem Karma postanowiła wyrównać ze mną porachunki z przeszłości. Matías Antón Cañete, w połowie z Alicante, a w połowie z Elche, zagorzały kibic FC Barcelona i wybitny gracz w karty, był antytezą studenta dziennikarstwa: zawsze dobrze ubrany, bogaty i wyznający odmienne poglądy na temat historii europejskiej niż te publikowane w książkach. Należał do klasy ludzi w czepku urodzonych: z dobrą pracą i pokojówką, zajmującą się domem i gotowaniem. Był członkiem uprzywilejowanej grupy, która nie szanowała dorobku swoich przodków i złym zarządzaniem obracała w proch resztki spadku.

Matías wiedział, że informacja to władza, a władzę można było zdobyć za pieniądze i na odwrót.

W jego spojrzeniu był coś złowrogiego.

– Co za spotkanie! – wykrzyknął i położył gazetę na biurku. – Cholera, Nati, na co czekasz? Przynieś gościowi szklankę wody.

– Sam się obsłużę... – odparłem głośno.

– Niech no uścisknę twoją dłoń! – powiedział i wyciągnął prawą rękę. – Czego chcesz? Wrócić do nas?

– Nie. Nie przyszedłem na żebry.

Stażystka podała mi wodę w plastikowym kubku i wróciła upokorzona na swoje miejsce, mruczając pod nosem:

– Nie jestem twoją sekretarką.

Matias złożył palce jak do strzału i puścił jej oko.

– Dawaj, chodź do mojego biura – powiedział i wskazał gabinet, w którym sam kiedyś urzędowałem, i który należał też do mojego poprzednika – Ortiza.

Wszedłem do pokoju. Panował w nim nieporządek. Wszystko jak dawniej.

Odniosłem wrażenie, że Matias rzadko w nim bywał.

– Będę się streszczał – powiedziałem.

– Siadaj, stary. Rozmowę masz gratis.

Jeden.

Dwa.

Wziąłem oddech.

– W archiwum zostawiłem kilka zdjęć – wyjaśniłem. – Muszę je odzyskać. Zapomniałem je zabrać przed odejściem, a są one bardzo ważne w dochodzeniu, które prowadzę.

– Tak... – powiedział rozparty w krzesło, bawiąc się długopisem.

– Zajmie mi to co najwyżej minutę – odpowiedziałem. – Wiem, gdzie szukać. Nie chcę marnować twojego czasu.

– Tak...

– Więc, gdybyś był tak miły – powiedziałem i wstałem – byłbym ci wdzięczny, gdybyś otworzył drzwi do archiwum, no wiesz, klucz masz tam, w szufladzie...

– Tak... – powiedział i wziął głęboki oddech. – To niemożliwe, Gabri.

Nienawidziłem, gdy tak się do mnie zwracano.

– Jak to? Wystarczy, że przekręcisz klucz w zamku.

– Ależ nie, Gabri – powtórzył. Obiecałem sobie, że jeśli jeszcze raz tak powie do mnie, to złamię mu szczękę. – Podpisałeś je?

– Nie.

– Więc nie ma o czym mówić.

– Jak to nie ma o czym mówić?

– No nie. Przecież wiesz, w jakie kłopoty mogą się wpakować... – dodał. – Sprawy mają się fatalnie, kolego. Chcesz kawy?

– Przystań pieprzyć – zirytowałem się i podniosłem z krzesła. – Co cię kosztuje kilka zdjęć, które nie są nic warte?

Uśmiechnął się.

– Jeśli są tak mało warte – odpowiedział. – To dlaczego się tak denerwujesz?

Usiadłem z powrotem.

– Nie mogę związać końca z końcem.

– Aha – zaciekawił się. – Mówisz o pieniądzach. Zaczyna się robić interesująco.

– Zlituj się, ledwo starcza mi do pierwszego.

– Rozumiem – odpowiedział. – Cóż, niezły sobie fach wybraliśmy, co?

- Rusz się, nie mogę tak czekać cały dzień.
- Tak – powiedział. – A co to za zdjęcia?
- To dwa zdjęcia.
- Z jakiego okresu?
- Wtedy już padało – powiedziałem wymijająco, obawiając się, że może mnie rozszyfrować. – Wiem, gdzie są. Nie rób mi teraz przesłuchania.
- Nie okłamuj mnie, Caballero – odparł szyderczo. – Wiem, że masz przyjaciela w policji. Niech on ci wyświadczy tę przysługę.
- Moje zdjęcia są lepsze. Mnie nie drży ręka.
- Sprytnie – powiedział. – Więc porozmawiajmy o pieniądzach. Jaką masz dla mnie propozycję?
- Matías, niech ta sprawa zostanie między nami – powiedziałem i spojrzałem mu w oczy. – Daj mi te zdjęcia. Wiesz, że lubię pracować sam, gdy nikt mi nie patrzy na ręce. Potem podzielimy się pół na pół.
- Żadne fifty-fifty do cholery, Gabriel. – Spoważniał. – Nie bądź taki cwany. Daj mi wyłączność, publikuj u nas, a wtedy, jeśli chodzi o mnie, to możesz tu robić, co ci się żywnie podoba.
Miałem wrażenie, że mało go obchodziła cała redakcja. Krążyła plotka, że gazetę miał przejąć ktoś bardzo bogaty – jego rodzina. Matías chciał tylko przypiąć sobie medal, zwrócić na siebie uwagę i dalej prowadzić swoje dotychczasowe życie. Nie obchodziło go to, co działo się w mieście.
Wtedy do gabinetu wszedł stażysta.
- Co tym razem? – zapytał Matías. Siedział nieruchomo w fotelu i obracał w palcach zapalniczkę. – Jesteśmy zajęci.
- Dostałem maila. To ważne, o narkotykach.
- Jakich narkotykach? – zainteresowałem się i obróciłem się w jego stronę.
Matias próbował uciszyć go gestem.
Nagle fotel zaczął mu się palić pod tyłkiem.
- O syntetycznych narkotykach, które docierają z Rosji czy skądś tam – wyjaśnił grubasek w okularach przeciwsłonecznych i koszulce z wizerunkiem Beatlesów. – Jest tego całe mnóstwo: pigułki, proszek...
Obok mojej twarzy z olbrzymią prędkością przeleciał kubek z ołówkami i wydając suchy, metaliczny dźwięk, rozbił się o ksero.
- Zamknij dziób! – krzyknął Matías. – Cholera jasna! Masz za długi jęzor!
- Przykro mi! Myślałem, że...
- Ty nie masz myśleć! – krzyknął ponownie i zaczął ciskać w niego przedmiotami, które miał pod ręką. – Wynoś się, kretynie! Zabieraj swoje rzeczy i wynoś się z redakcji!
Chłopak zasłonił twarz dłońmi przypominającymi dwie mortadele, a następnie pobiegł do swojego biurka.
- Jesteś burakiem – powiedziałem do Matías a i podniosłem się z krzesła.
Wyszedłem za stażystą, a Matías zaczął się śmiać jak jakiś psychopata, krzycząc w kółko: *szybko wróćisz, szybko*, jakby to był refren jakiejś popularnej piosenki.
Poszedłem za chłopakiem na ulicę. Był wściekły i upokorzony.
- Kurwa! Bastardzie! – zawołałem i pomachałem do niego ręką. – Zatrzymaj się!
Odwrócił się, podszedł do mnie i wymierzył mi cios w brzuch.
- Bordonado.
Przez kilka sekund nie mogłem złapać tchu.
Nagle usłyszałem hałas tłuczonego szkła. Chwilę później na chodniku obok nas wylądowało ciało mężczyzny.
Serce stanęło mi w miejscu.
- Mój Boże... – powiedział Bordonado i zasłonił dłońmi usta.
Z okna budynku wychodzącego na Paseo de la Explanada wypadł młody mężczyzna po trzydziestce.
Spojrzałem na Bordonado, który drżał cały z emocji. Zebrałem się w sobie, poprawiłem ubranie i spojrzałem na zakrwawione zwłoki. Głowa mężczyzny pękła na pół, tak że zaczęła z niej wypływać zawartość czaszki. Uderzenie o ziemię musiało zabić go natychmiast. Podszedłem do niego i niewiele myśląc podciągnąłem jego koszulkę do góry. Na piersi miał wytatuowanego kraba. Takiego samego jak w moich snach.
- Co ty wyrabiasz, człowieku? – wymamrotał błady jak kreda grubasek.
Wokół miejsca wypadku zaczęli gromadzić się już ciekawscy.
Bordonado wbiegł do pobliskiej bramy i zwrócił śniadanie.

- Hej - krzyknąłem do niego - Kończ i wynośmy się stąd.

Wzbudził we mnie współczucie.

- Co? - zapytał zdezorientowany. - Nie wkurzaj mnie. Trzeba zadzwonić po karetkę.

Zebrani ludzie szeptali między sobą i co raz to spojładali w górę.

- O czym ty mówisz? Ruszaj się. Szybko - rozkazałem, chcąc go stamtąd zabrać. - Zapomnij o karetce.

- Jedzie policja... - rzucił nerwowo.

- Zamknij się, proszę - nalegałem, jednocześnie popychając go w dół ulicy. Był ciężki jak kwintal zboża. - Bądź cicho, jakbyś nie miał nic wspólnego z tą historią. Nic nie zrobiliśmy, okej? Staliśmy tam, facet wyskoczył i tyle. Więc właściwie to tak, jakby nas tam nie było... Stało się i nie mamy na to wpływu. Weź się w garść.

Ruszyliśmy ulicą Bilbao, minęliśmy Portal de Elche i dotarliśmy do ulicy San Francisco. Wepchnąłem go do baru La Jarela i zamówiłem dwa piwa.

- Nie, nie dam rady teraz pić - powiedział.

- Podaj mu wermut, ma zły dzień - zwróciłem się do kelnera. Chciałem, żeby Bordonado trochę się rozluźnił.

- To jest kurewsko obrzydliwe.

- Nie ociągaj się - powiedziałem. - I ani słowa Cañete o tym, co się stało.

- Pfuj! Przecież mnie zwolnił... - oznajmił i skubnął z talerza trochę smażonej ciecierzycy.

- Nie bądź cymbałem - stwierdziłem stanowczo. - Wróc jutro do redakcji. On nie będzie pamiętał tego, co dzisiaj mówił. Przy okazji... Co wiesz o narkotykach?

- Narkotykach? Ach tak, ta sprawa z narkotykami - odpowiedział, przetykając ciecierzycę. Powoli zaczynał nabierać kolorów. - Handlują czymś, co doprowadza ludzi do szaleństwa. Pochodzi ze Wschodu, z Rosji czy gdzieś stamtąd i stało się tutaj bardzo popularne. Daje niesamowitego kopa, ale najwyraźniej handlarzom coś wymknęło się spod kontroli i coraz trudniej to zdobyć.

- Co to jest?

- Pigułki. Mają różne nazwy: jęczyzek, amfibia, magiczne smoki. Czy wiesz, że tam, skąd pochodzą sprzedawano je legalnie w sklepach?

- Nie - zdziwiłem się i wziąłem głęboki łyk piwa. - Skąd to wszystko wiesz?

- Czy to przesłuchanie?

- Nie - odparłem. - To dochodzenie. Wchodzisz w to?

Bordonado zeszywniał.

- Nie, kolego - zaprotestował i wykonał obronny gest ręką. - Oszalałeś czy co?

Nie miałem wątpliwości, że przystanie na moją propozycję. Była zbyt kusząca jak dla kogoś, kto miał z życia tak niewiele.

- No dobra. Opowiadaj, co wiesz.

- Mówią, że na rynek wprowadza je jakiś Meksykanin stąd.

- A nie ktoś z Rosji? - zapytałem.

- Nie wiem, to możliwe - odpowiedział, dając mi do zrozumienia, że nie za dużo wie. - Nikt go nie zna, przynajmniej osobiście.

- Co to za odpowiedź? Jeśli nie jesteś czegoś pewien, to się nie odzywaj, bo skończysz jak jeden z dziennikarzy wypisujących bzdury do końca życia.

- Raczej jak oni wszyscy - wtrącił się kelner.

Rzuciłem w jego stronę gniewne spojrzenie i barman wrócił do swoich zajęć.

Do lokalu wszedł starszy mężczyzna z bordowym swetrem przerzuconym przez ramię. Stał przy barze, zamówił wermut i przywitał się z barmanem.

- Kolejny się zabił. Kolejny trup - powiedział głosem odkrywcy. - Zamkną ich wszystkich. Teraz to już na pewno. Policja ma wszystko pod kontrolą. Dajcie spokój...

- Ludzie nic nie wiedzą, mówię panu, nic nie wiedzą - odpowiedział kelner. - Lata siedemdziesiąte to były inne czasy. Tak, proszę pana - ciągnął kelner, wycierając szklankę do sucha. - Kiedyś to były inne czasy. Sam pan wie. Owszem, trafił się jakiś joint. A teraz jest tyle gówna, którym się szprycują. Więc nic mnie już nie dziwi. Dlatego skaczą z balkonów. Rozbite rodziny... Dymają nas. Sam pan wie, co się dzieje w polityce. A to, co się mówi na ulicy, to tylko wierchołek góry lodowej. Zwała się nam na łeb cała Europa, a nasze dzieciaki bez pracy, na zasiłkach.

Bordonado przysłuchiwał się tej rozmowie o różnicach międzypokoleniowych, najwyraźniej zachwycony. On sam był z innej generacji. Młodszy ode mnie, żył prawdopodobnie z komórką przyklejoną do ucha. Tacy jak Bordonado, zajęci oglądaniem amerykańskich seriali w internecie oraz rywalizowaniem o to, kto słucha zespołu o najdziwniejszej nazwie, zupełnie stracili zainteresowanie tym, co ich otacza. Kultura *ja* uformowała legion przyszlących supermenów, nadludzi, zdolnych wyrwać joystick od konsoli własnemu dziecku. Spojrzałem ponownie na chłopaka próbując odgadnąć, o czym myśli. Wyglądał jak wyrwany z kontekstu. Wystarczyło tylko spojrzeć, jak trzyma szklanke, by domyślić się, że rzadko bywa w barze.

– Ile jestem winien? – zapytał zakłopotany i wyjął z kieszeni monetę 2 euro.

– Już idziesz?

– Tak. Umówiłem się z kolegami.

– No dobrze, Bordonado... – skwitowałem. Udał, że się uśmiecha. Pocił się jak świnia. – Idź. Ja zapłacę.

– Słuchaj, a co mam powiedzieć policji, gdy do mnie zadzwonią?

– Spokojnie – powiedziałem i poklepałem go po plecach. – Ty siedź cicho, a ja się wszystkim zajmę. Dokąd się wybierasz?

– Do kolegów.

– Nie okłamuj mnie.

– Jeszcze nie wiem – zdenerwował się. Pewnie wypiją kilka drinków w Joplin, potem zrobią rundę po okolicy i na koniec trafią do Stereo.

– Tak myślałem – skwitowałem. – Dobra. Informuj mnie na bieżąco, ok?

– Dobrze, zobaczymy... – odparł. Miał spocone dłonie. – Będziemy musieli zawrzeć jakieś porozumienie o współpracy, tak mi się wydaje...

Nachyliłem się i chuchnąłem mu w twarz odorem gorzkiego piwa.

– Pomożesz mi, a ja ci oszczędzę wizyty pewnego inspektora, który powie twoim starym o tabletkach, które trzymasz w pokoju.

Głośno przełknął ślinę.

– Spadam – powiedział. – Do zobaczenia.

– Na razie, *adéu*.

O ósmej wieczorem siedziałem w barze obok Fnac, sklepu z muzyką, filmami oraz elektroniką i czekałem, aż mój nowy pomocnik Bordonado wyjdzie z domu. W telewizji komentowano ostatnie wydarzenia. Policja wciąż powtarzała swoją wersję o kolejnych porachunkach. Było ich już tyle, że zaczynało to przypominać prawdziwą wendettę. Aresztowano mężczyznę, który przebywał w mieszkaniu skoczka. Mężczyźni pokłócili się, stracili kontrolę nad sobą i dyskusja skończyła się bijatyką. Według świadka ofiara wyskoczyła przez okno sama.

Pomyślałem o inspektorze Rojo. Będzie ciężko się z nim spotkać. Wizyta na komisariacie nie wchodziła w rachubę. Zapewne wokół niego krążyła teraz dziennikarska konkurencja pilnująca każdego ruchu policji. Nikt z nas niczego nie wiedział.

Echo dzwonów odbijało się od skalistego brzegu. Stali bywalcy baru komentowali, opisując jeden przez drugiego ostatnie zdarzenia. Snuli domysły o wschodnioeuropejskim pochodzeniu narkotyków i o powiązaniach z prostytutką. Tak wyglądało hiszpańskie lato. Skończyły się codzienne seriale telewizyjne. Wszyscy czekaliśmy na Mistrzostwa Europy i brakowało nam tematów do rozmów, które ożywiłyby pustynny sierpień.

Zobaczyłem Bordonado wychodzącego z bramy. Był ubrany tak samo bezgustownie jak przed południem. Spoconą koszulę zamienił na czystą, w nieco bardziej wyzywającym kolorze. Włosy miał ułożone na żel.

Zapłaciłem za piwo i wyszedłem, chowając się za okularami przeciwsłonecznymi i dwudniowym zarostem.

Bordonado doszedł do ulicy Castaños i zatrzymał się obok narożnego studenckiego baru. Wyjął telefon, wybrał numer i zapalił papierosa. Obok niego przeszła śliczna dziewczyna w wieczorowej sukience. Spojrzał na jej tyłek, po czym zgasił niedopałek na ziemi. Już miałem zrezygnować z dalszego śledzenia go, gdy zaczęli podchodzić do niego jego przyjaciele.

Odczekałem kilka minut po tym, gdy weszli do lokalu i poszedłem za nimi. Łatwo odszukałem interesujący mnie stolik i po prostu przysiadłem się do nich.

– Chłopie, Bordo! – klepnąłem go w plecy. – Co za spotkanie!

– Bordo? – zdziwił się chłopak z bujną brodą, ubrany w koszulę w kratę.

– Co tu robisz? – zapytał Bordonado, zażenowany moją obecnością. – Cholera.

– Kto to jest? – spytał chłopak w okularach.

- Z kim ty się zadajesz, Bordonado? - i zaraz dodałem - Jestem Gabriel, kolega z pracy. Co pijemy? Piwo?
- Skąd wytrzasnąłeś takiego gościa? - spytał jeden z nich.
- Nigdy nam o nim nie mówiłeś, kolego - powiedział brodaty. - Ale dobra, jak dla mnie jest w porządku.
- Dla mnie też - powiedział okularnik.
- Chyba starczy już tych komplementów, co? - rzuciłem. - Ja stawiam.

Wstałem i zamówiłem wiaderko pełne butelek piwa. Zapracowałem na nie. Bordonado nadał się mnie wstydził. Biedny dzieciak nie był świadom, jaki chaos potrafię jeszcze rozpuścić.

Rozmawialiśmy o serialach telewizyjnych, o Lost, o amerykańskiej literaturze, o Bret Easton Ellis. Pokazałem im tatuaż Kerouaca, a oni pytali, czy robienie go było bolesne. Powiedziałem im, że nie, że bardziej boli utrata dziewczyny. Po godzinie już wiedziałem jednak, że w ten sposób nie zajdę zbyt daleko.

- Słuchaj - szepnąłem Bordonado do ucha. - Nie chcę, żebyś myślał, że cię śledziłem. Przysięgam, że to spotkanie to przypadek.

- Tak - chyba uwierzył. - Tak naprawdę, to nie ma znaczenia... dzięki za piwo.

Wznieśliśmy toast.

- Jaki jest plan? - spytałem.

- Plan?

- Tak - odpowiedziałem. - Nie macie przecież dziewczyn, prawda?

Usłyszał mnie okularnik.

- O czym ty mówisz, stary? - odpowiedział. - Żadnych dziewczyn, dopóki nie skończę 29 lat.

- Zawsze tak mówisz, Fernan - prychnął chłopak w koszuli w kratkę. - A potem, jak jakąś dorwiesz, to nie można cię od niej oderwać.

- Tak jak tę Amerykankę... - dodał Bordonado. - Zamąciła biedakowi w głowie.

- Ale ona nie była moją dziewczyną - oponował. - Poza tym była stuknięta.

- Co za błazny - powiedziałem do siebie, zapominając, że przecież mogli mnie usłyszeć. - Byliście kiedyś w Mono?

- To to miejsce dla starszuchów, prawda? - powiedział okularnik.

- Tam chodzą tylko cioty, człowieku - powiedział chłopak w koszuli w kratę. - Poza tym, mój brat często tam bywa...

Impreza robiła się nudna. Byłem już pewien, że ci trzej na pewno nie zaprowadzą mnie do dopalaczy. Nie mając innego wyjścia, zaciągnąłem ich do innego baru i powiedziałem kelnerowi, że to urodziny brodacza, i że on za wszystko płaci. Wypiliśmy po trzy drinki z tanim alkoholem. Stażysta i jego koledzy zaczęli zachowywać się jak idioci i zaczepiać młode dziewczyny, które w lateksowych strojach tańczyły w rytm reggaetonu.

Chwyciłem Bordonado pod ramię i odciągnąłem w stronę wyjścia. Powiedziałem mu, że ta noc będzie wyjątkowa, i że jesteśmy w środku dziennikarskiego śledztwa. Chłopak był podekscytowany, a na jego twarzy wykwitły rumieńce.

- Naprawdę? - wykrzyknął pobudzony. Z parkietu dobiegły nas dźwięki zespołu Quebec. Klepnął mnie w plecy i dodał: - Będziemy sławni, jak pieprzony Tom Wolf i Truman Capote! Jak Pedro Jota i Reverte!

- Jak Batman i Robin! - dopowiedział jakiś głos z parkietu.

- Mniej więcej, bardziej lub mniej... - burknąłem, studząc jego zapał. - Co zechcesz, ale musisz mi pomóc...

Bordonado spojrzał na mnie sceptycznie.

- Nie, nie martw się. Ja też chcę ci pomóc. To sprawa między nami. Mogę ci przecież zaufać, prawda? - dodałem.

Przytaknął.

- Widzisz? Musisz mi wierzyć. Kropka - podsumowałem. - W mieście dzieją się podejrzone rzeczy, Bordonado. Dzięki tej sprawie znajdziemy się na podium i ty o tym dobrze wiesz. Rozumiesz, o czym mówię...

Chłopak podrapał się najpierw po brzuchu, a potem po głowie.

- W porządku - odparł. - Jestem gotowy.

- Doskonale - powiedziałem. - Masz przy sobie klucze do redakcji?

- Co? - wybełkotał. - Nie, nie ma mowy. Zostawiłem je w domu.

- No dobrze. To pójdziemy po nie.

- Zwariowałeś, stary?

- Ani trochę - odpowiedziałem. - Muszę dostać się do archiwum. Są w nim dwa zdjęcia związane z ostatnimi wydarzeniami.

- Skąd to wiesz?
- Chodźmy po zdjęcia, a po drodze opowiem ci całą historię.
- Nie mogę tego zrobić... - odpowiedział. - Złapią mnie.
- Nie denerwuj mnie, Bordonado. Co ty nosisz w spodniach?
- Doszły nas odgłosy kłótni ze strony baru. Jeden z kolegów Bordonado zaczął obmacywać dziewczynę kelnera. Wrzawa wzmogła się. Barman podkręcił muzykę.
- Już narobili bałaganu - westchnął zawstydzony Bordonado.
- Zaraz zrobi się gorąco... - stwierdziłem i spojrzałem przez drzwi.
- Widzę, że idzie kelner. Ok, chodźmy, zanim zacznę żałować - powiedział Bordonado. - Jeśli zostaniemy, to na pewno i mnie się oberwie... Zawsze robią ze mnie ofiarę.
- Na twój rozkaz, kolego. - powiedziałem i ruszyliśmy w dół ulicy. - Poza tym ktoś będzie musiał zapłacić za te drinki...
- Co?
- Nic, chodź - powiedziałem i zaśmiałem się w duchu. - Noc dopiero się zaczyna.



4

Bordonado wyszedł z bramy marudząc, że musiał obudzić rodziców.

– Rano będę miał burę – powiedział. – Matka pytała czy piłem.

Mit o trzydziestoletnim dziecku, które nigdy nie pije. Skąd ta wiara matek w to, że ich cherubinek prowadzi zdrowy tryb życia i pije tylko soki oraz grenadynę? Tak było zawsze. Matki myślą o swoich dzieciach jak o wiecznych nastolatkach.

Znałem też inne przypadki, takie jak na przykład mój.

– Chłopie, nie jesteś już dzieckiem... – postanowiłem go uświadomić. – Powiedz swojej matce, żeby wreszcie przejrzała na oczy i zobaczyła, że jesteś już mężczyzną.

– Ty nie znasz mojej matki – westchnął, spuszczać głowę.

– Znam moją. Pewnie niewiele się różni – odpowiedziałem. – Masz klucze, prawda?

– Tak.

– Jutro też jest dzień – stwierdziłem. – A teraz czas trochę popracować.

Dotarliśmy do redakcji. Recepcja świeciła pustkami. Ochroniarz Jacinto pewnie poszedł się zdrzemnąć. W końcu niewiele się tutaj działo. Nie po raz pierwszy biedak wykorzystywał spokój sobotniej nocy i spał przy telewizorze na zapleczu.

Weszliśmy na górę. Tutaj też było pusto. Skierowałem się prosto do archiwum i otworzyłem drzwi. Bordonado został z tyłu.

– Co robisz? – zapytałem. Szukał czegoś w szufladach biurka stażystki.

– Nic, nic – odpowiedział.

Pomieszczenie pachniało kurzem i papierem fotograficznym. Otworzyłem okno. Słychać było szum samochodów, nocne okrzyki i rozmowy pijanych mężczyzn z prostytutkami.

Znalazłem tysiące zdjęć sprzed ponad wieku. Zapewne niedługo całkowicie wyblakną. Pewnie w archiwum urzędzą kuchnię, a jego zawartość zamienią na zera i jedynki. Szkoda.

Poustawiałem na podłodze pudełka po butach pełne zdjęć i zapisków. Podniecony przetrząsałem pudła i grzebałem w nich jak gryzoń, aż znalazłem to, czego szukałem – plastikową koszulkę z negatywami z lat 1994 i 1995.

– Tutaj są – westchnąłem głośno. Zacząłem przeglądać negatywy pod światło, ale to, co na nich zobaczyłem, nieco mnie zaskoczyło.

Czas uciekał.

Usłyszałem odgłosy czyichś kroków.

– Pospiesz się – syknął Bordonado. – Coś słyszałem...

– Tak, ja też – przytaknąłem. – To pewnie ochroniarz.

– Nie, to raczej nie on. Spadajmy, bo wpakujemy się, kurwa, w kłopoty – nalegał nerwowo.

Bez zastanowienia wyrzuciłem koszulkę z negatywami przez okno.

W tym samym momencie ktoś otworzył drzwi.

Trudno było stwierdzić, kto był bardziej zaskoczony.

– Co to ma znaczyć? – spytał Matías.

Pierwszy raz widziałem go w takim nieładzie – rozczochranego i w pomiętej koszuli. Za nim stała młoda stypendystka, ubrana w czarną, jedwabną sukienkę sięgającą do kolan i obnażającą zgrabne, choć małe, piersi.

Cañete miał na ustach ślady szminki, a w ręku dzierżył butelkę Jacka Danielsa. Poprawił kołnierz koszuli i próbował doprowadzić się do ładu.

– Jesteś żałosny, Cañete... – powiedziałem. – Nie mogłeś skorzystać z mieszkania twoich starych w Santa Pola?

– Ty! – Rozżłoszczony wycelował palec w Bordonado. – Mówiłem ci, żebyś się tu nie pokazywał! Dzwonię na policję. Dostaniecie za swoje!

Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu.

- Z czego się śmiejesz, dupku? – spytał.
- Rano cała nasza czwórka pojawi się na pierwszej stronie dziennika – wyjaśniłem.
- Jesteś świnią – powiedział Bordonado do dziewczyny.
- Zamknij gębę, ty beczko łoju – odfuknęła.
- Zamknijcie się, oboje! – krzyknął Cañete. Był jednocześnie zdenerwowany i zawstydzony. Wykonywał dziwne ruchy nogami, jakby w drodze do redakcji zażył coś dla poprawy animuszu. Zmieszana dziewczyna zbierała swoje rzeczy: – Nie przychodź jutro... Zadzwońię do ciebie.
- Daj mi na taksówkę – zażądała.
Cañete wręczył jej 20 euro i zamknął za nią drzwi.
- Ty tłuściochu, wychodzisz stąd. I to, kurwa, już! Jesteś jak wrzód na dupie...
- Matías, spokojnie. Wszystko zostanie w rodzinie – powiedziałem, bagatelizując zajście. – My nie piśniemy o tym ani słówka i zachowasz stołek. Koniec historii. Nie rób z tego niepotrzebnego cyrku. Co ty na to? I nie zapomnij zatrudnić chłopaka na etat...
- Tego pierdołę?
- Człowieku, co ty sobie wyobrażasz...?
- I chcę własne biurko – dodał Bordonado.
- Nie bądź taki cwany! – Cañete oburzył się. Pomasaował podbródek, zaczesał ręką włosy do tyłu i podszedł do szafki. Wyjął szklankę, otworzył butelkę i nalał sobie whisky. – Jak puścicie parę z ust, to was załatwię. Zrozumiano?
W ten sposób stażysta dostał swoją pierwszą etatową pracę. Na jego twarzy pojawiło się niedowierzanie, a na ustach zagościł szeroki uśmiech. Cały czas myślałem o zdjęciach, które leżały na ulicy.
- Jest już późno, Matías – powiedziałem. – My spadamy.
Wystrzeliłem z budynku jak z procy. Plastikowa koszulka leżała nietknięta. Jej zdobycie sporo mnie kosztowało.
- Dziękuję, partnerze – Bordonado wyglądał na podekscytowanego. – To była wspaniała noc.
- Tworzymy zgrany zespół... – zapewniłem go. Teraz miałem swojego Robina, Watsona czy Pedrina. Może w gorszej kondycji fizycznej, ale za to godnego zaufania. – Twoja matka pochwali cię rano.
- Tak, jasne... – powiedział. – A te zdjęcia?
- Są w dobrych rękach – odparłem. – Dobranoc.



Obudziłem się z zaschniętym gardłem i gorzkim posmakiem w ustach. Głowa mi ciążyła, a nocny upał tylko pogarszała sprawę. Leżałem w salonie na kanapie przy włączonym telewizorze. Nadawali program o sektach i seryjnych zabójcach. Wyglądało to na kiepski żart. Jakaś wróżka opowiadała o nadużywaniu przez sekty symboli horoskopu. Wypowiedź kobiety przykuła moją uwagę. Na ekranie pojawiły się twarze bezzębnych mężczyzn.

Po ekranie biegała banda zakutych w kajdanki i rozczochranych dziewczyn.
To musiała być jakaś przejściowa moda: wytatuowane kraby na skórze, kraby w narkotykach, kraby w moich snach.

Gospodarz programu zrobił poważną minę i zapowiedział kolejnego gościa.
Czyżby chodziło o kontrrewolucję? O jedną z siedmiu apokaliptycznych pieczęci? Zamach? Spisek Nowego porządku świata?

Kamera skierowała się na drugi koniec stołu. Na pierwszym planie pojawił się inspektor Rojo.

Podgłośniłem telewizor i zerknąłem na zegar. Była szósta rano.

Przez myśl przeszło mi: „zadzwoń do Rojo”.

Inspektor opowiadał o różnych sektach, które działały w naszym regionie. Objasniał, jak funkcjonują i jakie mają cele. Rojo odpowiadał na aroganckie pytania w stylu serialu Archiwum X.

Na stole przede mną leżały negatywy w plastikowej koszulce.

Przez okno zaczęło zaglądać słońce. Wyjąłem klisze i zacząłem je przeglądać.

Prezenter przeszedł do pytań na temat ostatnich wydarzeń.

Inspektor zamilkł i podrapał się w brodę.

- Nie mamy żadnych dowodów na związek pomiędzy nimi – powiedział do kamery poważnym tonem.

- Czy znane są motywy? – zapytał prezenter.

- Nie. Już powiedziałem – są to odosobnione przypadki.

Jasnowidz wyciągnął kilka kart tarota. Na ekranie wyświetlono powiększone zdjęcie kraba.

- To może być prorocstwo – powiedział jeden z gości. – Już Nostradamus ostrzegął, że...

- Wątpię w to – uciał inspektor. – To pańskie domysły... My pracujemy na podstawie dowodów, a tych ciągle brak.

- W starożytnych kulturach krab był symbolem łona ciężarnych kobiet – skomentował inny gość.

- Przykro mi – powiedział policjant. – Nie wiem do czego pan zmierza, ale jest pan na złej drodze.

- Wróćmy do skorupiaka – powiedział prezydent. – Czy sądzi pan, że jego symbol wiąże ze sobą ostatnie wydarzenia na wybrzeżu?

Na ekranie telewizora pojawił się numer telefonu do studia. Chwyciłem komórkę i wybrałem numer, ale zgłosiła się poczta głosowa. Program był retransmitowany.

Rojo odpowiadał na wszystkie pytania beznamiętnym, jednostajnym tonem. Od czasu wydarzeń na wyspie Tabarca, często pojawiał się w lokalnych programach radiowych i telewizyjnych. Był głosem doświadczenia, a także twarzą policji.

- Policja prowadzi dochodzenie – powiedział. – Jej obowiązkiem jest chronić obywateli, to wszystko.

Wyłączyłem telewizor i spojrzałem ponownie na negatywy. Ciało dziewczyny, krab wytatuowany na jej boku. Rojo miał rację, ale prawdę zachował dla siebie. Mięczak.

Jeśli zbrodnie z połowy lat 90-tych miały jakiś związek z najnowszymi wydarzeniami, to oznaczało, że mamy do czynienia z recydywistą, którym kierują motywacje znane jedynie jemu.

Poszedłem do łazienki, zmoczyłem głowę pod kranem, a potem zrobiłem kawę. Uruchomiłem odtwarzacz z płytą Bakera i zacząłem rysować mapę myśli na podstawie ostatnich wydarzeń.

Ktoś musiał dostarczać narkotyki. Północna część regionu słynęła z dużej społeczności obywateli z Europy Wschodniej. Na południu rywalizowały między sobą organizacje importujące sztuczne narkotyki z Rosji. Jednak jedyną znaną wówczas substancją był słynny *krokodyl*, substytut heroiny wyniszczający od wewnątrz organizm osoby uzależnionej i zamieniający ją w żywego trupa. Nie miał żadnego związku z krabami. Skoro więc sprawca procederu pozostawał nieznany, jedynym sposobem na odkrycie prawdy byłoby sprowokowanie go do ujawnienia się.

Włączyłem komputer i rzuciłem okiem na lokalne dzienniki. Nikt zdawał się nie znajdować powiązania między wypadkami. Prasa nie przywiązywała zbyt dużej wagi do tych wydarzeń albo nie wiedziała, gdzie zdobyć nowe informacje na ich temat. Dla mnie stało się jasne, że ktoś musi wywabić nieznanego gościa z kryjówek.

Rozbudzony zastrzykiem energii z trąbki Bakera i filiżanki gorącej kawy, zacząłem stukać w klawiaturę. Moje palce poruszały się w rytm muzyki, a słowa przychodziły i odchodziły jak nuty, tworząc tekst pełen kolorów i obrazów typowych dla literatury grozy.

Nadający w tle komentatorzy programu telewizyjnego pomogli mi zredagować krótkie, miażdżące akapity i skomponować cięte zdania pełne fantazji.

Podniecony i zadowolony z siebie zapisałem dokument. Zrobiłem zdjęcie jednego z negatywów i przesłałem na komputer. Z pomocą programu do edycji zdjęć odwróciłem kolory obrazu. Sięgnąłem po telefon i wybrałem numer.

- Tak? – zachrypiął senny głos.

- Obudź się, Bordonado – powiedziałem do słuchawki. – Jest prawie południe.

- Co się stało? Cholera, co za ból głowy... – wystękał.

- Musimy się spotkać – odpowiedziałem.

- Dzisiaj? Przecież jest niedziela. Dzisiaj nie da rady – zaczął się wykręcać. – Mam rodzinny obiad.

- Więc najwyżej spóźnisz się na aperitif – powiedziałem. – Powiedz mamie, że masz robotę.

- Nie, nie mogę.

- Chcesz całe życie być nieudacznikiem?



Godzinę później stałem oparty o metalowy bar w ciemnej knajpie z aluminiowymi stołami, niebieską markizą i ścianami wyłożonymi białymi kafelkami. Pary w ogródku popijały wermut, a ja niecierpliwie czekałem na to, by zaskoczyć Bordonado, gdy będzie wychodził z bramy.

Wokół roztaczał się spokój wczesnego niedzielnego popołudnia, ale dało się już wyczuć nadchodzącą wieczorną depresję, która poprzedzała trudy pracowitego tygodnia. Wejście do lokalu przypominało kinowy ekran, przez który przewijali się kolejni aktorzy w scenicznym oświetleniu. Przez drzwi wchodzili i wychodzili ludzie, ale nic się nie wydarzało. Życie zgodne z wypracowanymi przez lata utartymi schematami. Skorumpowane *status quo*. Gra pozorów. Za powierzchownym szczęściem kryła się młodzież na skraju buntu, stracone pokolenie, żyjące bez żadnego celu, którego nikt nie potrzebował. Wszyscy podążaliśmy w tym samym kierunku, w rytm tłumu, otępieni byle jak prowadzoną polityką, która wkrótce stanie się tematem hymnów o korupcji.

Zobaczyłem wychodzącego z bramy Bordonado. Już miałem zamiar do niego podejść, ale ten zaczął machać do jakiejś opalanej, ciemnowłosej dziewczyny w okularach przeciwsłonecznych. Była dużo niższa od niego. Bordonado podszedł do niej zdenerwowany. Ręce trzymał w kieszeniach. Nie było żadnego rodzinnego obiadu, ale teraz to nie miało już znaczenia. Po chwili objął niezdarnie dziewczynę i pocałowali się na powitanie. Postanowiłem dać sobie spokój z Bordonado, ponieważ nagle uświadomiłem sobie, że powinienem jak najszybciej porozmawiać z Cañete.

Ruszyłem do redakcji. Wbiegłem schodami na górę, otworzyłem energicznie drzwi i niedbale pozdrowiłem speszoną stypendystkę, która chwyciła słuchawkę telefonu, coś do niej szybko powiedziała, po czym podniosła się, poprawiła bluzkę i otworzyła przede mną drzwi do gabinetu szefa.

- Zaginiony w akcji - zarechotał kpiąco Cañete. Miał na sobie niedbale założoną, pomarszczoną koszulę. Czuję się jak w zoo - wiało od niego zapachem spoconego ciała i seksu. Dużo seksu. Udawał, że jest zajęty czymś na ekranie swojego komputera. - Co tym razem?

- Musimy pogadać - powiedziałem.

- Za kogo ty się uważasz? - zapytał stanowczo. - Jestem zajęty. Streszczaj się, no dalej.

Zamknąłem drzwi i usiadłem na krześle.

- Matías - ściszyłem głos, przyciągając jego uwagę. Nikt nie mówił do niego po imieniu. - Musisz coś dla mnie opublikować.

- Taa - prychnął. - Nie ma mowy.

- Ty potrzebujesz mnie, a ja ciebie - nalegałem.

- Nie - powiedział. - Nie potrzebuję ciebie. Nie potrzebuję nikogo. Tak naprawdę mam po dziurki w nosie tych spraw, z którymi wszyscy do mnie przychodzą. Zawsze to samo...

- Posłuchaj mnie. Schowaj na chwilę swoją dumę do kieszeni - zacząłem. - Na mieście dzieje się coś niezwykłego, ludzie wariują, a ja chyba właśnie rozgryzłem o co w tym wszystkim może chodzić.

- Stażysta coś wyśpiewał? - poruszył się nerwowo. - Ubiję go. Mówiłem mu. Mamy umowę.

- Chłopak nic nie wie - uspokoiłem go. - Za to ja coś wiem. A ty? Chcesz wiedzieć? W końcu tutaj wszyscy pragniemy informacji.

Wykrzywił głowę jak wygłodniały pies. Czasami wątpiłem w jego inteligencję, ale wiedziałem, że to tylko gra. Matías kreował się na bogacza-ignoranta, który wiedział więcej od innych. Był jak schwytyany myśliwy, który jednak wciąż polował na innego łowcę. Szumowina pełną gębą. Może dlatego był taki dobry w grach karcianych.

Podniósł słuchawkę telefonu.

- Nie łącz ze mną nikogo - polecił i odłożył telefon. Pozorant... - Dalej, nie mam całego dnia.

- Ktoś sprowadza bardzo silny narkotyk, który powoli zalewa cały rynek - powiedziałem. - Policja jeszcze nic nie wie, ale chodzi o jednego albo kilku mafiosów. Mówią, że to handlarze ze Wschodu - prawdopodobnie Gruzini. Ich symbolem jest krab. Cała ta historia jest związana z krabami. Wiem, bo je widziałem. W telewizji i na ulicy.

- To jakieś brednie... - rzekł z niedowierzaniem. - A kraby to w końcu dość pospolite stworzenia.

- Mówię o krabach wytatuowanych na ludzkim ciele - powiedziałem. - Myślę, że chodzi o coś więcej niż o symbol. To spisek.

Cañete uwielbiał teorie spiskowe.

- To czerwoni... komuniści - powiedział Matías. - Nie zdziwiłbym się, gdyby to byli oni. Szykują zamach na nowoczesne państwo. Jak ten akt terroru na stacji metra Atocha.

- Kto wie... - przyznałem i wyjąłem pendrive. - Tu jest artykuł. Rzuć na niego okiem i jeśli chcesz opublikuj go pod swoim nazwiskiem. Nie zależy mi na sławie. To artykuł wstępny. Na razie dwie strony. Jutro wszyscy będą o tym mówić.

Cañete wziął pendrive i patrzył na niego jak na bezcenny klejnot.

- Nie nabierasz mnie? - zapytał podejrzliwie.
- Jeśli ci się spodoba - dodałem - to za drugi i kolejny tekst chcę prowizję.
- Taa... - wypuścił powietrze. - Dobra, muszę się zastanowić.
- Jak chcesz - rzuciłem obojętnie. Chwycił przynętę.
- Zaczekaj - zatrzymał mnie, gdy już miałem wstawać. - Słuchaj, Gabri.
- Co?
- Jesteś wielki. To prawdziwa bomba, jak Watergate.
- Lepiej już sobie pójdę.
- Słuchaj...
- Co?
- Zdjęcia - powiedział. - Jeśli ich potrzebujesz, to wiesz, gdzie ich szukać.
- Dziękuję - powiedziałem z udawaną wdzięcznością.

Pożegnałem się z Cañete oraz stypendystką i wyszedłem z redakcji. Pewnie za chwilę znowu zamkną się w gabinecie i będą cudzołożyć. Była niedziela i nie miałem wiele do roboty. Właśnie wręczyłem Cañete pikantny, dwustronicowy artykuł, który za kilka godzin rozpali całe miasto.

Wykonałem swoją robotę. Teraz mogłem pójść na spacer i zaczerpnąć świeżego powietrza. Wtedy w kieszeni zawibrował telefon.

Wiadomość tekstowa. Wzywał mnie inspektor Rojo.

Tym razem do kostnicy.



Wysiadłem z taksówki i szybkim krokiem skierowałem się w stronę wejścia do szpitala. W recepcji zapytałem o Rojo. Ochroniarz zaprowadził mnie do windy i wcisnął guzik kierujący nas do podziemi. Drzwi zamknęły się w ciągu kilku sekund. Otworzyły się już w prosektorium. Wziąłem kilka głębszych oddechów. Było to miejsce aseptyczne, nierealne, gdzie wszystko traci znaczenie. Minąłem pierwsze drzwi i przeszedłem na koniec długiego, wyłożonego białymi kafelkami korytarza, na końcu którego dostrzegłem Rojo.

Rojo, ubrany w mundur, rozmawiał przez telefon komórkowy. Rozłączył się, gdy mnie zobaczył.

– Widziałem cię wczoraj w telewizji – przywitałem się.

– Wejdz. Musisz to zobaczyć.

Nie wiedziałem co mnie czeka za wielkimi stalowymi drzwiami. Zapach w środku pomieszczenia sprawił, że nogi się pode mną ugięły. Wyczułem też coś dziwnego w zachowaniu Rojo. W jego głosie i w jego spojrzeniu. Nie dawało mi to spokoju.

Światłówki na suficie migotały nerwowo. Przy prosektoryjnym stole wysoka szatynka z włosami do ramion, w białym fartuchu, obcisłych dżinsach i modnych czarnych trampkach robiła notatki w zeszyte. Obok niej stał starszy facet w lekarskim fartuchu – zapewne patolog. W powietrzu unosił się zapach rozkładającego się ciała. Na stole leżał mężczyzna. Miał zniekształconą twarz i otwartą klatką piersiową. Był spuchnięty jak indyk wigilijny – a to za sprawą uwalniających się gazów gnilnych.

Pobiegłem w kąt pomieszczenia i zwróciłem całą zawartość żołądka do kosza na śmieci. Zwymiotowałem dwa razy. Dziewczyna uśmiechała się pod nosem. Rojo wskazał na brzuch leżącego. Ofiara miała na sobie wytatuowanego pomarańczowego kraba. Zbieg okoliczności?

Lekarz chwycił skalpel i przystąpił do dalszej pracy.

– Lepiej wyjdźmy na zewnątrz – powiedziała dziewczyna.

– A to kto? – zapytałem szeptem Rojo.

Gdy wyszliśmy z pomieszczenia, dziewczyna przedstawiła się.

– Jestem Miranda.

– Lekarz sądowy Garcia – dodał Rojo. – Pomaga nam w śledztwie.

– Taka młoda? – nie dowierzałem.

– A co w tym złego? – zdziwił się Rojo.

– Nic – odpowiedziała sama zainteresowana. – Przyjemność po mojej stronie.

Doktor Miranda Garcia mierzyła około metr siedemdziesiąt, miała szczupłe nogi i plażową opaleniznę. Piękna dziewczyna z bujnymi włosami w kolorze ciemnego dębu. Uśmiechem zbyła moją impertynencję. Zachowała się jak profesjonalistka.

– Inspektor Rojo powiedział mi, że w twoich żyłach płyną newsy – zwróciła się do mnie.

Kretyn.

Zahipnotyzowany przyglądałem się jej mięsistym ustom ozdobionym karminową szminką.

– Dowiedziałeś się ostatnio czegoś ciekawego? – zapytał Rojo.

– Nic nowego – odparłem. – Mam kilka zdjęć, które chcę ci pokazać – Rojo skrzywił się. – To zdjęcia archiwalne, które, jak sądzę, mogą mieć związek ze zbrodniami.

– Jakimi zbrodniami? – zainteresowała się dziewczyna.

Uniosłem brwi. Rojo zmieszał się.

– Dobra – zdecydował po chwili. – Podzielmy się informacjami z panną Garcia.

– Nie jestem pewien – bąknąłem. Nie miałem pojęcia, w co gra Rojo. Nie chciałem też odslaniać się przed nieznaną. – Wygląda na to, że mamy motyw. Wszędzie pojawiają się kraby. Jest też narkotyk, który krąży po wschodnim wybrzeżu. Najwyraźniej jest to bardzo silny halucynogen.

Dziewczyna nie była zaskoczona.

– Jednak fakt, że wszędzie pojawia się skorupiak, to nie zwykły zbieg okoliczności – dodałem.

– Może to symbol buntu wobec *establishmentu* – powiedziała.

- A dokładnie?

- Wobec tego, co konwencjonalne.

- Wątpię... - wtrącił się Rojo. - To coś więcej niż zlot beztraskich *ninis*⁵.

- Sprawdźmy zdjęcia... - zaproponowałem, gdy tak staliśmy przed drzwiami, zza których dochodził smród prosektorium. - Może w bardziej przytulnym miejscu.

Wydostaliśmy się z kostnicy i skierowaliśmy się w stronę stołówki na pierwszym piętrze szpitala. Wokół roilo się od odwiedzających i pacjentów, którzy wchodzili i wychodzili, by ukradkiem zapalić papierosa w towarzystwie bliskich. Szpitalna stołówka przypominała lokalny bar. Brakowało jej tylko licencji na alkohol. Zamówiliśmy trzy kawy i zajęliśmy miejsca przy narożnym stoliku. Ludzie rzucali na nas ciekawskie spojrzenia - może z powodu munduru Rojo, a może przez Mirandę.

Wyjąłem telefon i pokazałem im zdjęcia.

- To wszystko, co znalazłem - wyjaśniłem. - Wygląda na to, że kraby są z nami już od jakiegoś czasu.

- Interesujące - dziewczyna przekazała telefon policjantowi.

Rojo nie skomentował zdjęć. Wypił kawę jednym haustem i postawił filiżankę na spodku.

- Nie wiem. To wszystko jest bardzo dziwne. Wciąż nie mogę pozbyć się widoku tego gościa, który skoczył... - kontynuowałem.

- O co ci chodzi? - przerwał mi wyraźnie zaintrygowany Rojo.

- O trupa na ulicy - powiedziałem.

- Kurwa, Caballero... - powiedział. - Byłeś na miejscu wypadku?

- Przypadkiem - odpowiedziałem - i tylko chwilę. Twoi koledzy zadają zbyt wiele pytań.

- Co tam się wydarzyło? - dociekał Rojo. - Co widziałeś?

- To samo co wszyscy - odpowiedziałem. - Nikt nie widział czy skoczył sam, czy ktoś go wypchnął. To wasze zadanie dowiedzieć się, co tak naprawdę się stało.

- Ofiara była pod wpływem narkotyków - powiedział Rojo. - Był Brytyjczykiem.

Rojo wyglądał na poruszonego tą informacją, znacznie bardziej niż przypuszczałem. Spędziłem z nim już sporo czasu i powoli zaczynałem go rozumieć. Zdarzenia wymykały mu się spod kontroli. Narkotyki, ludzie umierający na ulicy, nadzieja, że dzięki historii z tatużami trafi na ślad żony.

Miranda przyglądała się zdjęciom z dystansu, w milczeniu przygryzając dolną wargę. Odniosłem wrażenie, że coś wie - czysta intuicja.

- O której godzinie kończysz? - zapytałem ją prosto z mostu.

- Mówisz poważnie? - odparła, udając zaskoczenie. Flirtowała ze mną.

- Nigdy nie poznałem żadnej lekarki sądowej - powiedziałem. Widziałem, jak Rojo pali się za mnie ze wstydu po drugiej stronie stołu. Puściłem do niego oko i ciągnąłem dalej. - A tak, nieoficjalnie, wiesz, na co możesz liczyć?

Dziewczyna zaśmiała się delikatnie. Nie wiedziałem, jak to zinterpretować. Uniosła filiżankę do ust, upiła powoli łyk kawy i odłożyła ją z powrotem na podstawkę.

- Muszę dokończyć raport z autopsji - oznajmiła i wstała od stołu. - Do zobaczenia o dziewiątej w Desaffo.

Pożegnała się, wyszła na korytarz i zniknęła nam z oczu.

- Co ty wyrabiasz? - fuknął na mnie Rojo. - Nie chcę jej w to wciągać. Pamiętasz, jak się skończyło z tamtą dziewczyną... z Blanką?

- Nie przypominaj mi o Blance, dobrze? - odpowiedziałem. - Wciąż ją wspominam. To boli.

- Co między wami zaszło?

- Mieliśmy romans, zakochaliśmy się, tak przynajmniej mi się wydawało... zostawiła dla mnie wszystko - powiedziałem. - Wtedy to ja rozdawałem karty. Po wydarzeniach na Tabarce znalazła pracę w Madrycie. Pojechałem za nią do stolicy i tam, kontemplując nasze wspólne życie, zacząłem zastanawiać się nad swoim własnym. Byłem tchórzem i dostałem to, na co zasłużyłem. Pozwoliłem jej odejść na zawsze.

- Jak to? Tak po prostu?

- No tak, stary... - powiedziałem. - Byłem palantem. Sam wiesz: złamane serce i rozstanie po angielsku. Od tamtej pory nie odezwała się.

- Wyglądała na miłą dziewczynę - odpowiedział. - A na dodatek była bardzo ładna.

- Uroda to coś ulotnego, bez względu na to, co nam wciska prasa. Gdy do związku wkrada się nuda, rutyna i banał, wtedy brzydnie nawet najładniejsza dziewczyna. To, co widać gołym okiem, to tylko część całości, Rojo.

- Z panną Garcią też masz zamiar tak filozofować? - zapytał kpiącym tonem.

- Nie daj się zwieść - uniosłem palec wskazujący. - Ta dziewczyna coś wie. Tak myślę. Kiedy pierwszy raz zrobiliśmy wzmiankę o tatuażach, zrobiła się nerwowa. Za drugim razem wystarczyło zobaczyć jak przygryza wargę... Mam oko wyczulone na takie zachowania, Rojo. Zaufaj mi. Ta dziewczyna wie więcej niż sobie wyobrażasz, a dziś wieczorem wszystko mi wyśpiewa.

Rojo spojrział na mnie sceptycznie, uniósł brwi i wysiorbał resztę kawy.

- Nie wciągaj dziewczyny w kłopoty - powiedział. - Tylko tyle.

Pokiwałem głową.

Nastąpiła cisza.

Już było za późno.



Miałem dość czasu, by wrócić do domu i się przebrać. Otworzyłem butelkę piwa i spojrzałem z balkonu na zaparkowane pod budynkiem samochody. Miałem mnóstwo faktów do uporządkowania. Moje kolejne teorie wywracały się po kolei jak klocki domina. Uważałem się za spokojnego człowieka, o silnym charakterze i wystarczająco odpornego by przetrwać każdą burzę. Mimo młodego wieku nauczyłem się, że nie ma sensu się zamartwiać, póki ma się coś, co sprawia radość. Z balkonu przyglądałem się miastu oświetlonemu przez stojący na szczycie góry zamek Santa Barbara, który od wieków bronił miasta Alicante. Teraz stał się kolejnym zapomnianym kawałkiem historii. Cieszyłem się pięknem ciszy, czasem zatrzymanym w oddechu, świadomością, że żyję i wciąż stąпам po ziemi. Czasami nie ma sensu próbować zrozumieć tajemnicy życia, do czego tak wielu dąży, szukając rozwiązania na sklepowych półkach. Wystarczy zwykła wdzięczność. Pomyślałem o lekarce sądowej, o jej kobiecych tajemnicach, o tym, co mogłaby mi przez nieuwagę zdradzić. Przeprowadziłem obliczenia i doszedłem do wniosku, że musi być już po trzydziestce. Aby awansować na takie stanowisko potrzebowała bez mała dziesięciu lat studiów. Byłem pewien, że w rodzinie ma kogoś z wykształceniem medycznym. Zawsze tak się działo. Dziewczyny, które studiowały medycynę, robiły to zwykle pod presją rodziny, dla statusu społecznego i przyszłych dochodów. Inne - z powołania, bo cieszyła je idea pomagania innym.

Wiatr z plaży Postiguet, słynnej z pocztówek przedstawiających atrakcje turystyczne, nie był w stanie ostudzić żaru letniego popołudnia. Czułem się jak nasączona wodą gąbka. Założyłem koszulę, podwinąłem rękawy i ruszyłem do miejsca spotkania z lekarką.

Była niedziela, ale to nie miało żadnego znaczenia - nie w mieście Les Fogueres, kolebce wspaniałych dań z ryżu i gnieździe dla roju ohydnych turystów przyjeżdżających tłumnie ze wszystkich zakątków świata. W barze czekała na mnie syrena z Alicante. Dziewczyna z czerwonymi ustami, które powodowały, że wszystko we mnie aż rwało się do niej. Miranda odsłoniła swoje wdzięki i pozwoliła rozkoszować się widokiem delikatnej i opalanej skóry. Ubrana była w letnią czarną sukienkę bez rękawów - nieformalną i wygodną. Sukienka nie sięgała do kolan i odkrywała ramiona równie opalone co czekoladowe nogi. Miranda była wzorem młodzieńczego wyglądu i uśmiechu. Przez chwilę pomyślałem o Blance, która, choć nie mniej zmysłowa, była całkowitym zaprzeczeniem lekarki. Wyjąłem rękę z kieszeni dżinsów i pomachałem do niej z daleka.

Podczas spotkania musiałem się jednak pilnować. Dziewczyna miała drugorzędne znaczenie. Coś ukrywała, a ja miałem zamiar dowiedzieć się co.

- Jesteś z tych, którzy każą dziewczynom czekać, prawda? - przywitała się i zalotnie włożyła do ust oliwkę. Nie wyglądała na zdenerwowaną.

- Masz szczęście, że jestem w dobrym nastroju.

Zamówiłem piwo i spojrzałem na zegarek.

- Przepraszam, czasami jestem beznadziejny - próbowałem się wytłumaczyć. - Wiesz co? Wyglądasz zupełnie inaczej, tak... bez fartucha.

- Skąd ty się urwałeś? - zdziwiła się.

Nie wiedziałem, czy był to komplement czy raczej przytyk.

- Jestem sobą. Tak to interpretuj - powiedziałem. Zapadła cisza. Słychać było lód pękający w szklankach przy barze. Nasze spojrzenia spotkały się. Uśmiechnęła się do mnie. Wykrzywiłem usta w uprzejmym grymasie. Dziewczyna włożyła kolejną oliwkę do ust. - Jesteś stąd?

- Mniej więcej - odpowiedziała. - Jestem z Denii, ale po ukończeniu specjalizacji przeniosłam się tutaj. Standard. Miałam do wyboru albo zostać w Alicante, albo pojechać do Walencji.

– Walencja jest piękna, choć czegoś jej brakuje – odpowiedziałem. – Ale nie wiem czego i chyba nigdy się nie dowiem.

Dziewczyna poruszała się, jak na mój gust, zbyt nerwowo. Nie spuszczałem z niej oka.

– Zamówię kolejne piwo, jest trochę gorąco... – powiedziała.

– Mogę zadać ci pytanie? *Off the record*.

– Jasne. Pytaj, o co zechcesz.

– Co sądzisz o tych zdjęciach? – Wyraz jej twarzy momentalnie się zmienił. – O tych, które pokazałem wam dzisiaj w prosektorium. Rojo ma swoją teorię, a ja mam swoją.

– Jak brzmią te teorie? – spytała.

– Najpierw chcę poznać twoją. Dlatego cię zapytałem.

Dziewczyna westchnęła głęboko. Zaczęła stukać w butelkę piwa pierścieniem na palcu serdecznym.

– Nie wiem, chłopaku – odparła. – Moja teoria? Wydaje mi się, że to zbieg okoliczności, że czasami coś takiego się dzieje... Nie wszystko musi mieć swoje wytłumaczenie.

Uniosłem brwi ze zdziwienia.

– Tutaj zawsze dużo się dzieje – ciągnęła – a zwłaszcza teraz, w sezonie festiwali muzycznych, kiedy zwykle pojawia się więcej narkotyków... Ci z góry nalegają, abyśmy coś znaleźli, ale wszystko, co mamy, to kilka ciał, kilka tatuaży i nic więcej. Co chcesz, żebym ci powiedziała...?

Miranda kłamała jak najęta i, co gorsza, jak nowicjusz. Z każdym kolejnym kłamstwem płynącym z jej słodkich ust, palec z pierścieniem coraz szybciej uderzał w butelkę.

– Nie zrozumiałaś mnie – wyjaśniłem i chwyciłem ją za rękę. Spojrzała na mnie zmieszana i zabrała dłoń. – Nie mam zamiaru donosić na dilera, który was zaopatruje. Chcę tylko dowiedzieć się, o co chodzi. Tylko tyle – w całej tej historii jest coś ekstra...

Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Chcesz spróbować? – zapytała. Przytaknąłem głową. – Nie wydajesz się...

– Ty też nie – odparowałem. – *Off the record*.

Miranda roześmiała się.

Zastanawiałem się, ile rzeczy w życiu ułatwił jej ten uśmiech.

– Wiesz co, Gabriel? – powiedziała kusząco. – Moglibyśmy przenieść się gdzieś indziej. Uniosła brwi i spojrzeniem wskazała swoją torbę.

Poprosiłem o rachunek, zapłaciłem i wyszliśmy z baru.

Zachwyciłem się lekkością jej chodu, gubiłem się w fałdach jej sukienki. Szliśmy w górę ulicy do innego baru znajdującego się w dzielnicy El Barrio – do Mono. Tego samego, w którym dzień wcześniej spotkałem Bordonado z jego gangiem nieudaczników. W knajpie było niemal pusto. W środku panował półmrok. Nic nowego. Chłopcy mieli rację. To był bar dla mężczyzn.

Miranda dwoma pocałunkami w policzek przywitała się z kelnerem – chudym facetem z długą grzywką, w okularach w grubej oprawie i czarnej koszulce polo Bena Shermana. Wszyscy tutaj wyglądali tak, jakby ubierali się w tym samym sklepie: polo, koszule w kwiaty, Fred Perry, obcisłe ubrania. Kelner podał dwa piwa w niskich kufiach, które przypominały naczynia trzymane przez moją babcię w apartamencie przy plaży.

Ten sam kelner, który podawał napoje, serwował też muzykę: tematy The Jam, The Kinks i The Specials. Wszystko było bardzo modernistyczne. Alkohol sprawił, że zaczęło wychodzić ze mnie zmęczenie nagromadzone w ciągu ostatnich kilku dni. Wiele godzin bez porządnego snu, napięcie związane z podążaniem za tropem, którego śladów nie mogłem znaleźć na ziemi.

Ruszałem nogami w rytm muzyki. Miranda kręciła biodrami i po chwili całe jej ciało zaczęło lekko pulsować w takt melodii. Niespodziewanie objęła mnie. Niemał straciłem równowagę.

To nie był zwykły pocałunek. Jej język poruszał się jak tornado, a mnie zabrakło tchu. Poniosło ją całkowicie. Po chwili odsunęła się, odchodząc na kilka kroków i obdarzyła mnie szerokim uśmiechem.

Odniosłem wrażenie, że minęła cała wieczność, ale wokół nic się nie zmieniło. Głośna muzyka, chłopaki w barze i para zamawiająca koktajl.

Ośmielony, chwyciłem ją za rękę i przyciągnąłem ku sobie, ale Miranda nadstawiła tylko policzek, dając do zrozumienia, że pocałunki zależą tylko od niej.

– Chodź – zaczesła włosy za uszy i pociągnęła mnie za sobą w stronę łazienki.

Zszedłem za nią po drewnianych schodkach na niższy poziom lokalu. Podłoga tutaj była wyłożona czarno-białymi płytkami, przypominającymi okładkę płyty ska.

- Jesteś stuknięta – stwierdziłem – Wszyscy wiedzą, że tu jesteśmy.
- Lepiej sobie coś strzelmy, co? – powiedziała. – Poza tym, Paquito to równy gość.
Zrozumiałem, że Paco to ten sam facet, który podał nam piwo, puszczał muzykę, a teraz dorzucił dwie kreski, które lekarka rozdrabniała na pokrywie brudnej toalety.
- Po jednej dla każdego – zarządziła obrócona plecami do mnie.
- Ja... chyba sobie odpuszczę – oznajmiłem. – Uderza mi to do głowy i robię głupoty.
Miranda wciągnęła pierwszą kreskę. Koka, speed – kto wie...
Zamrugnęła powiekami, odchyliła głowę do tyłu i wzięła głęboki oddech.
- Poważnie? – zdziwiła się wycierając nos. – Jesteś trochę dziwny.
- Dobra, tak naprawdę... – zacząłem, ale ona na kolanach już szykowała się na drugą dawkę.
Ciach. Kolejne zaciągnięcie.
- Gówno – zawołała. – Kurwa! Jak wchodzi! Naprawdę nie chcesz spróbować? To ci nie zaszkodzi.
- Myślałem, że opowiesz mi o krabach...
Miranda usiadła na muszli i wygładziła ubranie.
- Chodź do mnie – rozkazała i złapała za moją kieszeń w spodniach, przyciągając mnie do siebie. Rozpięła rozporek i zaczęła mnie dotykać. – Nie przerywaj mi teraz, Gabriel...
Zamilkłem i dałem się ponieść okazji. Najpierw masowała moje genitalia, aż stwardniałem jak marmurowy pomnik. Następnie czule, ale nieco agresywnie, wzięła go do ust i zaczęła ssać. Byłem zdenerwowany i nie mogłem cieszyć się chwilą. Miałem świadomość, że w każdej chwili ktoś może wejść. Spojrzałem w dół i zobaczyłem jej głowę, zamknięte oczy. Była całkowicie pochłonięta fellatio. Była w tym niezła, naprawdę dobra. Poczułem jej rękę na piersi. W tym czasie drugą ściągała mi dzinsy. Nie chciałem zepsuć tej chwili, ale coraz bardziej drażniły mnie okoliczności, w których się znaleźliśmy.
Miranda otworzyła oczy i cofnęła usta.
- A teraz, przeleć mnie – wydała rozkaz. Podskoczyła na równe nogi, pchnęła mnie na muszlę, chwyciła za szyję i usiadła na kolanach. – Szybko, jestem taka napalona.
Wszedłem w nią. Wprowadziła mnie w swój świat. Miranda poruszała się w górę i w dół, kołysząc się na moich udach i doprowadzając mnie prawie do łez. Koncentrowałem się na tym, aby nie wyprzedzić jej rozkoszy i dla odwrócenia uwagi czytałem bazgroły na ścianach łazienki oraz wymyślałem zdania, które sam mógłbym tu zostawić. Pot, ból w krzyżu, który zaczynał być uciążliwy, i jej paznokcie wbite w moje ramiona, a następnie fala rozkoszy, która zalała mnie aż po czubek głowy. Boże. Cholera.
Skończyliśmy jednocześnie. Mieliliśmy szczęście.
- Przepraszam – powiedziałem, myśląc o mojej nieostrożności, choć byłem pewien, że nie byłem jej pierwszym facetem.
Dziewczyna wstała, urwała kawałek papieru toaletowego i wyszła z kabiny. Kiedy poprawiała sobie sukienkę, zauważyłem, że pod piersią ma tatuaż ze skorupiakiem.
Pospiesznie podciągnąłem spodnie. Myślałem, że jest zdenerwowana i chciałem ją uspokoić.
- Nie przejmuj się, jestem czysta. A to było naprawdę niezłe.
- Nie spodziewałem się takiego obrotu sprawy, naprawdę – próbowałem się tłumaczyć. Byłem żałosny.
- Wiesz co? Mam ciężką pracę. Spędzam dużo czasu z trupami. Czuję ich odór, muszę ich dotykać – zaczęła wyjaśniać, poprawiając makijaż. – Przywykłam już do tego smrodu, posiniałych ciał, a nawet mówienia do nich. Po wyjściu ze szpitala nie mam ochoty na to, aby ktoś mnie dotykał. Nie mam nawet chłopaka. I tak wygląda moje życie. Ale od czasu do czasu potrzebuję poczuć, że żyję. Poczuć pożądanie. To wszystko. Nic osobistego. Nie chcę, żebyś czuł się niezręcznie...
- Dlaczego wytatuowałaś sobie kraba? – zapytałem. Stałem za nią, przyglądając się jej odbiciu w lustrze.
Miranda wzdrygnęła się, spojrzała w lustro na siebie, a potem na mnie, przewiercając mnie wzrokiem.
Zamknęła puderniczkę i odwróciła się.
- Naprawdę chcesz wiedzieć? – spojrzała mi w oczy. Przytaknąłem. Wybuchła śmiechem. Nic z tego nie rozumiałem. – Eh! Jak ty lubisz plotki, Gabriel!
- Nie traktuj mnie jak przygłupa! – zaprotestowałem i pogroziłem jej palcem. Atmosfera zgęstniała. Miranda wyraźnie się ze mnie naigrywała. – Okłamałaś policję!
- Gryziپیórek... – wycedziła lekceważącym tonem. – To wszystko bzdury. Nikogo nie okłamałam. I co teraz? Powiesz o narkotykach swojemu koleżce? Jaka ze mnie idiotka! Przez ciebie wyrzucą mnie z pracy.
- Opowiedz mi o tatuażu, śmiało...

Ktoś zbliżał się do łazienki.

– To taka moda, OK? – powiedziała zmieszana. – Podoba mi się i tyle. Ty i twój przyjaciel jesteście opóźnieni o kilka miesięcy... A takie z was mądrale!

– O czym ty mówisz? Minęło zaledwie kilka dni od pierwszych wypadków...

– Ludzie zaczęli to brać na początku tego lata. Nie masz pojęcia, co się dzieje – wyjaśniła i poprawiła majtki. – Jak myślisz, kim był ten gość, którego badaliśmy rano?

– A kraby? Co one mają do rzeczy?

– Nie wiem, człowieku... – powiedziała, malując usta szminką. – Mówią, że gość, który rozprawdza tabletki był członkiem jakiejś sekty. Stracił żonę i postanowił spróbować wszystkiego, co pozwoliłoby mu się z nią skontaktować. Do tego stopnia, że postradał zmysły i zamienił się w kraba, jak inni... I tyle. To wszystko.

– Co to za sekta? Wiesz jak się nazywa? – nalegałem.

– Ech! – westchnęła i chwyciła torebkę. – Bzykanie ma na ciebie zły wpływ, Gabriel. Chcesz wybrać się w podróż i poczuć to na własnej skórze? Może znajdziesz odpowiedzi, których szukasz i przestaniesz się wreszcie czepiać.

– Czy to kwas?

– Nie – powiedziała. – Daje innego kopa. Chyba zostało mi trochę. Poczekaj...

Gdy Miranda przeszukiwała torbę, otworzyły się drzwi do łazienki. To był barman.

– Tam na górze się biją! – zawołał przestraszony i dodał – Daj spokój, Miranda, nie teraz. Zaraz będzie tu policja.

Dziewczyna popatrzyła na mnie, dając mi do zrozumienia, żebym pomógł jej koledze.

Poszedłem na górę.

To był Barbudo, przyjaciel Bordonado, ten nudziarz bez ikry, z którym piłem piwo dzień wcześniej. Ku mojemu zaskoczeniu, z tamtego Barbudo została tylko koszula w kratę i niemodna broda. Chłopak wszczął bijatykę z dwiema prostytutkami i ich alfonsiem. Obie kobiety, zarówno grubaska z kolumbijskim akcentem, jak i wymalowana blondyna o rosyjskiej urodzie, miały posiniaczone twarze. Alfons ze złamanym i krwawiącym nosem opierał się o ścianę, a rozwścieczony Barbudo miotał się, próbując osiągnąć kolejny raz którejs z dziewczyn.

Razem z barmanem spróbowaliśmy ich rozdzielić, ale bezskutecznie. Gdy obejrzałem się za siebie w poszukiwaniu Mirandy, dostałem cios w twarz i upadłem na podłogę.

Bolało.

Zanim przyjechała policja, Miranda uciekła, a na sali pojawiło się dwóch innych alfonsów. Bijatyka trwała dalej. Barbudo chwycił pustą butelkę i rozbił ją o podłogę, na co alfons o słowiańskich rysach twarzy zareagował, wymierzając mu kopniaka w rękę. Chłopak zrobił unik, podbiegł do napastnika i wbił mu butelkę w twarz. Rozległ się przerażający krzyk. Krew siknęła jak z hydrantu. Rozejrzałem się w poszukiwaniu pomocy, ale wszyscy zniknęli. Drzwi do baru były zamknięte, a barman wyparował. Mężczyzna wyjął nóż, zaszedł Barbudo od tyłu i dźgnął go w nerkę. Dwa szybkie ciosy. Z trzecim nie zdążył. Barbudo odepchnął sutenera, wyszarpnął nóż z rany i przeciągnął nim po gardle Słowianina. Ten zamarł, zbladł i upadł na kolana. Wykrwawiał się na śmierć. W końcu zwałił się jak długi na ziemię.

W oddali słyhać było policyjne syreny. Nie oglądając się za siebie, ruszyłem w poszukiwaniu Mirandy. Kierując się zapachem jej perfum, mieszającym się z wilgotnym nocnym powietrzem, znalazłem ją kilka minut później, leżącą w bramie i nieprzytomną. Zawołałem ją po imieniu. Nie zareagowała. Uderzyłem ją lekko w policzek, ale ciągle leżała bez czucia. Po chwili coś wymruczała.

– Dalej, Miranda, postaraj się... – zachęcałem ją. Pomogłem jej wstać i wziąłem pod ramiona. Wyglądaliśmy jak pijana para, wracająca do domu po kilku drinkach za dużo. Mogła iść, była już przytomna. Potrzebowała zimnego prysznica.

Wezwałem taksówkę i zabrałem ją do siebie. Na dobre ocknęła się dopiero w windzie.

– Gabriel? – wymamrotała. – To ty?

– Tak, to ja – odpowiedziałem. – Oszczędzaj siły, będziesz ich potrzebować.

– Ty mnie uratowałeś? – zapytała, powoli dochodząc do siebie.

Włożyłem klucz do zamka. Pchnąłem drzwi i poczułem na twarzy podmuch wiatru. Okno było otwarte. W mieszkaniu unosiła się jakaś silna woń, cierpka i intensywna. Przypominała zapach plaży, portowej wilgoci i rozkładającej się ryby.

Wymacałem włącznik, przycisnąłem, ale światło nie zapaliło się. Pewnie spaliła się żarówka w przedpokoju.

Zaniepokojony wszedłem do salonu, ale tu wszystko wydawało się w porządku.

– Chodź, przygotuję ci kąpiel – powiedziałem.

Skierowaliśmy się w stronę łazienki i poczułem, że zapach staje się coraz bardziej intensywny.

Otworzyłem drzwi. Przekręciłem włącznik.

Zacząłem się trząść ze strachu.

Najpierw zobaczyłem w wannie głowę, a potem resztę ciała unoszącego się w zabarwionej na czerwono wodzie. To był Bordonado. Biedny stażysta. Ten sam, którego kilka godzin wcześniej widziałem, jak witał się z dziewczyną. Był nagi. Nie miał oczu, a wokół niego pływały kraby pustelniki i siekały pokiereszowane ciało.

Oparłem Mirandę o ścianę i wyciągnąłem telefon.

Musiałem zadzwonić.

Zanim zdążyłem wybrać numer, rozbłysnął ekran.

Ktoś do mnie dzwonił.

To był Rojo. Wcisnąłem zieloną słuchawkę i przyłożyłem telefon do ucha.

– Musimy się spotkać – powiedział inspektor drżącym głosem. – Wydarzyło się coś nieoczekiwanego.

Wzięłem głęboki oddech.

Wstrzymałem powietrze na dwie sekundy i wyrzuciłem z żołądka żółtawą miksturę.

– Tak... – kontynuowałem rozmowę.

– Co się dzieje, Gabriel?



6

Dekadencja. Czujesz, jakbyś siedział w wagoniku kolejki górskiej, gdy ta zatrzymuje się na samym szczycie toru. Nabierasz powietrza w płuca, łaskocze cię w tyłku, drętwieją ci mięśnie, a ciśnienie rośnie. Czas staje w miejscu. Potem z emocji wstrzymujesz oddech i łapiesz mocno za metalowy uchwyt. Jesteś takim idiotą, że przestajesz cieszyć się wyjątkowością chwili. Powoli opadasz kilka centymetrów, ale wydaje ci się, że to całe kilometry. Rozluźniasz się. Spadasz z pełną prędkością, czas ci się dłuży, serce staje na chwilę, a potem znowu zaczyna bić, słyszysz dzwony i znów nabierasz powietrza.

Pokiereszowany trup chłopaka ciągle leżał w wannie. Poczułem ukłucie w piersi. Spojrzałem na Mirandę, która to odzyskiwała przytomność, to ją traciła, w przebłyskach świadomości wymiotując na stos kłębiących się w toalecie krabów.

- Co się stało, Gabriel? - powtarzał inspektor Rojo na drugim końcu linii. Dziewczyna jęknęła. - Kto tam z tobą jest?

- Musisz przyjechać do mojego mieszkania - poinformowałem Rojo. Chwyciłem Mirandę za rękę i zaciągnąłem do kuchni. - Lepiej, żebyś to zobaczył na własne oczy.

- Już jadę - odpowiedział.

- Zaczekaj! - krzyknąłem, zanim zdążył się rozłączyć. - Przyjeźdź sam. Nie zabieraj nikogo, nawet swojego adepta.

Wyjąłem szklankę z szafki, napełniłem wodą i podałem dziewczynie.

- W porządku - odparł. - Tylko nie rób nic głupiego.

Miranda podeszła do zlewu i ponownie wymiotowała.

- Kurwa, zapaskudzisz wszystko... - krzyknąłem i chwyciłem ją za szyję. Odkręciłem kran, zwilżyłem jej kark zimną wodą i znalazłem w szufladzie witaminę B12. - Połknij. To ci pomoże.

Wzięła tabletkę jak przykładna pacjentka i popiła wodą. Zaprowadziłem ją do salonu i położyłem na kanapie. Ściągnąłem z niej niegdyś piękną, a teraz poplamioną i śmierdzącą sukienkę. Ubrałem w białą bawełnianą koszulkę z wizerunkiem katedry Sagrada Família. Przykryłem starym kocem, modląc się, aby nie zabrudziła kanapy.

Przez większość czasu dziewczyna nie była świadoma tego, co się wokół niej dzieje, a kiedy przytomniała, miała siłę jedynie na kolejne wymioty.

Jeżeli chciałem z niej wydobyć jakiegokolwiek informacje, to musiałem poczekać. Nie mogłem poprzestać na tych kilku słabych dowodach, które udało mi się do tej pory zdobyć.

Ten, kto zrobił to Bordonado, wiedział, gdzie mieszkam i znał moje zwyczaje. Być może obserwował mnie i skorzystał z okazji, że wyszedłem z domu. Znał również chłopaka. Co za sukinsyn... Wróciłem do łazienki i zrobiłem kilka zdjęć telefonem.

Było mi go żal. Nie był niczemu winien. Jeszcze parę godzin wcześniej był na randce. Jak można mieć takiego pecha? A może nie został zabity tutaj? Może ktoś przyniósł tu jego ciało już po śmierci? Może naćpał się gdzieś jak małpa? Może, może. Te sprawy przerastały mnie, a osoba, która mogła mi pomóc, spała na kanapie.

Rozległ się dzwonek u drzwi. Podeszedłem, spojrzałem przez złodziejkę i rozejrzałem się po klatce. Przed drzwiami stał Rojo.

- Wejdz - wpuściłem go do środka.

- Och! Co to za smród? - zapytał. Inspektor zignorował leżącą dziewczynę i kierując się odurzającym odorem, ruszył do łazienki.

- Matko Boska! - zawołał. - Wezwałeś karetkę?

- Nie. Przecież on nie żyje.

- Skąd to wiesz? - zapytał i muskularną ręką odsunął mnie na bok. Rozgonił skorupiaki i sprawdził puls na szyi. - Masz rację. Co za horror.

- Co robimy? - zapytałem drżącym głosem.

- Niech pomyśle... - odpowiedział i rozejrzał się wokół. - Muszę zadzwonić do biura.

- Nie, nie możesz - zaprotestowałem energicznie. Rojo spojrział na mnie pytająco. - Ten, kto to zrobił, na bank nas obserwuje.

- Opowiadaj...

- Tej nocy wydarzyło się kilka dziwnych rzeczy - zacząłem. - Ktoś próbuje mnie zastraszyć. Ten narkotyk, czy cokolwiek sprzedają, powoduje, że ludzie zachowują się nieobliczalnie.

- Co widziałeś?

- Ludzi, którzy ciągle się ruszali, a powinni być już martwi.

- Musimy coś z nim zrobić - powiedział Rojo i wskazał na ciało. Smród stał się nie do zniesienia. Fetor wypełnił całe mieszkanie. Za jakiś czas przedostanie się do pozostałej części budynku.

- Ty decydujesz.

- Za pół godziny zadzwonię po ekipę - wyjaśnił. - Do tego czasu ty przeniesiesz się do innego mieszkania. Zrób z dziewczyną co uważasz, ale jej też tu nie było. Mam nadzieję, że byłeś ostrożny i niczego przed nami nie ukrywasz ... Prawo jest prawem. Zobaczymy się za dwa dni. Będę na ciebie czekał w pubie Texaco, na plaży w San Juan, w porze kolacji. Prowadzą go moi znajomi - to bezpieczne miejsce.

- Jak chcesz - odpowiedziałem - ale za bardzo nie wiem, gdzie mam się teraz podziak.

- Ogarnij się, Caballero - uciął. - Jesteś dużym chłopcem. Coś wymyślisz. Oczywiście żadnych telefonów, żadnych prób kontaktu. Od czasu sprawy z Tabarcą ktoś próbuje zrujnować moją karierę.

Nigdy nie wróciliśmy do wydarzeń na wyspie.

Był to mroczny epizod, który miał miejsce dwanaście miesięcy wcześniej, w roku sukcesu reprezentacji hiszpańskiej, śmierci mojego przyjaciela - Hidalga, znajomości z Clarą i z Blanką Desastres. Chyba nie mieliśmy odwagi o tym rozmawiać i każdy z nas zajął się swoimi sprawami. Oddaliliśmy się od siebie i zapomnieliśmy o historii, która nas zbliżyła. Inspektor, podobnie jak ja, eksplorował swoje labirynty i, polując na czarownice, szukał odpowiedzi na dręczące go pytania.

Teraz miałem wrażenie, że historia z Violetta, atrakcyjną terapeutką, która przespaa się ze mną, by kilka godzin później próbować mnie zabić, jeszcze się nie skończyła. Była częścią złożonej sieci, dobrze naoliwionego mechanizmu. Ale w końcu krety opuszczają swoją kryjówkę. To kwestia czasu.

- Trzeba się zwijać - oznajmiłem markotnie. Chciałem już opuścić mieszkanie. Wkrótce przyjadą śledczy, będą szukać dowodów, zapewne obejmą mnie dozorem i ograniczą na pewien czas swobodne działanie.

- Poczekaj... - zawołał Rojo i chwycił mnie za ramię. Gdy się odwróciłem, w dłoni trzymał płytę DVD. - Masz odtwarzacz? Zanim wyjdiesz, chcę ci coś pokazać...

Przeszliśmy do salonu i włączyłem telewizor. Przez uchylone balkonowe drzwi do mieszkania wpadało poranne światło.

- Jeszcze mi wyśpiewasz, jak ona się tutaj znalazła - powiedział oficer, patrząc na dziewczynę. - Nie wyglądała na łatwą...

Wziąłem od Rojo płytę i włożyłem do odtwarzacza.

Nacisnąłem start.



Kolory obrazu były przekłamane. To był amatorski film. Kamera pokazywała przestronny pokój w wiejskim domu, połączony z salonem. Słychać było muzykę, ale przez pierwsze kilkadziesiąt sekund nic się nie działo. Po krótkiej chwili w kadrze pojawiły się dwie bardzo szczupłe blondynki.

Kamera zrobiła zbliżenie na obie kobiety, a następnie oddaliła się.

Kobiety były ubrane w szerokie i luźne białe stroje. Rozpoznałem twarz jednej z nich. To była żona Rojo - ta sama kobieta, której zdjęcie widziałem na jego biurku. Teraz wyglądała inaczej, ale nie potrafiłem stwierdzić, co się w niej zmieniło. Może, mimo młodzieńczej urody, na twarzy widać było oznaki przemijającego czasu. Obie kobiety wyglądały atrakcyjnie, ale w ich spojrzeniu nie było życia. Może był to efekt zażytego narkotyku, kto wie. Siedzący obok mnie inspektor był całkowicie pochłonięty obrazem. Wyglądał, jakby nie miał kontaktu z rzeczywistością. Przypuszczałem, że widział film wcześniej pewnie dziesiątki razy.

Kobiety chodziły boso po drewnianej podłodze nieumeblowanego, przestronnego pomieszczenia. Nie było w nim kanapy, krzesel ani żadnych półek. Następnie zaczęły tańczyć. Żona Rojo, wpatrzona w obiektyw, karnie wykonywała polecenia, które wydawał operator kamery. Druga kobieta była równie mocno zaangażowana w rytualny taniec. Za uchylonym dekoltem zobaczyliśmy wytatuowanego kraba na piersi. Żona Rojo miała ciało czyste jak łąka. Żadnych krabów, żadnych tatuaży. Co miał oznaczać ten rytualny taniec? Zapewne Rojo znał na

to odpowiedź – tak samo jak i na wiele innych dręczących mnie pytań. Pewnie wiedział, kiedy nagrano film. Brak jakichkolwiek przedmiotów w pomieszczeniu wskazywał na to, że został starannie wyreżyserowany i nie można było na pierwszy rzut oka stwierdzić, kiedy i gdzie został nakręcony.

Po chwili usłyszeliśmy inny dźwięk. To był, nieudolnie wmontowany w film, męski głos. Ktokolwiek to zrobił, nie miał zielonego pojęcia o obróbce cyfrowej.

– Trzymaj się od nas z daleka. Nie możesz nic zrobić – oznajmił głos z dziwnym, obcym akcentem. – Twoja żona jest poza twoim zasięgiem. Poddaj się i nie mieszaj się w to. Już jest za późno.

– Wiesz, kto to jest? – zapytałem. Na twarzy Rojo widać było napięcie. Cały był sztywny. Wyglądał, jakby za chwilę miał eksplodować.

– Meksykanin – odpowiedział. – To meksykański akcent. To wszystko, co wiem.

– Oni cię szantażują, Rojo.

Rojo był wyraźnie poruszony. Wpatrywał się w nieruchomy obraz żony. Trudno mi było sobie wyobrazić, co musi teraz czuć. To był kolejny trop, a Rojo powoli zbliżał się już do swojego celu. Ta sama osoba, która skontaktowała się z nim, znalazła również mnie. Nie miałem wątpliwości, że obserwowali nas od dawna. Narkotyki to intratny i rozwojowy biznes. Zapotrzebowanie na nie stale rosło na wybrzeżu. Skąd pochodziły dostawy? Pewnie ze wschodu Europy. Syntetyczne narkotyki „Made in Russia”. Handel heroiną był w byłym Związku Radzieckim bardzo pewnym interesem. Zyski narkotykowego dealera kilkukrotnie przewyższały zarobki zwykłego urzędnika, a brak naturalnych narkotyków zmuszał mafiosów do produkowania substancji zastępczych.

Musielśmy działać szybko. Trzeba było przeanalizować wszystko od nowa. Razem. Sformować zespół. Dwie głowy to za mało, tym bardziej, że Rojo był na skraju załamania.

Potrzebowaliśmy trzeciej osoby.

Na samą myśl o NIEJ, zrobiło mi się niedobrze i poczułem się jak kupa gówna.

Będę się musiał bardzo postarać i przygotować wystarczająco kuszącą propozycję.

– Znam kogoś, kto może nam w tym wszystkim pomóc – oznajmiłem.

Rojo oderwał na chwilę wzrok od ekranu i spojrzał na mnie.

– Ociągasz się, Caballero. Bądź mężczyzną i wykonaj ten telefon. Potrzebujemy jej.

Obaj mówiliśmy o tej samej osobie. O Blance Desastres.



Do salonu zaglądało już poranne słońce. Z ulicy dobiegały odgłosy otwieranych w barach żaluzji, ruchu ulicznego i wyjących karetek. Powietrze zaczęło wypełniać się zapachem kawy z ekspresu.

– Czas na nas – oznajmiłem i wstałem. Podszedłem do śpiącej Mirandy. Śmierdzący i brudny pochyliłem się nad nią i pogłaskałem po policzku.

– Obudź się, musimy iść.

Miranda poruszyła oczami, nie podnosząc powiek.

Chrapnęła.

– Pięć minut, błagam... – wyszeptęła.

– Nie, dzisiaj nie pośpisz – oznajmiłem. – Umyj twarz i idziemy. Zaraz będzie tu policja.

Otworzyła lewe oko i spojrzała na inspektora. Przetarła drugie oko i ziewnęła.

– Gówno – powiedziała. – Cholera, a co z tym martwym facetem? To mi się przyśniło, prawda?

– To nie czas na wyjaśnienia – odparł Rojo. Wyłączył telewizor i wyjął płytę. – Panienko, posłuchaj co do ciebie mówi Gabriel. Dobrze?

– Nie ma mowy, idę do domu – zaprotestowała. – Co się stało, Gabriel? Co tu się dzieje?

– Mirando... – zaczął ostrzegawczo Rojo. – Nie każ mi się wieść na komisariat. Zeznania w twoim przypadku oznaczają koniec kariery. Bądź posłuszna i idź z nim.

Dziewczynie odjęło mowę.

– Umyj się w kuchni i ruszamy – rozkazałem. – Musimy stąd zniknąć.

Miranda, ubrana w moją koszulkę obnażającą jej szczupłe uda, wyglądała bardzo zmysłowo.

– I proszę, załóż spodnie – dodał Rojo.

Dałem jej parę obcisłych, pasujących na nią dżinsów. Pożegnałem się bez większego żalu z mieszkaniem.

Skinąłem głową w kierunku Rojo i pociągnąłem za sobą dziewczynę. Na klatce wytarłem jej niedomyty nos. Uśmiechnęła się.

- Dokąd pójdziemy? - zapytała.



Ukrywanie się to jedna z nielicznych rzeczy, w których byłem dobry. Gorące powietrze bezlitośnie smagało wnętrze Porsche. Miranda, zamyślona, wpatrywała się w brunatne wzniesienia i słoneczną plażę na horyzoncie. Opuściliśmy miasto. Minęliśmy port, a ja pozwoliłem się nieść podrzędnym drogom. Mijaliśmy tanie bary dla kierowców ciężarówek. W oddali na niebie widać było kolejkę samolotów przygotowujących się do lądowania na lotnisku El Altet. W radiu leciała znajoma piosenka z lat osiemdziesiątych, której tytułu nie mogłem sobie przypomnieć.

– Dokąd jedziemy, Gabriel? – zapytała Miranda. Wyglądała jak zwiędły kwiat.

– Dobre pytanie – mruknąłem i dodałem gazu.

Dwadzieścia minut później zaparkowałem samochód w wąskiej uliczce obok śpiącej jeszcze plaży. W kierunku brzegu zmierzało kilku starszuchów z koszulami zarzuconymi na ramiona i parasolkami pod pachą. Taki letni obrządek: miejsce na plaży, rozstawiony parasol, trochę lekkich ćwiczeń, potem cygaro i powrót do domu.

To tutaj. Dotarliśmy.

Rozejrzałem się.

Podstawową zasadą każdej ukrywającej się osoby jest niezwracanie na siebie uwagi, a rodzinny apartament przy plaży to dobre miejsce, aby pozostać niezauważonym.

Na szczęście nie musiałem przechodzić przez formalności związane z wynajmem, ponieważ lokum należało do moich rodziców. Mogliśmy więc od razu udać się do mieszkania. Zachęciłem Mirandę do wzięcia prysznicu i krótkiej drzemki. Właściwie to oboje potrzebowaliśmy snu. Uruchomiłem stary tranzystor i włączyłem Radio3, aby ożywić nieco ten letni poranek. Otworzyłem okna i wyszedłem na balkon. Z łazienki dobiegał hałas prysznicu. Zamyśliłem się. W zachowaniu dziewczyny było coś dziwnego. Miałem złe przeczucia.

Słuchałem radia w towarzystwie skrzeczących mew i rozmyślałem. Z każdą chwilą utwierdzałem się w przekonaniu, że jednak nie dam sobie rady bez pomocy Blanki Desastres. Z jednej strony nie chciałem jej wciągać w kolejną historię, z drugiej zaś czułem, że wcześniej czy później i tak weźmie w niej udział.

– Tak? – usłyszałem jej głos kilka sekund po wybraniu numeru. – Kto mówi?

– Cześć Blanka, to ja, Gabriel.

– Cześć Gabriel – przywitała się poważnym tonem. – Czego chcesz?

Nastała cisza. Wziętem głęboki oddech. Głos drżał mi ze zdenerwowania.

– Nie dzwonię po to, aby prosić cię o przebaczenie... – zacząłem.

– Nie? – zdziwiła się. – W takim razie wal się.

– Poczekaj! Nie rozłączaj się.

– ...

– Słyszę twój oddech.

– ...

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedziałem błagalnym tonem. – Nie tylko ja. Inspektor Rojo również.

– Dzwonisz trochę nie w porę, Gabrielu – odezwała się w końcu rozzarowana. Bóg wie, jak długo czekała na przeprosiny, których i tak nigdy nie usłyszy. – Jestem na wakacjach i nie mam czasu na wasze historie.

– Posłuchaj, Blanka – powtórzyłem. – Na wybrzeżu dzieje się coś bardzo dziwnego. Rojo znalazł kogoś, kto wie, gdzie jest jego żona.

Blanka milczała. Zawsze intrygowała ją tajemnica zniknięcia żony inspektora i tych wszystkich innych kobiet.

– Nie wiem, co mam ci powiedzieć, Gabriel.

– Dobrze wiesz, że jesteś ostatnią osobą, do której zwracałbym się z problemem – powiedziałem – ale jesteśmy zdesperowani, nie mamy wyboru... Sytuacja na całym wybrzeżu staje się coraz bardziej napięta. Ludzie umierają po zażyciu nowego narkotyku. Nikt nic nie wie, a policja nie jest w stanie nic zrobić. Blanka, masz dobrą intuicję. Bez ciebie nie będziemy w stanie poskładać tego wszystkiego w całość.

– A co będę z tego miała?

- Przejdiesz do historii – powiedziałem. – Obiecuję.
- Chcę sto procent, Gabriel – zażądała. – Nie wiedzie mi się ostatnio.
- Jak sobie życzysz – zgodziłem się. – Kiedy przyjeżdżasz? Jestem w wakacyjnym apartamencie moich rodziców.

- Daj mi kilka godzin – powiedziała – znam drogę.

W tym samym momencie usłyszałem trzaśnięcie drzwiami. Odgłos dobiegł z mieszkania. Wszedłem do środka i natychmiast domyśliłem się, co się takiego stało. Miranda wyszła i zamknęła drzwi od zewnątrz.

- Cholera! – westchnąłem do siebie i pobiegłem na balkon. – Miranda! – zawołałem.

Dziewczyna wsiadła do mojego samochodu i po chwili zniknęła za rogiem.

- Z kim rozmawiasz? – pytała Blanka.

Rozłączyłem się.

Stałem na środku pokoju, nie wiedząc, co mam zrobić.

- Mówiłem ci, żebyś do mnie nie dzwonił – zirytował się Rojo. – Czego, do diabła, chcesz?

- Dziewczyna uciekła – odparłem. – Zabrała mój samochód. Powiadom patrol. Niech ją zlokalizują i śledzą.

Będzie naszą przynętą!

- Chwilę... Co ty mówisz, Caballero? – zapytał z niedowierzaniem. – Jak mogłeś być takim palantem?

Miał rację.

Ale to był wypadek.

- Nie ma czasu na wyjaśnienia. Powiedz im, żeby obstawili wszystkie drogi wyjazdowe – powiedziałem. – Za dziesięć minut już jej nie będzie w okolicy.

- Gdzie jesteś? – zapytał.

- W mieszkaniu na plaży.

- Już kogoś wysyłam, nigdzie się nie ruszaj – powiedział. – Podaj mi swoją lokalizację.

Inspektor Rojo chrząknął i rozłączył się.

Z balkonu widać było plażę oblewaną przez krystalicznie czyste fale. Słońce odbijało się w wodzie i skrzyło, a na horyzoncie powoli przesuwały się przepływające statki. Z balkonu sprawiała wrażenie miniaturowych okrętów, które można było zmieścić w dłoni.

Wróciłem do mieszkania, przejrzałem szuflady i szafy w poszukiwaniu zapasowych kluczy. Przetrzęsnałem wszystkie zakamarki. W końcu, zrezygnowany, wymierzyłem kopniaka w stół. Czekanie na kogoś od Rojo na nic się nie zda. Wszedłem na balkon i wzrokiem zmierzyłem odległość dzielącą mnie od trawnika. Gdybym skoczył z drugiego piętra, pewnie złamałbym sobie nogę. Zauważyłem jednak, że sąsiedzi z pierwszego piętra rozwinęli na swoim balkonie markizę. Pomyślałem, że skok w pierwszej kolejności na nią zamortyzuje uderzenie.

Przeszedłem przez barierkę i modląc się puściłem się w dół. Jak to zwykle bywa w takich sytuacjach, ktoś mnie zobaczył. Gdy ledwie dotknąłem markizy, jakaś mała dziewczynka zaczęła drzeć się wniebogłosy.

- Samobójca! Skacze!

Sąsiedzi wylegli na balkony, poirytowani faktem, że ktoś zakłóca ich spokój.

- Nie skacz jeszcze! – krzyczał mężczyzna na ulicy. Od ziemi dzieliło mnie zaledwie kilka metrów. – Wstrzymaj się, dzieciaku! Złapię cię!

Nie posłuchałem i oderwałem ręce od aluminiowej konstrukcji. W trakcie zjeżdżania z markizy poczułem mrowienie w tyłku, opór brezentu pod stopami i lekkie odbicie. To wszystko wydarzyło się tak szybko, że nie poczułem upadku. Z balkonów rozległo się zbiorowe westchnięcie ulgi. Dla wielu był to zapewne najciekawszy moment ich nudnego dnia. Wylądowałem na trawniku.

Obmacałem nogi – były obolałe, ale chyba niczego sobie nie złamałem. Natychmiast podbiegł do mnie mężczyzna w koszuli z krótkim rękawem i okularach pilotkach.

- Wszystko w porządku? – zapytał. – Nie mogłeś zadzwonić po straż pożarną?

Ciekawscy wylegli na ulicę. Niespodziewanie pojawiłem się w centrum uwagi. Zdawało się, że zebrani czekają na moje wyjaśnienia. Nagle przez szmery zaciekawionych przebił się głośny dźwięk klaksonu.

- No dalej! Wstawaj! – powtarzał raz po raz mężczyzna. – Chyba cię trochę ogłuszyło...

Znowu rozległ się odgłos klaksonu. Zgromadzony wokół mnie tłum rozstał się i zobaczyłem potężnego, zielonego Mercedesa SLK. Złapałem rękę mężczyzny, który zaferował mi pomoc. Wstałem i jeszcze raz przyjrzałem się samochodowi. Kolejny klakson zabrzmiał jak zaproszenie na przejażdżkę. To była ona. Moja wybawczyni.

Dokużykałem do drzwi pojazdu.

- Wsiadaj! - rozkazała Blanka.

- Skąd wzięłaś się tu tak szybko? - spytałem.

- Zapnij pas - rozkazała.

Wrzuciła bieg, wcisnęła pedał gazu i ruszyliśmy z piskiem opon, zostawiając za sobą chmurę spalin.



S tyl jazdy Blanki zawsze wywoływał u mnie zawroty głowy. Jechała brawurowo, wyprzedzając wszystkie pojazdy, które stawały nam na drodze. Nie zwracała uwagi na sygnalizację świetlną, hamowała nagle, pokonując zwinnie niemożliwe do pokonania przy tej prędkości zakręty, wprawiając tym samym w osłupienie innych kierowców. Próbowiałem zająć się podziwianiem widoków. Bezskutecznie.

Serce waliło mi jak młot.

Gdy minęliśmy zabudowania, wreszcie odetchnąłem.

– Wszystko w porządku? – zapytała, uśmiechając się.

– Teraz rozumiem, dlaczego pojawiłaś się tak szybko – powiedziałem i opuściłem szybę z zamiarem zapalenia papierosa.

– Nie pal. To samochód mojego ojca.

Schowałem papierosa z powrotem do paczki.

– To pewnie Rojo do ciebie zadzwonił, prawda? – zapytałem.

– Mieliście szczęście... – powiedziała. – Byłam na wakacjach w San Juan.

– Teraz wszystko trzyma się kupy.

– Dokąd jedziemy?

– Jedź boczną drogą na wschód – powiedziałem. – Miranda z pewnością będzie chciała ominąć kontrole drogowe.

– Jak sobie życzysz... – przytaknęła i jechała na drogę biegnącą wzgórzem nad miejscowością. – Skąd będziemy wiedzieć, że to ona?

– Jedzie moim samochodem... – mruknąłem.

Blanka zaśmiała się, tym razem z powodu absurdu całej tej sytuacji. Spojrzała na mnie i powiedziała pojednawczym tonem:

– Nie martw się, Gabriel. Znajdziemy ją.

Wcisnęła gaz. Wspinaliśmy się pod górę i mijaliśmy podobne do siebie bliźniacze domy z basenami, stojące w niewielkiej odległości od plaży. Część góry zniknęła pod natłokiem nieruchomości. Jej zbocza porane były mnóstwem krętych uliczek. Kiedy przejeżdżałem tędy ostatnio, okolica nie była tak gęsto zabudowana.

Dojechaliśmy do wybrzeża, wzdłuż którego prowadziła dwukierunkowa szosa. Przejechaliśmy odcinek pełen restauracji, urokliwych barów i małych tawern z wyśmienitym jedzeniem. Potem szosa przeszła w drugorzędną, asfaltową drogę, której jedna strona ciągnęła się nad skalistym wybrzeżem, a przy drugiej wznosiło się strome zbocze, na szczycie którego królowała latarnia morska. Na prawo, na horyzoncie błękitnego morza, naszym oczom ukazała się samotna wyspa Tabarca. Przez chwilę oboje patrzyliśmy w tym samym kierunku. To właśnie wydarzenia na wyspie zbliżyły nas na krótko do siebie.

Kiedyś byliśmy dobrą parą, drużyną nie do pokonania – dwa uzupełniające się przeciwieństwa. W ostatecznym rozrachunku jednak ta zabawa nam nie wyszła.

Skłóceni i zakochani mogli szukać pocieszenia w Paryżu.

My zaś – na Tabarce.

Jakiś refleks w oddali wyrwał mnie z zamyślenia. Przyjrzałem się uważnie. To ona. Miranda. W moim czerwonym Porsche. Już widziałem jej długie, falujące na wietrze włosy.

– Jest tam! – krzyknąłem do Blanki. – Nie jedź tak szybko. Lepiej, żeby nas nie zauważyła.

Blanka zmarszczyła czoło.

Zwolniliśmy. Droga pełna była wybojów i ostrych zakrętów. Widok był cudowny. Wokół wydmy, palmy, zarośla i gorące śródziemnomorskie słońce, odbijające się w falach morza.

Muzyka w radiu robiła za ścieżkę dźwiękową naszego pościgu.

– Chyba zostanę tu na zawsze – podzieliłem się z Blanką myślą, która mnie nagle naszła i wysunąłem rękę przez okno. – Jestem przekonany.

I tak właśnie było. Byłem pewien. Przez chwilę czułem się jak najszczęśliwszy człowiek na ziemi. Nie mogłem zrozumieć ludzi, którzy woleli chłód północy od egzotycznej plaży, tłumy odpoczywających mężczyzn i urodziwych kobiet, wybornej gastronomii i wyjątkowych krajobrazów. Byłem zakochany w tej okolicy albo, co gorsza, zapatrzony za bardzo we własną wizję świata.

– Wiesz co? Też uważam, że to miejsce jest idealne dla ciebie – powiedziała Blanka z lekkim sarkazmem. – Jesteś jak zniewolone zwierzę. Dzikie, ale w niewoli. Tu jest twoje środowisko.

– Co masz na myśli? – zerknąłem podejrzliwie na dziewczynę.

– Nie wyobrażam sobie ciebie, Gabriel... – zaczęła, ale nie zdążyła dokończyć zdania. Miranda dojechała do skrzyżowania i skręciła w lewo w dróżkę prowadzącą na szczyt wzgórza. Droga zmierzała do Gran Alacant, jednego z tych osiedli, które znane są przede wszystkim jako sypialnie stolicy. Zamieszkiwali je w większości obcokrajowcy, którzy na początku tysiąclecia zainwestowali w domy wakacyjne, a później postanowili przenieść się tu na zawsze. Rosjanie, Norwegowie, Niemcy, Brytyjczycy, Szwedzi... Flagi różnych krajów, nieznanne rejestracje. Po ulicach w centrum osiedla przechadzały się grupki niebieskookiej blond młodzieży, spalonej zbyt długim przebywaniem na słońcu i rozebranej niemal do naga. Wypatrzyliśmy samochód Mirandy na jednej z centralnych ulic i dla niepoznaki zatrzymaliśmy się przy irlandzkim pubie. Porsche zniknęło za zakrętem.

– Było blisko – odetchnąłem. – Musimy być bardziej ostrożni.

– Co my tu robimy, Gabriel? – zapytała Blanka. – O co tu chodzi?

– Nie wiem, ale wkrótce się dowiemy – zawyrokowałem.

Brak funkcjonariuszy organów ścigania na ulicy nie wróżył dobrze. W razie problemów nie mieliśmy do kogo zwrócić się o pomoc. Wezwana policja potrzebowałaby więcej niż kwadrans, by przedrzeć się do nas przez wąskie uliczki. W tym czasie każdy zbiorczy by nas załatwić.

Jechaliśmy dalej w bezpiecznej odległości. Samochód Mirandy zwolnił i skręcił w zakurzoną drogę prowadzącą donikąd. Po kilkuset metrach zaparkowała obok innych pojazdów stojących rzędem przed ogrodzoną posesją z dużym ogrodem i dwupiętrowym domem.

Dziewczyna wysiadła z samochodu i nerwowym krokiem ruszyła do furtki. Pewnie dokucał jej narkotykowy głód. Kto by pomyślał, że taka młoda kryminolog ze świetlaną przyszłością i karierą skończy jako narkoman.

Słońce paliło ziemię.

Zatrzymaliśmy się nieopodal. Wyłączyłem radio i odpiąłem pas bezpieczeństwa.

– Co teraz? – zapytała Blanka. – Będziemy czekać?

– Wejdę do środka – oznajmiłem. – Chcę zobaczyć twarz tego drania.

– Nie! – zaprotestowała i zablokowała drzwi. – Nigdzie nie pójdziesz, Gabriel. Lepiej zadzwońmy po policję.

Miranda powiedziała coś do domofonu, wyjęła papierosa z torebki i zapaliła. Po krótkiej chwili przy furtce pojawił się mężczyzna – dryblas w czarnym T-shircie, z głową ogoloną po bokach, szerokimi barami i bicepsami wielkości baleronu. Otworzył szeroko bramkę i zaprosił dziewczynę do środka. To był albo bandyta, albo ochroniarz, ale... kto zatrudnił strażnika w prywatnym domu?

Z samochodu nic nie byliśmy w stanie usłyszeć. Popołudniowa cisza, zwykły spokojny letni dzień, bez muzyki i hałasów. Słychać było jedynie krzyki mew w oddali. W tej posiadłości coś musiało się dziać. Miranda doprowadziła nas do jaskini lwa i byliśmy blisko odkrycia, kto za tym wszystkim stoi.

– Otwórz – rozkazałem. – Niczego głupiego nie zrobię, zapewniam cię.

– Nie, Gabrielu – powiedziała drżącym głosem. – Proszę cię.

Położyłem rękę na jej ramieniu. Chciałem się do niej zbliżyć, ale wywołałem jedynie zakłopotanie. Zrezygnowany wycofałem się.

– Posłuchaj, Blanka – wyjaśniłem. – Nie zrobię nic, co naraziłoby nas na ryzyko, przysięgam. Rzucę tylko okiem. Szybko wrócę i znikamy stąd. Jestem ostatnią osobą, która chce się wpakować w kłopoty, okej?

Blanka spojrzała na mnie nieufnie.

– Dobrze, ale pospiesz się – zgodziła się – bo za chwilę będę tego żałować.

Wysiadłem z samochodu i podszedłem do furtki. Rozejrzałem się, ale oprócz obserwującej mnie kamery monitoringu, nikogo tu nie było. Udałem, że jej nie widzę. Nie chcąc martwić Blanki, dałem jej ręką znak, że wszystko jest w porządku. W odpowiedzi posłała mi zatroskane spojrzenie. Co za dziewczyna!

Strach to płomień przygody. Spojrzałem na moje Porsche. Na fotelu pasażera Miranda zostawiła jakieś śmieci i porzrzucone kosmetyki.

Znad żywopłotu, który otaczał ogród, niewiele było widać. Podejrzywałem, że wszyscy są w środku. Skok przez ogrodzenie nie wchodził w rachubę. Zwróciłbym na siebie uwagę kamery, włączyłby się alarm, a obecność ochroniarza sugerowała, że mogą tu być również psy. Nagle, chyba za sprawą magii, furtka drgnęła pod naporem mojego ciała. Usłyszałem cichy odgłos zwalnianego zamka.

Ochroniarz niezdarą zapomniał zamknąć wejście na klucz.

A może nie...

Nie mogłem w to uwierzyć – byłem w środku.



Za furtką, wysypana żwirem ścieżka prowadziła w głąb ogromnego ogrodu ze starannie przyszczyżonym żywopłotem i dającymi cień palmami. Na środku trawnika tryskała fontanna. Wszędzie widać było kamery monitoringu.

Uznałem, że skoro już byłem na terenie posesji, nie pozostało mi nic innego, jak sprawdzić, co znajduje się dalej. Przypuszczałem, że kamery na zewnątrz rejestrowały każdy mój krok.

Ruszyłem ścieżką, która doprowadziła mnie do domu zbudowanego w stylu kolonialnym, z drewnianymi oknami, łukami nad wejściem i podmurówką z kamienia. Prowadzony dźwiękami elektronicznej muzyki jazzowej, wydobywającej się z jego wnętrza i głośników w ogrodzie zaszedłem na tył budynku. Kiedy mijałem owalny basen wykończony niebieskimi płytkami oraz szkłem, coś w nim plusnęło. Wyrzała z niego wyjątkowej urody blondynka o szczupłych i długich nogach. Wyszła z wody i podniosła ręcznik leżący obok leżaka. Miała na sobie czarne, obcisłe bikini, które przylegało ściśle do jej zgrabnego ciała. Wytarła ręcznikiem włosy i obróciła się w moją stronę. Na jej prawym boku zobaczyłem wytatuowany, niebieski symbol kraba.

– Cześć – przywitała mnie zmysłowym głosem. – Spóźniłeś się, wszyscy są już w środku...

– No, tak – przytaknąłem.

Dziewczyna obdarowała mnie uśmiechem.

– Nie przypominam sobie ciebie... Jak ci na imię?

– Gé – odpowiedziałem.

To było pierwsze imię, które przyszło mi do głowy.

Dziewczyna podeszła do mnie, wymachując ręcznikiem i podała mi rękę.

– Nazywam się Linda – przedstawiła się. Odwzajemniłem uścisk dłoni. Sprawiała wrażenie bardzo miłej osoby. – Wiesz co? Nie wyglądasz mi na faceta, który się tym zajmuje.

Nie wiedziałem, o czym mówi, ale sposób w jaki to wypowiedziała, nie za bardzo mi się spodobał.

– Uznam to za komplement – uśmiechnąłem się. – Lepiej już pójdę, nie chcę się spóźnić.

– Jak chcesz. Było mi miło, Gé.

Dziewczyna odprowadziła mnie wzrokiem. Przy głównych drzwiach zobaczyłem więcej dziewcząt w bikini. Opalały się, piły drinki i już na pierwszy rzut oka widać było, że dobrze się bawią. To była prawdziwa impreza. Nie miałem wątpliwości. Byłem ciekaw czy są jedynie gośćmi, czy może zostały wynajęte. Przy ogrodowym barze ustawionym pod jednym z okien domu, młody kelner przygotowywał koktajle. Był tu jedynym mężczyzną. Podeszedłem do niego tak naturalnym krokiem, jakim tylko potrafiłem.

– Co podać? – zapytał chłopak w białej koszuli i muszce pod szyją.

– Wermut proszę – zamówiłem. – W szerokiej, niskiej szklance, dużo lodu, porządnie schłodzony, z oliwką.

Kelner przyjrzał mi się z zaciekawionym.

– Są piękne, prawda? – zagał mnie. – W tym życiu liczą się tylko pieniądze. Nic więcej. A próbują nas przekonać, że jest inaczej...

– Co masz na myśli?

– Te kobiety wiedzą, że mogą mieć wszystko – powiedział i dodał zrezygnowany: – Po co im facet prowadzący normalne życie? Gdy czegoś pragniesz od życia i to dostajesz, to chcesz jeszcze więcej. Tak to się odbywa. Nie wiem, czy zdają sobie sprawę, że ich uroda przeminie i któregoś dnia życie wystawi im rachunek.

– Arystotelesie, skończ to kazanie. Chce mi się pić – uciałem krótko i skierowałem rozmowę na inne tory. Nawet jeśli ten dwudziestoparolatek miał rację, dalsza rozmowa z nim mogła wzbudzić czyjeś podejrzenia.

Nie znałem ludzi, o których mówił, ale wiedziałem, że stać ich na rzeczy, jakich sobie nawet nie wyobrażamy.

– Proszę bardzo – powiedział chłodno, podając wermut. Chwyciłem szklanekę, upiłem łyk i usłyszałem za sobą damski głos:

– Co pijesz?

Odwrociłem się. To była blondynka z basenu.

Musiałem ją czymś zainteresować.

– Podaj jeszcze jeden wermut dla panny Lindy – poleciłem kelnerowi.

– Miło z twojej strony – dziewczyna rozpromieniła się. – Ale nie, dziękuję. Lepiej wejdźmy do środka.

Przyjąłem zaproszenie i ruszyłem za nią odprowadzany zazdrosnym spojrzeniem kobiet.

Przeszliśmy przez żelazny portal. Było południe, ale wewnątrz panował półmrok. Płynący ze środka lekki bebop zachęcał, by wejść dalej. Na końcu długiego korytarza widać było wyjście na duży jasny dziedziniec z fontanną pośrodku. Zastanawiałem się, dlaczego pozostałe dziewczyny nie mogły tu wejść. Ktoś tu ustalał zasady i nikt nie śmiał ich kwestionować. Na ścianach korytarza wisiała kolekcja oprawionych w ramki okładek winylowych płyt z muzyką pop. Gospodarz domu musiał być miłośnikiem gatunków z lat siedemdziesiątych. Dziewczyna szła przede mną, kusząc zgrabnymi pośladkami. Dotarliśmy na dziedziniec, gdzie przy szklanym stole kilku mężczyzn wciągało biały proszek. Towarzyszyły im dwie kobiety i wyglądało na to, że wszyscy dobrze się bawią.

Krótkowłosa brunetka w letniej sukience odwróciła się od stołu, wyciągnęła z wiadra z lodem butelkę cavy i zaczęła ją odkorkowywać. Towarzyszący dziewczynie mężczyźni ochotczo przyglądali się jej wysiłkom. Uśmiechnięta i pobudzona napełniła im kieliszki, a sama przystawiła butelkę do ust, aż wzburzona piana spłynęła po jej brodzie. Wszyscy się roześmiali. Jeden z mężczyzn zaczął grać na wymyślnym saksofonie. Druga brunetka z włosami do ramion, ubrana w dwuczęściowy kostium kąpielowy, zaczęła tańczyć i zmysłowo kręcić biodrami. To była niezła balanga jak na sam środek dnia. Linda wzięła ze stołu dwa puste kieliszki, napełniła je trunkiem i wręczyła reszcie.

– Jest dobrze schłodzona. To świetna cava – zachwalała. Wznieśliśmy toast. – Szkoda byłoby umrzeć i nie spróbować, prawda?

Wyczułem w jej słowach lekką ironię i poczułem się nieswojo.

Brunetka wpadła w hipnotyczny, niekontrolowany trans. Mężczyźni śmiali się, bili brawo, pili i wciągali biały proszek z ud jej koleżanki. Dziewczyna tańczyła dalej. Gdy kryształowy kieliszek spadł na podłogę i roztrzaskał się, stanęła na nim bosą stopą i nie zwracała uwagi na sączącą się z nogi krew. Muzyka grała w coraz szybszym tempie. Dziewczyna również ruszała się coraz szybciej, dopasowując do niej swoje ruchy. Nagle energicznym ruchem zerwała z siebie stanik i stanęła przed nami niemal nago. Na boku miała świeżo wykonany, zakryty przezroczystym plastrem, tatuaż kraba.

– Gdzie jest łazienka? – zwróciłem się do Lindy, która przyglądała się temu przedstawieniu z rozbawieniem.

– Po drugiej stronie dziedzińca – powiedziała i skinieniem głowy wskazała mi kierunek.

Poszedłem w tamtą stronę i trafiłem do ciemnego korytarza, w którym znajdowały się schody prowadzące na pierwsze piętro. Nie wiedziałem, które drzwi mogą być tymi od łazienki, więc postanowiłem otwierać je wszystkie po kolei. Z pierwszego pomieszczenia dobiegły mnie kobiece jęki. Wyglądało na to, że ta impreza nie była zwykłym spotkaniem kilku przyjaciół. Ruszyłem dalej. Za drugimi drzwiami znajdował się pokój z ogromnym łóżkiem na środku. W końcu znalazłem łazienkę. Załatwiłem swoje potrzeby i opłukałem twarz zimną wodą. Wtedy usłyszałem ciche brzęczenie, dobiegające chyba z pierwszego piętra. Przypominało odgłos elektrycznej golarki. Po kilku sekundach domyśliłem się, co to mogło być – maszynka do tatuazu.

Po wyjściu z łazienki, ponownie usłyszałem odgłosy dochodzące z pierwszego pokoju. Podeszedłem bliżej i przyłożyłem ucho do dziurki od klucza.

Słyszał było głośne sapanie kobiety.

– Już! – krzyknął męski głos.

– Tak! Tak! – zawtórowała mu kobieta.

Krzyczeli i jęczeli jak zarzynane świnię.

Niechący oparłem się o kłamkę, drzwi otworzyły się gwałtownie, a ja potknąłem się, straciłem równowagę i wpadłem do pokoju. Przerwałem parze igraszki. W pokoju nastała krępująca cisza.

– Przepraszam! – zacząłem się usprawiedliwiać.

Pierwsze, co zobaczyłem, to niebieski tatuaż pod piersią kobiety. To jej szukałem.

– To ty? – zapytała zaskoczona. To była Miranda. – Jak mnie tu znalazłeś?

Odwrociła się na bok i zasłoniła prześcieradłem. Leżący obok niej mężczyzna, łysiejący czterdziestolatek ze zwisającym, owłosionym brzuchem, popatrzył na mnie uważnie, przekręcił się błyskawicznie na bok i z szuflady nocnego stolika wyciągnął broń.

– Nie strzelaj! – krzyknęła dziewczyna, ale mężczyzna zignorował ją i pociągnął za spust. Rzuciłem się do nóg łóżka.

Błada i goła Miranda zaczęła przeraźliwie krzyżeć.

Pierwsza kula trafiła w okno.

Nie czekając na kolejny strzał, ruszyłem jak najszybciej w stronę drzwi.

Rozległ się kolejny strzał.

Druga kula dosięgła framugi. Mężczyzna nie odezwał się ani słowem, szykując się do kolejnego strzału.

Skacząc jak chart pokonałem dziedziniec. Uzbrojony facet podążał za mną. Minąłem tańczących imprezowiczów, musujące wino, narkotyki i wreszcie dotarłem do głównych drzwi. Wtedy stojący w wejściu dryblas, wysoki na metr dziewięćdziesiąt, niespodziewanie wymierzył mi cios w brzuch. Siła uderzenia w połączeniu z moją prędkością spowodowała, że upadłem i potoczyłem się po ziemi jak kartofel. Obserwując pościg dziewczyny w bikini roześmiały się, nie okazując mi ani krztyny współczucia. Byłem zgubiony. Przed oczami pojawiły mi się mroczki, a silny ból brzucha uniemożliwił oddychanie. Kiedy próbowałem wstać, zobaczyłem zbliżającą się szybko w moim kierunku Mirandę. W ręce trzymała butelkę cavy, którą zgarnęła imprezowiczom. Wyglądała jak zdesperowany Rocky Balboa. Na jej twarzy malowało się rozczarowanie i gniew. Śmierć pukała do moich drzwi. To była ostatnia zapamiętana przeze mnie sekwencja obrazów, która zakończyła się potężnym ciosem w głowę.



Tykanie wskazówek zegara – to był pierwszy dźwięk, który usłyszałem. Obudziło mnie przenikliwe zimno. Fala lodowatej wody spłynęła mi po twarzy. Topiłem się.

Otworzyłem oczy i od razu oślepiło mnie silne światło. Byłem cały mokry i drżałem. Bolała mnie głowa, jak przy najgorszym kacu. Ktoś wysilił się i przywiązał mnie do metalowego krzesła. Mokre ubranie, przyklejone do siedziska, ograniczało moje ruchy.

Zwisająca z sufitu lampa wyglądała jak ukradziony handlarzowi antyków. Miała zainstalowane małe podłużne żarówki i była ozdobiona wypchaną białą sowa, patrzącą w oczy każdemu, kto na nią spojrział. Wokół mnie stało kilku mężczyzn. Padające na mnie światło oślepiało mnie, więc widziałem jedynie ich sylwetki. Z boku zauważyłem monitory ochrony, pokazujące obraz z kamer na zewnątrz. W pomieszczeniu nie było okien i szybko zorientowałem się, że siedzę w piwnicy, tyłem do drzwi.

– Ocknął się – oznajmił spokojny męski głos za mną. Potem ktoś wymierzył mi cios.

Plaf!

– Już jestem przytomny! – krzyknąłem.

Mężczyźni roześmiali się.

– Co pan tu robi, panie Gé? – zapytał drugi z mężczyzn cichym i głębokim głosem, z obcym akcentem. A więc plotki się nie sprawdziły. To nie był akcent ze wschodu, lecz z północy Europy. Może skandynawski?

– Pomyliliście mnie z kimś – powiedziałem i zamilkłem. Usłyszałem zbliżający się stukot obcasów. Kobieta.

– Czy to on? – zapytał ją jeden z mężczyzn.

– Tak – potwierdziła. – Nie wiem, jakim cudem mnie wyszedł.

– Niezła z ciebie suka, Mirando! – wycedziłem ze złością i wtedy ktoś wylał mi na głowę kolejne wiadro lodowatej wody.

Plaf!

– To cię nauczy trzymać język na wodzy – oznajmił domniemany Skandynaw. – Od tej chwili będziesz tylko odpowiadał na pytania. Zrozumiano? W przeciwnym razie zostaniesz ukarany. I obawiam się, że następnym razem to nie będzie woda. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem.

– Co pan tu robi, panie Gé? – kontynuował. Spojrzałem przed siebie. Zbliżyli się do mnie dwaj krępi blondyni w marynarkach i ciemnych okularach. Skrzyżowali ręce na piersiach i czekali na moją odpowiedź. – Proszę odpowiedzieć.

– Już powiedziałem. To pomyłka.

– Dopuścił się pan – ciągnął monotonnym głosem – wtargnięcia z włamaniem.

– Więc niech pan dzwoni na policję – odpyskowałem.

– To nie będzie konieczne – powiedział. Jeden z blondynów podszedł i wymierzył mi cios w brzuch. To już trzeci raz w ciągu tygodnia. Miałem wrażenie, jakby coś we mnie pękło. Splunąłem na podłogę.

- To cię trochę uspokoi - oznajmił głos. - Wiem, czym się pan zajmuje, panie Gé. Pan i pański przyjaciel, ten policjant... Wygląda na to, że nic nie zrozumieliście. Nie dotarło do was, że nie powinniście wściubiać nosa w nie swoje sprawy... a ostrzegąłem, że to nie zabawa.

- Zabiliście chłopaka - stwierdziłem.

- Nie. Myli się pan - zaprzeczył. - Chłopak wyśpiewał wszystko w trzy minuty. Nie trzeba go było zbytnio zachęcać do mówienia.

- Draniu! - krzyknąłem wzburzony. - To jednak nie powód, by go zabijać!

- Nie wiem, czy mnie pan rozumiał - sprostował. - Nie zabiliśmy chłopaka.

- Więc jakim cudem znalazł się w moim mieszkaniu?

- Sam pan wie - roześmiał się. - Złe towarzystwo...

Pozostali mężczyźni zawtórowali mu śmiechem.

Mężczyzna nagle zamilkł i słyszałem tylko jego oddech.

- Co pan wie o żonie inspektora? - zapytał po chwili.

- Widziałem tylko nagranie.

- Chce pan jeszcze coś powiedzieć, zanim pożegna się z tym światem?

- Kim pan jest? Pewnie dilerem - sam sobie odpowiedziałem i potrząsałem głową. - Nieźle ma pan to zorganizowane... Majorka to wolna wyspa, a wybrzeża nie da się zamknąć. Lato, *Spain is different...* Prawda? Jedyne, czego nie rozumiem, to ten krab...

- Mam go już dosyć - stwierdził Skandynaw. - Za dużo mówi. Hiszpanie w ogóle za dużo mówią. Cieszę się, że pan nie wie, co tak naprawdę się dzieje. Podziwiam wytrwałość w podążaniu tropem, który prowadzi donikąd, ale pańska wyprawa właśnie dobiegła końca.

- Gdzie pan się nauczył tak mówić po hiszpańsku? - zapytałem, na co jeden ze zbirów znów mnie uderzył. - Kurwa!

- Czy ból pana podnieca?

- Nie ujdzie wam to na sucho - zagroziłem. Nie wiedziałam, ile jeszcze ciosów wytrzymam. Pewnie jeden i stracę przytomność. - Te pieniądze są splamione krwią.

- Aha - skomentował. - O to chodzi. Narkotyki... To pana martwi.

- Przejmuję się wieloma rzeczami. Wie pan?

- Panie Gé - wyjaśnił - zanim się z panem pożegnaj, proszę pozwolić, że przedstawię to z innej perspektywy, zgodnie z którą narkotyki, niezależnie od jego postaci, nie jest niczym innym niż substancją toksyczną. Może i w tym zgodzę się z panem... Ale narkotyków nie zabija, to ludzie sami siebie zabijają.

- Daruj pan sobie tę gadkę szmatkę handlarza...

- To straszne, jak nisko upadł gatunek ludzki. Popadł w hedonizm i stracił kontrolę. Nie dziwi mnie, że dzieją się tak niedorzeczne rzeczy.

- Po co mi pan to wszystko mówi? - spytałem.

Roześmiał się w głos. Nie widziałem go, bo stał w ciemności, a mnie nadal oślepiało światło z sufitowej lampy.

- Pan, panie Ge, już na pewno nigdy nie wypowie słowa po tym spotkaniu.

Zamierzali mnie odurzyć.

- Przynajmniej powiedz mi, co to jest, chcę wiedzieć.

- To nowy produkt na rynku. Prototyp. Rosję zalewa ogromna ilość tanich substancji. Radzą sobie, jak mogą. Jednak Europa jest inna, mój przyjacielu. Sporo nas to kosztowało, ale ma pan do czynienia z pierwszym związkiem chemicznym, który jest połączeniem syntetycznego i zmodyfikowanego kannabinoidu z ultraskuteczną metamfetaminą. Wszystko to w postaci magicznej pigułki. Czary? Nie... Przebudzenie świadomości, panie Gé! To panaceum tylko dla wybranych.

- Dadzą wam Nobla.

- Pańskie dotychczasowe domysły - kontynuował - potwierdzają siłę bezkresnej głupoty. Czy pan wie, że szamani Majów używali *Salvia divinorum*⁶, aby rozmawiać z bogami? Musiały upłynąć całe wieki, zanim wynaleziono obecny substytut oferujący podróż do Krainy Czarów.

- A pan jest białym królikiem...

- Proszę mnie źle nie zrozumieć. Nie mam zamiaru przypisywać sobie cudzych zasług. Ale co w tym złego, że oferuję ludziom nowe możliwości? Przebudzenie świadomości jest możliwe. Pan sam o tym przecież wie. Widział to pan na własne oczy i doświadczył na własnej skórze... Wszystko mogłoby się uspokoić, gdyby

zalegalizowali pigułkę. Jednak to nie leży w interesie władzy starej Europy. Nielegalne narkotyki są jej niezbędne, aby usprawiedliwić wiele rzeczy.

Słowa osobnika o niewidocznej dla mnie twarzy, dziwnym akcencie i wyrafinowanej składni, brzmiały jak wywód zarozumiałego ekscentryka.

– A o co chodzi z tymi krabami? – zapytałem.

– Myślałem, że wy, dziennikarze, jesteście ocyztani... – westchnął rozczarowany. – Nie mów mi, że nie znasz mitu o hydrze lernejskiej.

– Nie. I mam już dość tych gier – powiedziałem.

W głowie mi huczało.

– Cóż, szkoda.

Zaczynałem mieć dość tego palanta.

Udawałem, że nie wiem, o czym mówi, bo chciałem, żeby opowiedział mi swoją wersję wydarzeń. I przedstawił mi mit o hydrze – ohydny, wielogłowy wąż wodny – i Heraklesie, który go uśmiercił. Krab, wytatuowany na ciałach mężczyzn i kobiet, był jednym ze stworzeń, które mieszkają w jeziorze wraz z bestią. Podczas walki pomiędzy hydrą a Heraklesem, Hera, prawowita żona i siostra Zeusa, wysłała gigantycznego skorupiaka, który miał zaatakować Heraklesa i odwrócić jego uwagę. Herakles zmiażdżył skorupiaka nogą.

Obolały, zmęczony i przerażony, nie rozumiałem niczego, o czym mówił ten krety. Ból głowy stawał się coraz silniejszy, a mokre ubranie potęgowało uczucie zimna.

Miałem niewielkie szanse, aby wydostać się żywy z piwnicy. Spodziewałem się, że za kilka minut podadzą mi narkotyk. Potem tylko Bóg jeden wie, co się wydarzy. Widziałem już niszczycielskie skutki zażycia owej tajemniczej substancji. W najlepszym wypadku skończę z wytatuowanym krabem na piersi i oskarżeniem o przegryzienie tętnicy szyjnej jakiemuś przechodniowi. Nogi mi się trzęsły, a lewa powieka drżała w nerwowym tiku. Kątem oka zauważyłem na jednym z monitorów jakiś ruch. Wydawało mi się, że ktoś wszedł do domu.

– A to dopiero! – mężczyzna również to spostrzegł. – Nie wiedziałem, że mamy towarzystwo. Ale z pana ostrożny człowiek.

Zaniepokojony wpatrywałem się w obraz. Mogłem przecież spodziewać się, że Blankę Desastres znudzi czekanie na mnie w samochodzie.

– Zostawcie ją w spokoju – rzuciłem. – Róbcie, co chcecie ze mną, ale dziewczynę zostawcie w spokoju.

Usłyszałem odgłos otwieranych drzwi i kroki mężczyzn wychodzących z pomieszczenia.

– Jest bardzo ładna – stwierdził. – To pana narzeczona, panie Gé?

– Znam ją – odezwała się Miranda. – Może napytać nam biedy.

Na ekranie widać było mężczyzn podchodzących do Blanki. Byłem bezradny i bałem się, że ją skrzywdzą. Jeden z nich próbował chwycić Blankę za rękę, ale ta odpowiedziała ciosem w przepoń i powaliła go na ziemię. Drugi dryblas, zaskoczony obrotem wydarzeń, wyciągnął zza pasa pistolet elektryczny. Patrzyłem na Blankę i modliłem się gorliwie, aby facet potknął się o coś i chybił. Dryblas wymierzył w nią pistolet, ale dziewczyna kopniakiem wytrąciła mu go z ręki. Pistolet przeleciał kilka metrów i upadł na ziemię. Błance jednak zabrakło odwagi, aby po niego sięgnąć. Ta chwila zawahania okazała się dla niej zgubna. Bandyta odzyskał broń i najpierw strzelił w jej nogę, a potem w klatkę piersiową. Kilka sekund później Blanka leżała na ziemi. Mężczyzna podszedł bliżej i szturchnął ją nogą, sprawdzając czy straciła przytomność. Splunął na żwir, spojrzął w jedną z kamer monitoringu i uniósł kciuk. Za moimi plecami usłyszałem pomruk zadowolenia. Widziałem, jak dryblas wyjmuje telefon i wybiera numer. W pomieszczeniu rozległ się dźwięk dzwonka.

– Przeprowadźcie ją tutaj – rozkazał do słuchawki mój oprawca.

– Zostawcie ją w spokoju! – krzyknąłem, miotając się na krześle. – Nie dotykajcie jej!

– Zadzwoń do artysty. Czas ich oznakować – rozkazał. – Zamknąć ich w pokoju i zostawić im naładowaną broń, wiecie... jak zwykle. Postępujcie zgodnie z protokołem... Jeśli chodzi o ciebie, Gabriel, to nie martw się, jutro pojawisz się w wiadomościach. Czyż nie tego właśnie chciałeś?

– Nie wierzę, że jestem w jednym z tych niezliczonych filmów, w których zwycięża zły bohater...

– Przykro mi, ale to nie kino.

Chwilę później pojawił się bandzior niosący Blankę na rękach. Ktoś podsunął krzesło, a ten posadził nieprzytomną dziewczynę obok mnie. Widziałem jej białą jak kreda twarz i nie mogłem sobie wybaczyć mojej nieostrożności. Przywiązali ją czerwoną liną do krzesła.

– Zajmijcie się najpierw nią. Ja skończę z tym tutaj – rozkazał szef. – Macie 15 minut.

Chwycili krzesło z Blanką i przenieśli ją do sąsiedniego pomieszczenia.

- Piętnaście minut na co? - zapytałem wzburzony.
- Proszę, panie Gé - odpowiedział żartobliwym tonem. - Moim ludziom też należy się trochę rozrywki.
- Jakkolwiek się nazywasz, to i tak jesteś tylko zwykłym skurwysynem! - krzyknąłem rozwścieczony. - Co chcesz w ten sposób zyskać? Co chcesz w zamian?

Mężczyzna roześmiał się.

- Proszę, proszę. Jak szybko przechodzisz do rzeczy - zakpił i dodał - Wystawcie mi waszego przyjaciela, inspektora Francisco Vicente Rojo.

- A jeśli odmówię?

- Nie muszę robić z tobą interesów. Koniec końców policjant sam mnie znajdzie.

Pierwszy raz usłyszałem pełne nazwisko inspektora i zdziwiło mnie, że miał podwójne imię.

- A teraz pewnie jeszcze powiesz, że nigdy ci o mnie nie mówił... - dodał po chwili.

Wiedziałem, że Rojo jest powściągliwy, ale teraz nabrałem przekonania, że musiał ukrywać przede mną wiele rzeczy.

Czas uciekał. Czułem się już trochę lepiej, ale nadal nie przyszedł mi do głowy pomysł na wydostanie się z pomieszczenia i uniknięcie spożycia narkotyku. Miałem się jednak poddać? Nigdy!

Jeden z mężczyzn otworzył butelkę wody i napełnił nią szklanekę, którą postawił na małym stoliku, przy moim krześle. Obok niej położył różową pigułkę.

- Do zobaczenia, panie Gé - powiedział Skandynaw. - Pańska wizyta była dość upierdliwa.

Niespodziewanie usłyszeliśmy dobiegający zza drzwi hałas. Pilnujący mnie mężczyźni wyszli sprawdzić, co się dzieje. Spróbowałem obrócić się na krześle, które przewróciło się podłogę.

- Nie! - krzyknąłem, upadając. Oparcie zamortyzowało upadek, ale i tak uderzyłem głową w podłogę. Kilka sekund później usłyszałem wystrzały, krzyki i trzask zamykanych z hukiem drzwi. Po czole spływała mi krew. Otworzyłem oczy. Przede mną stały wypastowane buty. Skierowałem spojrzenie w górę: para dzinsów w kremowym kolorze, biała koszula pod ciemną kurtką i siwe jak śniegowa kula włosy. Mężczyzna o białej karnacji, typowej dla ludzi z północy kontynentu, był średniego wzrostu, miał szerokie ramiona, płaską twarz, bujne brwi i głęboko osadzone oczy. Wyraz jego twarzy był nieprzenikniony, charakterystyczny dla policjantów po wielu latach służby. Widać było na niej ból i pragnienie zemsty. Na lewej brwi miał widoczne ciemne znamię. To on rozmawiał ze mną przez cały ten czas. Strzały wytrąciły go z równowagi. Wiedział, że jeśli zostawi mnie przy życiu, sprawy skomplikują się jeszcze bardziej. Poirytowany pokręcił głową, wyciągnął broń z kurtki i przeładował.

- Listonosz dzwoni zawsze dwa razy - powiedział i wycelował we mnie.

Zamknąłem oczy i zacisnąłem zęby.

Zanim padł strzał do pomieszczenia ktoś wbiegł.

- Stój! Policja! - krzyknął znajomy głos. - Rzuć broń!

Skandynaw obrócił się błyskawicznie i strzelił dwa razy z idealną precyzją. Obok mnie na podłogę runął policjant. Chyba umarł w tej samej chwili.

Przestępca zniknął z mojego pola widzenia.

Usłyszałem więcej strzałów wewnątrz domu, odgłosy osuwających się na ziemię ciał, okrzyki przerażenia i eksplozje granatów dymnych.

Spojrzałem na policjanta, który leżał obok w kałuży krwi.

- Jest tutaj! - wykrzyknął charakterystyczny, zachrypnięty głos. To był inspektor Rojo. - Jesteś cały?

- Tak - odpowiedziałem. - A Blanka?

- Bezpieczna - rzucił.

Podbiegł do swojego partnera, aby mu pomóc, ale było już za późno.

- Uratował mi życie... - powiedziałem. - Zginął na miejscu.

Gdy Rojo zaczął mnie rozwiązywać, spojrzałem na niego ukradkiem. Był wyraźnie poruszony.

- Inspektorze, mamy go - zameldował inny agent. - Złapaliśmy szefa.

Zabrakło kilku sekund, by ocalić to jedno życie.

Staliśmy się świadkami ludzkiej potworności.

Dwa celne strzały w klatkę piersiową.

Agent Martinez leżał martwy na ziemi.

Rojo ukląkł na podłodze i rękami objął głowę partnera, po czym otarł czoło, obrócił się do nas i oświadczył rozgoryczony:

- Ta operacja zakończyła się całkowitym fiaskiem. Jutro składam rezygnację.



6 Szałwia wieszczą; także szałwia prorocza, boska szałwia, szałwia czarownika.

Następny dzień obudził się w innych kolorach. Lokalne gazety opublikowały na pierwszej stronie zdjęcie Heikki Hämäläinena, 47-letniego Fina, któremu wrogowie, z racji trudnej wymowy nazwiska, nadali przydomek „Tango”. Przybysz z Turku był sprawcą chaosu na całym wybrzeżu. Jakie były jego intencje? Dziennikarze strzelali na oślep, stawiając najróżniejsze hipotezy. Tego samego dnia inspektor Rojo złożył rezygnację z pracy w policji i został odsunięty od sprawy.

Po zakończonej obławie policji karetka zabrała ciało Martineza do kostnicy. Blanka i ja postanowiliśmy wyjechać z miasta i zatrzymaliśmy się w nadmorskim pensjonacie niedaleko La Marina, niewielkiej miejscowości stanowiącej część Elche. Chcieliśmy zniknąć na jakiś czas, a ja dobrze znałem to miejsce. Potrzebowaliśmy czasu, aby pomyśleć, porozmawiać i zrozumieć, co się właściwie stało. Rojo nakazał mi, abym go zostawił w spokoju. Uznał, że sprawa jest zakończona. Według niego i tak posunęliśmy się za daleko. Rozumiałem, że strata podwładnego w trakcie misji, za którą był odpowiedzialny, bardzo mu ciążyła. Wątpiłem jednak, aby Rojo zrezygnował właśnie z tego powodu. Byłem bardzo rozczarowany, ale wtedy nie miałem odwagi powiedzieć mu tego prosto w twarz. Wiedziałem też, że ukrywał przede mną informacje. Zaufałem mu i może to był mój błąd.

Obudziłem się na skraju łóżka. W oknie łopotała przezroczysta płócienna zasłona, a z zewnątrz dochodził szum fal rozbijających się o brzeg. Hostal Maruja był ulokowany w starym, pięknym budynku, zbudowanym w drugiej dekadzie reżimu Franco. Dom z drewnianymi okiennicami, białymi ścianami i farbą łuszczącą się od wilgoci. Piękną willę na plaży zaadaptowano na mały pensjonat z restauracją i dużym tarasem. Brak ustawy o budownictwie w strefie przybrzeżnej pozwalał wtedy na budowę domów w odległości kilku metrów od linii brzegowej. Pensjonat Maruja był jednym z wielu takich miejsc na wybrzeżu. Wystarczyło pospacerować plażami Santa Pola, by spotkać opalających się plażowiczów, rozłożonych niemalże na tarasach prywatnych domów. Zakątek ten, niewątpliwie urokliwy, był niegdyś świadkiem historii, symbolem dawnej Hiszpanii generała Franco i transformacji demokratycznej. Teraz jednak królowały w nim reklamowe parasolki browarów, cumujące przy brzegu łodzie oraz starsze panie grające w Chinchón. Postanowiłem schronić się tu z jednego prostego powodu: tutaj nikt nie mógł nas znaleźć.

Ubrałem się i szedłem na dół. W barze pozdrowiłem kelnerkę i zająłem miejsce na tarasie. Przed sobą miałem niesamowity widok na morze. Luksus, którego trudno nie docenić. Zapach Morza Śródziemnego, spokój poranka, śpiew mew i błyszczące na horyzoncie słońce. W oddali widziałem statki zmierzające do Alicante, wzniesienia Santa Pola i wielką antenę górującą nad Guardamar. Kontrastowe obrazy – a wszystko to w promieniu kilku kilometrów. Trudno uwierzyć, że jeszcze sto lat temu było tu pustkowie.

Na śniadanie zamówiłem kawę, sok pomarańczowy i dwa tosty z pomidorem. Kobieta przyniosła również gazetę i położyła ją na metalowym stole.

– Tym z północy to chyba musi brakować słońca – powiedziała drwiącym tonem, patrząc na pierwszą stronę Las Provincias. Gdy spojrzałem na gazetę i przeczytałem nagłówek: „ZATRZYMANO MĘŻCZYZNĘ, KTÓRY SPARALIŻOWAŁ WYBRZEŻE”, poczułem wstręt do mojego zawodu. W artykule opisano aresztowanie gangstera, śmierć agenta, a także działalność zajmującej się prostytutką szajki, którą zarządzał Fin. Tylko jedna osoba była zdolna opublikować coś takiego. Cañete.

Przejrzałem kolejne strony, próbując znaleźć coś wartościowego do poczytania, ale nic ciekawego nie wpadło mi w oko. Cañete przekształcił lokalną gazetę w brukowiec na kształt The Sun, goniący za tanią sensacją. W pewnym sensie był to jedyny sposób na uratowanie bankruta przed kryzysem wkradającym się do branży. Internet wykańczał wszystkich. Wróciłem do pierwszej strony i przyjrzałem się zdjęciu tego nieszczęśnika. Kim jesteś? – zastanawiałem się. Zimne spojrzenie i spokojny wyraz twarzy. Jego oczy mówiły więcej niż reszta ciała.

Nagle mnie olśniło. Między tym człowiekiem a inspektorem Rojo musiało być jakieś powiązanie. Rok wcześniej, w trakcie naszego nocnego wypadu do baru, policjant opowiedział mi o swojej żonie i wyznał, że był w Finlandii, i że to stamtąd wzięła się jego słabość do wódki. Nigdy bym nie pomyślał, że ich drogi się skrzyżowały. To była wskazówka. Miejsce, w którym powinienem wznowić moje dochodzenie. Ale teraz

siedziałem na tarasie, z dala od cywilizacji, wśród ptaków, rybaków i zagubionych turystów. Wciągnąłem w płuca morską bryzę i poprosiłem Neptuna, by wsparł mnie w rozwiązaniu zagadki.

Gdy tak medytowałem, kołysany szumem fal, wdychając jod, doszedł mnie stukot sandałów o terakotę zapowiadający gościa.

- Dzień dobry - przywitała się Blanka. Wyglądała ślicznie. Była ubrana w czarno-białą koszulkę w paski z krótkim rękawem i obcisłe, białe dżinsy. Rozpuszczone włosy zarzuciła do tyłu. Kelnerka przyniosła dla niej sok pomarańczowy i postawiła na stole. Blanka chwyciła szklankę i wzięła łyk.

- O, dziękuję. Potrzebowałam tego.

Kobieta spojrzała na mnie figlarnie.

- Powiedz mi „tak”, dziewczyno - doradziła kelnerka. - Seks i kąpiel w morzu to najlepszy sposób, aby odzyskać energię.

Szkoda, że zarówno Blanka, jak i ja nie myśleliśmy o tej samej energii, o której mówiła kobieta. Wziąłem łyk kawy i odłożyłem gazetę na stół.

- Widziałas jego twarz? - zapytałem.

- Nie - odpowiedziała zawstydzona. - Niewiele pamiętam.

- Nie przejmuj się - odparłem. - Zapomniałem ci podziękować... Nie powinnaś była wchodzić do tego domu.

Upiła kolejny łyk soku.

- Mieliśmy szczęście - dodała. - Szczęście, że mnie nie zgwałcili... Policja wkroczyła, gdy próbowali zedrzeć ze mnie ubranie. Ale to chyba już koniec. Sprawa rozwiązana. Zostanie skazany i jeśli dopisze mu szczęście, poddadzą go ekstradycji.

- Nie tak szybko - wyraziłem swoją wątpliwość. - Rojo ukrył przede mną pewne informacje. Wiem, że sprawa jeszcze się nie skończyła.

- Mało mnie to już obchodzi! - zdenerwowała się. Kelnerka przyglądała się nam zza baru. - Tym razem odpuść sobie, bo i tak za daleko się posunąłeś. Dobrze?

- Inspektor zna dobrze historię tego człowieka, Blanka - powiedziałem z uporem. - Fin sam mi to zasugerował, tam w piwnicy.

- Próbował cię wpuścić w maliny, Gabriel - rzuciła z niedowierzaniem. - Wierzysz we wszystko, co ci się powie.

- Nie zaczynaj... - zirytowałem się. - Nie możesz się teraz wycofać. To do ciebie niepodobne, Blanka. Oboje wiemy, że będzie dalszy ciąg tej historii. Skłamałabyś, gdybyś powiedziała, że jest inaczej.

W międzyczasie kelnerka przyniosła kawę oraz tosty z białym serem i oliwą. Blanka zamilkła, wsypała łyżkę cukru do kawy, wymieszała i upiła łyk. Potem nabrała powietrza w płuca i powiedziała na jednym tchu:

- Nic nie rozumiesz. Nie jesteś w stanie tego zrozumieć. Niestety. I albo jesteś zaślepiiony, albo nie chcesz zobaczyć prawdy, kolego.

- Bądź bardziej konkretna i przejdź do rzeczy, proszę - odparłem nieco urażony.

- Jesteś palantem - spiorunowała mnie wzrokiem. - Gdybyś nabrał trochę dystansu do siebie, to może zrozumiałbyś, że to wszystko twoja wina, Gabriel. Wszystko. - kontynuowała łamiącym się głosem. - Mimo to, przykro mi to mówić, ale się mylisz, właśnie tak. Nie jestem taka, za jaką mnie masz. Ludzie się zmieniają, czas nas zmienia... a czas stracony nigdy nie wróci, wiesz? I nie jestem tą samą dziewczyną, którą poznałeś zeszłego lata i chociaż to była... wakacyjna przygoda... to mam wrażenie, że trwało to całą dekadę, Gabriel. Wyspa, my. Zostawiłam wszystko, aby zacząć od nowa. Byłam pełna wiary. A ty mnie odrzuciłeś... Może sobie na to zasłużyłam, ale teraz mam już dosyć. Dosyć! Pewnie powiesz, że jestem jeszcze w szoku... Może tak, ale na pewno nie mam zamiaru ryzykować życia z powodu twoich urojeń.

- To nie twoja wina, naprawdę...

- Dlaczego, Gabriel? - zapytała przygnębiona. - Dlaczego odszedłeś w taki sposób?

Poranne słońce, mewy pikujące za rybami w morzu, potężne fale rozbijające się o brzeg, które wraz z przyprływem podchodziły coraz bliżej.

- Wiedziałem, że kiedyś dojdzie do tej rozmowy - wykrztusiłem. - Przykro mi, Blanka, naprawdę. Byłem głupi.

- To puste słowa.

- Nie - zaprzeczyłem. - Mówię szczerze. Bardzo mi przykro...

- Zachowaj wymówki dla siebie, Gabriel - powiedziała. - Jeśli wtedy nie miałeś odwagi, to i teraz nie zdobędziesz się na szczerść.

– Byłem tchórzem – przyznałem, patrząc jej prosto w oczy. Kobieta w barze obserwowała nas tak, jakby oglądała telenowelę. Żrenice Blanki zrobiły się ogromne jak dwie piłki. – Żałowałem. Bardzo żałowałem mojego postępowania, Blanka. Byłem tchórzem, tchórzliwym draniem, bałem się... Cała ta sytuacja, twoja rodzina, miasto – to wszystkie mnie przerosło... Pogubiłem się. To wszystko. Nie wiedziałem, jak mam się zachować.

Na moje słowa wyraz twarzy Blanki Desastres zmienił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. W jej oczach pojawił się błysk. Nie oszukiwałem jej, a wszystko, co powiedziałem, było prawdą. Wiedziałem, że pewnego dnia zada mi to pytanie. Trudno jest jednak rozmawiać o rozstaniu z osobą, do której nadal się coś czuje. Czuję, że moje serce pracuje na najwyższych obrotach jak silnik Porsche. Pomyślałem, że może to początek pojednania, że może to, co było między nami, nie wygasło, a Blanka da mi drugą szansę. Ale nawet gdyby tak było, to sprawa nie będzie taka prosta. Blanka była dumna, uparta i konserwatywna w relacjach z mężczyznami. Wielokrotnie w trakcie naszej znajomości dała mi do zrozumienia, że drugą szansę dawali jedynie Samarytanie. Dla Blanki życie było czarno-białe i nie uznawała szarości. Miała to we krwi. Siedziałem sparaliżowany i czekałem, aż coś powie.

– Kochanie! – krzyknęła kelnerka z baru. – Powiedz mu coś, bo umrze z żalu, biedactwo...

Blanka spojrzała na nią i roześmiała się. Zawtórowałem jej. Fale waliły coraz mocniej o brzeg. Z oddali słychać było muzykę z tranzystora. Napięcie między nami zmalało.

– Przyjmuję twoje przeprosiny, Gabri – oznajmiła swoim słodkim głosem. – Mam nadzieję, że znajdziemy więcej czasu, aby o tym porozmawiać.

– Tak, jasne – ożywiłem się. – Dziękuję.

– Nie dziękuj – odparła. – Daj mi jakiś pretekst.

– Do czego?

– Do rozpakowania walizki. Daj mi dobry argument, aby kontynuować z tobą to śledztwo.

Zadrzałem.

– One – powiedziałem. – Robię to dla nich, dla tych zaginionych kobiet. Nie mogę uwierzyć, że porzuciły dobrowolnie ukochane osoby.

– Co sugerujesz?

– Jest coś więcej i Rojo to wie. Ten bandzior też to wie... – powiedziałem. – To bardzo mroczna historia.

– A ty kochasz awantury.

– Nie, to nie tylko to – dodałem. – Z mojego powodu ucierpieli inni. Był wśród nich jeden chłopak, stażysta – tłumaczyłem. – Polubiłem go. Był trochę gamoniowaty, świeżo po studiach, ale miał dobre intencje.

– Jak się nazywał?

– Bordonado – powiedziałem. – Jego ciało znalazłem w mojej wannie.

– Co za dranie...

– Zgadza się, Blanka – powiedziałem. – Dlatego cię potrzebuję. Jesteś jedyną osobą, której mogę zaufać.

Blanka przysunęła się do mnie, położyła dłoń na mojej ręce, a potem pogłaskała mnie po policzku.

– Ostatni raz, Gabriel – powiedziała. – To twoja ostatnia szansa.

Spojrzałem jej w oczy i oboje parsknęliśmy śmiechem. Kolejna fala rozbiła się z łoskotem o brzeg.

Barowe radio poinformowało o sukcesie operacji TORNADO. Policja przechwyciła kilka paczek amfetaminy o wadze 50 kg, które ukryto na prywatnej posesji i w dwóch burdelach przy autostradzie prowadzącej do Santa Pola. W ten sposób siły porządkowe położyły kres tajnej organizacji, zajmującej się handlem tanimi narkotykami i prostytutką. Gang składał się z piętnastu mężczyzn narodowości hiszpańskiej, portugalskiej oraz włoskiej i działał pod czujnym okiem Fina, Heikkiego Hämäläinena, znanego jako Tango, a przez lokalną prasę nazywanego Krabem. Po tej wiadomości nastąpiły oświadczenia władz.

Popatrzyliśmy na siebie i westchnęliśmy z ulgą.

Kolejna wiadomość dotyczyła rezygnacji inspektora Rojo z pracy w wydziale zabójstw policji w Alicante.



Po kilku próbach dodzwonienia się do Rojo i dwóch SMS-ach bez odpowiedzi, odwołem Blankę od zamiaru założenia bikini i ruszyliśmy samochodem w kierunku Alicante. Skórzana kierownica i wiatr we włosach sprawiły, że znowu poczułem, że żyję. Byłem szczęśliwy. Jak za dawnych czasów. Kluczyliśmy ulicami lewantyńskiej stolicy w poszukiwaniu informacji, skoncentrowani na śledztwie i na nowo zakochani w naszym zawodzie. Minęliśmy Avenida de Oscar Esplá, dworzec kolejowy, aż dotarliśmy do komisariatu policji w centrum miasta. W bramie komisariatu zapytaliśmy o Rojo.

– Nie ma go – poinformował nas policjant na wartowni. – Nie czyta pan wiadomości?

– Czy mogę porozmawiać z twoim przełożonym? – zapytałem.

– Nie chcemy tu żadnych dziennikarzy.

– Jestem przyjacielem inspektora – powiedziałem – i mam ważne informacje dla pańskiego szefa.

Policjant, blondyn z ogolonymi bokami, wyszedł z wartowni i zniknął w głębi budynku. Gdy wrócił, wskazał nam którędy mamy pójść – trasa, którą bardzo dobrze znałem.

Weszliśmy do starego biura inspektora Rojo, które ktoś posprzątał i przemeblował. Na biurku, na miejscu ramki ze zdjęciem żony Rojo, postawiono kalendarz. Komputer stał na swoim dawnym miejscu, podobnie jak stosy papierów i dokumentów, które trzymał policjant. W gabinecie przyjął nas pięćdziesięcioletni, krótko ostrzyżony, szpakowaty mężczyzna. Sprawiał wrażenie silnego, choć nie tak bardzo jak Rojo. Przedstawił się jako inspektor Ramirez.

– Proszę usiąść – polecił ubrany w służbowy mundur policjant. – Więc, co chcecie mi powiedzieć?

– Nie mogę się dodzwonić do pana Rojo. Nie wiem, gdzie go szukać.

– Obawiam się, że to nie pańska sprawa, gdzie Rojo obecnie przebywa. Proszę przejść do sedna i nie marnować mojego czasu.

– Czy wie pan, gdzie będą wystawione zwłoki agenta Martineza? – zapytałem. O mało nie zabił mnie wzrokiem.

– Proszę zostawić umarłych w spokoju – powiedział. – Do czego pan zmierza?

– Rojo był moim przyjacielem – wyjaśniłem. – Nie mogę uwierzyć, że nie zostawił dla mnie żadnej wiadomości.

Inspektor podniósł się i podszedł do drzwi. Otworzył je i poprosił, abyśmy wyszli.

– Jedyne, co nam powiedział Rojo, to żeby postać do diabła dziennikarza z jego dziewczyną, jeśli tutaj przyjdzie. – powiedział. – Proszę więc darować sobie poszukiwania i zostawić go w spokoju... Upór na nic się nie zda.

Spojrzałem na zniechęconą Blankę. Rojo chyba oszalał. A może chciał się nas pozbyć?

– Proszę się nie martwić. Już wychodzimy.

– A! – wykrzyknął zaczerwieniony. – Powiedział również, że ma pan talent do wplątywania się w kłopoty. Tak więc, powiem panu to po raz ostatni: proszę trzymać się z daleka od tej sprawy i pozwolić policji wykonywać jej pracę.

– A jeśli nie? – drążyłem.

Poczerwieniał na twarzy jeszcze bardziej.

– Wiem, kim pan jest i jak się nazywa – oznajmił spokojnym tonem. – Nie zawaham się zdeptać pana jak robaka.

Groźby ze strony nowego inspektora wydziału zabójstw nie przypadły mi do gustu. Po wyjściu z budynku, rozgoryczony kopnąłem w stopień. Agent przy budce wartowniczej spojrzał na mnie i roześmiał się. Wsiedliśmy do samochodu i udaliśmy się do Paseo de la Explanada, gdzie zajęliśmy stolik na świeżym powietrzu w La Terraza del Gourmet, całkiem przyzwoitej restauracji tapas z minimalistycznym wystrojem i widokiem na morze.

– Dlaczego to powiedział? – zapytała Blanka. – Miałam Rojo za osobę bardziej poważną.

– Już ci to mówiłem – odparłem. – On coś ukrywa, wie więcej od nas.

– Rozumiem, że dotknęła ich strata Martineza.

– Nie wiem. Myślę, że ktoś sobie z nas kpi, Blanka.

– Co o tym wszystkim sądzisz?

– To się nie klei – stwierdziłem. – Nie sądzę, żeby Martinez został zamordowany. On żyje.

– Tak – odpowiedziała. – Jego śmierć to bzdura.

– Nie wierzę, że aresztowanie tego człowieka oznacza koniec sprawy – ciągnąłem dalej. – Zanim przyjechałaś, Rojo pokazał mi film, na którym była jego żona i inna kobieta. To był montaż domowej roboty. Sądzę, że te kobiety także żyją.

– Przypominam ci, że to ona go zostawiła – powiedziała Blanka. – Ta kobieta ma prawo robić, co uważa...

– O ile nie robi czegoś wbrew własnej woli.

– Tego nikt jeszcze nie udowodnił.

– Ten Fin wspomniał o kobietach – dodałem. – To pewnie on wysłał nagranie Rojo. Jest wielce prawdopodobne, że wie, gdzie teraz przebywa i obawiam się, że obaj mogli ze sobą współpracować.

– Przystopuj, Gabri – powiedziała Blanka. – Konfabulujesz.

– Wiemy, że Rojo spędził jakiś czas w Skandynawii, a konkretnie w Finlandii, gdzie szukał swojej żony – wyjaśniłem. – Ale nigdy nie opowiedział mi, co tam właściwie robił.. Mówił, że to tam spotkał tę terapeutkę, która omal nas nie zabiła. Jestem pewien, że poznał więcej osób.

– Uważasz, że Fin ma związek z tym, co się wydarzyło na wyspie? – spytała powątpiewająco. – Uff, to mnie przyprawia o dreszcze...

– To nie koniec zagadek – powiedziałem. – Kiedy zapytałem Fina, jakie znaczenie mają kraby, wykręcił się tanią historyjką z greckiej mitologii. Kompletnie bzdury, oczywiście. Na początku nie zwróciłem na to uwagi. Sama rozumiesz. Kolejny pieprzony lunatyk bawiący się w Boga – nic nowego. – Kelner podszedł z dwoma piwami i postawił je na stoliku. Upiłem łyk i ciągnąłem dalej. – Gdy przesłuchiwali nas po obławie na willę, wiele rozmyślałem o tej sprawie. O tym, co mi powiedział, o mitologii greckiej.

– Cóż, tak bardzo się tym przejąłeś, że o mały włos mnie nie zgwałcili. No i co odkryłeś, Sherlocku?

– Zanim mnie złapali – odparłem – rozmawiałem z jedną z dziewczyn kręcących się po domu.

– To były prostytutki?

– Nie, nie wszystkie – powiedziałem. – Ta raczej nią nie była, ale prawdopodobnie też coś wie.

– Zacznijmy od Rojo – zaproponowała Blanka. – Wiesz gdzie mieszka?

– Nie. Nie mam najmniejszego pojęcia.

– Genialnie, Gabrieliu – odpowiedziała. – Będziemy musieli wrócić na komisariat i kogoś przycisnąć. Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

– Nie ma mowy – powiedziałem. – Kolejna wizyta na komisariacie skomplikowałaby tylko sprawę... To nie będzie konieczne. Teraz, kiedy Rojo odszedł z policji, możemy kontynuować śledztwo na własną rękę.

– Podoba mi się twoje rozumowanie. Bardzo sprytne – powiedziała Blanka – ale ktoś już nas wyprzedził.

– To prawda – przyznałem. – Rojo raczej nie znajdziemy w domu. Ten drań zawsze jest o krok przede mną. To dlatego kazał mi się ukryć z dziewczyną na 48 godzin. Jest w stanie przewidzieć każdy ruch. Niewielu dziennikarzy wie jednak, że ma dziecko i że szuka żony. Pojedziemy do domu jego rodziców.

Blanka spojrzała na mnie tak, jakby uwierzyła, że razem jesteśmy zdolni do wszystkiego. Mrugnęła powiekami i obdarzyła mnie ufnym uśmiechem. Potrzebowaliśmy siebie nawzajem i oboje o tym wiedzieliśmy.

– Musimy zdobyć książkę telefoniczną, Gabriel – powiedziała. – Czas wykonać kilka telefonów.

– Książkę telefoniczną? – zdziwiłem się. – Nie używałem jej od lat. Jeśli już, to poszukiwania rozpoczniemy w internecie.

– Zamierzasz znaleźć jego matkę na Facebooku? – zdziwiła się.

– Kto wie.

Od kiedy internet zadomowił się w hiszpańskich domach, książki telefoniczne były obiektem pożądania wyłącznie kolekcjonerów. Nie wszystko jednak można było znaleźć w sieci. Blanka miała rację. Namierzenie domu rodzinnego nie było trudne, ale wymagało informacji, które można było znaleźć w tradycyjnych źródłach. Książka telefoniczna pomogłaby nam sporządzić listę osób, a potem wystarczyłoby tylko wykonać kilka telefonów.

Uregulowałem rachunek i wróciliśmy do pokoju hotelowego. Przejrzałem szuflady w poszukiwaniu książki, ale niczego nie znalazłem. Zwróciłem uwagę na stary, pożółkły aparat telefoniczny, stojący na komodzie. Coś muszą tu mieć. Pomyślałem o serwisie hotelowym i zszedłem na dół do baru.

- Przepraszam, nie ma pani przypadkiem książki telefonicznej? - zapytałem taktownie.

Kobieta popatrzyła na mnie i roześmiała się.

- Och! - wykrzyknęła. - Właściwie to nie pamiętam, kiedy ostatni raz jej używałam.

- Połączenie internetowe nie jest tu najlepsze - powiedziałem. - A szukam pewnej osoby, która mieszka w okolicy.

- Proszę dać mi chwilę - powiedziała. - Poszukam w magazynku. A tak na marginesie, ta dziewczyna...

- Tak? - spytałem zaintrygowany.

- Ona szaleje za tobą chłopcze. Nie widzisz tego?

- Nie, nie wydaje mi się - zaprzeczyłem.

- Twoja sprawa - skwitowała. - Nie bądź głuptasem. My kobiety bardzo cierpimy z powodu miłości.

To musiał być ten szósty zmysł kobiety, którego nam, mężczyznom, brakuje. Ta kobieca intuicja, której jesteśmy w stanie zrozumieć. Kobieta była szczerą i słyhać to było w jej głosie. Rany, Blanka, skąd miałem to wiedzieć, co? Kelnerka walczyła ze starymi rupieciami na zapleczu, a ja rozmyślałem o tym, co powiedziała. W telewizji leciał film dokumentalny o rekinach. Zacząłem przeglądać gazetę i trafiłem na ofertę pensjonatu na Tabarce. Natychmiast zaatakowały mnie koszarne wspomnienia. Wzdrygnąłem się. Czyżby tamte wydarzenia mnie teraz do końca życia prześladować? A może Blanka również była zjawą z przeszłości? Złożyłem gazetę i położyłem ją obok bufetu z zimnymi przekąskami. Z kuchni dolatywał zapach smażonych owoców morza. Taras zaczynał zapełniać się gośćmi. Zza kuchennych drzwi wyjrzał mężczyzna w fartuchu i krzyknął:

- Maria! Na miłość boską! - wrzeszczał. - Trzeba podawać do stołów. Kobieto, gdzie ty się podziewasz?

Maria, kelnerka, wyskoczyła szybko z magazynku jak królik z kapelusza magika.

- Już idę! - krzyknęła, niosąc pod pachą starą książkę telefoniczną. - Masz szczęście, przystojniaku. Jest trochę stara, ale nie sądzę, by wiele się zmieniło.

- Dziękuję za pomoc - puściłem do niej oko.

- Nie ma za co, chłopcze - powiedziała. - *Mare meua*, co się tu narobiło...

Weszła do kuchni i po chwili pojawiła się z talerzem usmażonych krabów. Na widok skorupiaków podskoczyłem i potknąłem się o krzesło.

- Chłopcze! Spokojnie. One nie gryzą! - uspokoiła mnie kobieta, uśmiechnęła się i ruszyła na taras podać przystawki.

- Skąd one pochodzą? - zapytałem.

- Z targu w Santa Pola, a skąd miałyby być?

- Ale to są kraby żyjące pośród skał - powiedziałem.

- Aj! Chodzi ci o to, gdzie je złowiono? - zaciekawiała się. Rozmawiać o morzu z mieszkańcami wybrzeża, to jak dyskutować o piłce nożnej z nastolatkiem. - Są z Majorki. Świeżo złowione. Są drobniejsze niż tutejsze, ale tak samo pyszne. Przywożą je do portu Dénia codziennie od poniedziałku do...

Zanim skończyła zdanie, już mnie nie było. Wybiegłem z baru w poszukiwaniu Blanki. Gdy ja szukałem książki telefonicznej, Blanka brała kąpiel i teraz krzątała się w czarnym bikini, obnażającym całe jej piękno - delikatną, białą jak sól skórę i te mokre włosy... Białe piersi, zbyt duże by określić je przeciętnymi, jędrne i apetyczne, ukryte w biustonoszu, podkreślającym ich boski kształt.

- Nic ci nie jest, Gabriel? - zapytała. - Wiem, że jestem błada jak śnieg, ale przecież nie zobaczyłeś trupa...

- Blanka - westchnąłem. Miałem ochotę powiedzieć jej, że jest piękna, ale zabrakło mi odwagi. - Wiem, gdzie jest Rojo.

- Wow, jesteś szybki - powiedziała z uznaniem. - Czego się dowiedziałeś?

- Myślę, że jest na Majorce - oznajmiłem z przekonaniem. - Nie pytaj mnie, skąd to wiem, ale mam przecucie, że tam właśnie popłynął.

- Chwila... - zawiesiła głos. - Co takiego ma mieć tam niby do załatwienia?

- Zanim wróciłem do Alicante - wyjaśniłem - spędziłem trochę czasu w Palmie. Miałem tam pewien incydent z facetem, który próbował mnie zabić.

- Nie przesadzasz?

- Nie, nie przesadzam - potwierdziłem. - To był typ z kasą. Z dużą forszą i uzależniony od narkotyków.

- Opowiadaj.

- Najpierw gonił mnie samochodem. Uciekałem taksówką, a on jechał za mną. Taksówkarz i ja cudem wyszliśmy z tego cało.

- Co takiego zbroiłeś, że ścigał cię z takim zaangażowaniem?

- To nie ma teraz znaczenia. - Wzruszyłem ramionami. Blanka utkwiała we mnie wzrok. - Udało mi się uciec i wsiadłem na pierwszy lepszy prom do Walencji. Nie wiem jakim cudem, ale ten facet dostał się jakoś na statek i zaatakował mnie nożem! Na oczach wszystkich pasażerów!

- Dobra, skończ już tę powieść - powiedziała. - Masz bujną wyobraźnię.

- Mówię prawdę, Blanka - upierałem się. - Ten człowiek był pod wpływem czegoś... Nie zachowywał się normalnie. Nigdy się z czymś takim nie spotkałem...

- I jak to się skończyło? - zapytała. - Domyślam się, że znowu ci się upiekło.

- Tak - powiedziałem - ale mi nie uwierzysz. W trakcie walki wytrąciłem mu nóż, a potem wrzuciłem gościa do morza. Jak gladiator. Znasz mnie przecież. Później zjawiła się straż, zaarrestowali mnie i musiałem zeznawać. To normalne, gdy wywoła się takie zamieszanie. Wtedy za dużo nie myślałem. Kiedy mieli przekazać mnie miejscowej policji, pojawił się Rojo z Martínezem, tym zabitym w willi. Ucieszyłem się na jego widok, bo minęło trochę czasu od kiedy widziałem go po raz ostatni i długo nie miałem od niego żadnych wiadomości.

- To bardzo interesujące, Gabriel - przyznała Blanka - ale nie wydaje mi się, aby miało to jakieś znaczenie. Wykonywał swoją pracę i miałeś po prostu szczęście, że nie trafiłeś na kogoś innego. Słono by cię kosztował ten twój wyczyn.

- Nie... Mylisz się - zaprotestowałem. - Też tak w pierwszej chwili pomyślałem. Jakie szczęście, że pojawił się Rojo! A może właśnie to on miał szczęście, że to ja byłem na promie?

- Trochę się gubię, Gabriel...

- Nie myśl o tym, co ja tam robiłem, tylko zapytaj, co Rojo, inspektor wydziału zabójstw, robił po służbie na terenie portu.

- Pewnie szukał kogoś - powiedziała.

- Był poza swoim rewirem - powiedziałem. - Nawet nie musiałem składać zeznań. Gdy wsiadliśmy do radiowozu, w radiu usłyszałem zgłoszenia policjantów o bójkach i napadach w różnych częściach miasta. Poprosił mnie, żeby nikomu nic nie mówić, a ja wziąłem to za coś normalnego - letnie popołudnie pełne zwykłych spraw. Potem pojechałem do Alicante i zobaczyłem te wypadki na własne oczy. Gdy zwróciłem się do Rojo o pomoc, bomba już dawno wybuchła. Resztę już znasz.

Blanka siedziała zamyślona, owinięta w pasiasty, biało-niebieski ręcznik. W blasku słońca wyglądała niesamowicie.

- Sugerujesz, że Rojo wiedział wcześniej, co się wydarzy? - zapytała. - Wiedział, że narkotyki docierają z Majorki przez port w Denii, i że jedynym sposobem na ich przetrzymanie na ląd są łodzie lub kutry rybackie?

- Rozgryzaś to, piękna - powiedziałem - a to, co mówisz, ma sens.

- Jeśli narkotyki przewożą rybacy - kontynuowała - to oznacza, że ktoś zarządza tym procederem z wyspy.

- Port, turystyka, dziesiątki lotów dziennie i lokalizacja daleko od Półwyspu. O wiele łatwiej jest się dostać na Majorkę niż na Wyspy Kanaryjskie - dorzuciłem. - Idealne miejsce aby działać, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi.

- Myślisz, że Rojo jest w drodze do Palma de Mallorca?

- Bez wątplenia - odpowiedziałem.

- Musimy porozmawiać z Finem.

- Będzie kłamać - stwierdziłem - ale spróbujmy.

- Chwila... Cała ta historia wygląda jak wyjęta żywcem z jakiejś powieści, Gabriel - powiedziała z powątpiewaniem i wzięta mnie za rękę. - Naprawdę. Trudno mi w nią uwierzyć. Ale... Czy nie jest to jedna z tych historii, którą ludzie powinni poznać? Jedna z tych, które potwierdzają, że wszystko na tym świecie jest niepewne?

- Przez ostatnie lata nauczyłem się jednej rzeczy - oznajmiłem. - Ludzie chcą czytać wyłącznie historie ze szczęśliwym zakończeniem.



Jestem jedną z tych osób, które nie ufają zbytnio cudzym domysłom. Dziennikarstwo to zawód, w którym liczyła się po pierwsze intuicja, a po drugie znajomość faktów. Informacja to owoc działań, które podejmujesz. Nie istnieje naukowy model, precyzyjny wzór, który można zastosować do procesu jej pozyskiwania i przetwarzania. Dziennikarz jest wszystkim: oczami, które rejestrują obraz, uszami, które nasłuchują, ręką, która robi notatki i mózgiem, który to wszystko interpretuje. To nie dziennikarz tworzy wiadomości, ale ludzie. A nasza praca polega na sprzedawaniu czegoś, co wzbudzi zainteresowanie czytelników.

Razem z Blanką stanęliśmy w obliczu faktów, które były pozbawione jakiegokolwiek sensu. Nadszedł czas, aby uporządkować to, co zebraliśmy i przemyśleć kolejny ruch.

Musieliśmy znaleźć dowód na to, że ktoś szmugluje narkotyki przez port Denia. Może Fin był tylko zwykłym pośrednikiem, który zajmował się częścią biznesu. Wszystko, czym dysponowaliśmy, to kilka poszlak i garść faktów pod postacią nawiedzonoego handlarza narkotyków, kilku trupów i serii ostatnich zdarzeń. Reszta to czyste przypuszczenia. Domek z kart.

Odejście Rojo wydało mi się co najmniej podejrzane. Miałem wrażenie, że z każdym kolejnym dniem znam go coraz mniej. Ale dlaczego miałby mnie okłamywać? Te dociekania sprawiły, że policjant w jednej chwili stał się dla mnie postacią niemal abstrakcyjną. Zacząłem wątpić w jego rezygnację. A może – gdybałem – chodziło o sprawę osobistą? Może chciał się uwolnić od obowiązków i dokończyć swą prywatną wendetę? Jedno było pewne: musieliśmy odnaleźć Rojo i dowiedzieć się czy istnieje związek między nim, Majorką i krabami.

Jeśli nasze przypuszczenia były prawdziwe – zastanawiałem się – to co w takim razie dzieje na wyspie? Nie byłem pewien, czy jestem gotów tam wracać. Miałem wrażenie, że wyspy mnie prześladowają. W zasadzie można było zająć się czymś innym. Lato było w pełni, wkrótce wybuchną skandale polityczne, a opinii publicznej wciąż brakowało newsa wakacji.

Użyłem logiki, kombinacji imion i nazwisk, po czym wybrałem pięć numerów z książki telefonicznej i zadzwoniłem, ale bez powodzenia. Blanka była prawie gotowa. Włosy miała jeszcze mokre. Przez białą koszulę prześwitywała ciemna bielizna.

– Pudło – powiedziałem i zakończyłem ostatnie połączenie. – Nikt nic nie wie.

– Jesteś pewien?

– To by było na tyle w tym temacie.

– Na pewno trafimy na jakiś ślad. Powinniśmy dostać się do aresztu i porozmawiać z tym Finem.

– Słaby pomysł. Mnie tam znają i na pewno nie wpuszczą.

– Dobrze. Pójdę sama. Ty sprawdzisz port.

– Co?

– Nie minęły jeszcze dwie doby – powiedziała. – Nie wydaje mi się, aby Rojo tak szybko wyjechał na wyspę.

– Uważasz, że twój plan ma sens?

– A wymyśliłeś coś lepszego? Prawda jest taka, że nie masz żadnego pomysłu.

– Przemyśl to, Blanka. Ten scenariusz ma małe szanse powodzenia.

Przyglądała mi się zamyślona.

– Jak większość planów – przyznała. – Jak ty sam. Idę do aresztu i zadzwonię do ciebie, gdy czegoś się dowiem. A jak już się namyślisz... to zrób rundkę po porcie, dobrze?

Blanka wstała, wzięła kluczyki od samochodu i wyszła z pensjonatu. Nagle zrozumiałem, czemu wyglądała na rozczarowaną. Kilka sekund później wybiegłem za nią, ale było już za późno. Po samochodzie pozostała tylko chmura kurzu.



Kierownica czerwonego bolidu parzyła mnie w ręce. Bezchmurne niebo, słońce i żar, który zatykał płuca. Tegoroczne lato było piekielnie upalne.

Dojechałem do portu Santa Pola. Zaparkowałem przy molo i rozejrzałem się po okolicy. Zapadał wieczór i zachód słońca był cudowny. Rozkoszowałem się chwilą. Patrzyłem na opalone i ciemnookie dziewczyny w wieczorowych strojach w drodze na kolację, w towarzystwie swoich partnerów. Odurzony wonią morza ruszyłem śladem drażniącego zmysły zapachu ryb. Stragany były ciągle otwarte. Krewetki, homarce, homary, tuńczyki, dorsz. Giełda rybna w Santa Pola była jedną z najlepszych w kraju. Odwiedzali ją handlarze, kupcy, hotelarze, ale także turyści, którzy chcieli kupić trochę świeżych sardynek i obejrzeć kraby.

Starałem się przemknąć niepostrzeżenie przez okolicę, uważnie wypatrując postaci policjanta. Prześliznąłem się pomiędzy straganami i dotarłem do baru na końcu molo. Dobiały z niego rozmowy w walenckim dialekcie z charakterystycznymi kastylijskimi naleciałościami i twardym akcentem – gwara, którą ukształtowała rybacka samotność. Nieogoleni mężczyźni, którzy właśnie wrócili z morza, siedzieli przy metalowej ladzie, pili piwo i zakąszali je ziemniakami z czosnkiem. Usiadłem przy barze jak stary bywalec knajpy, rozkoszując się zapachem smażonego mięsa i grillowanej ryby. Poprosiłem o małą butelkę piwa. Obok mnie stanął mężczyzna po pięćdziesiątce, z twarzą zniszczoną morską solą i zamówił piwo.

– Zgubiłeś się? – zagadał. Miał spaloną słońcem skórę i posiwiąłą brodę. Ubrany był w białą koszulę rozpiętą na piersi, zza której wystawały kępi kręconych włosów i złożony krzyż.

– Szukam... – zacząłem, unikając jego wzroku. Nie za bardzo wiedziałem, co powiedzieć.

– Pracy? – zapytał z ciekawością. – Robota zawsze się znajdzie.

– Szukam kogoś. Przyjaciela.

Mężczyzna upił łyk i zerknął w kierunku swoich towarzyszy.

– Jak nazywa się twój przyjaciel?

– Francisco – odpowiedziałem.

– Niejednemu psu na imię Burek – odrzekł. – Żałuję, ale nie mogę ci pomóc.

– Nieważne – mruknąłem. Jego koledzy przyglądali mi się uważnie. Mężczyzna upił kolejny łyk piwa i krzyknął do barmana, że zapłaci za wszystko.

– Posłuchaj chłopcze – wyszeptał po walencku, nie patrząc na mnie. – Tutaj nie lubimy plotek, a tym bardziej dziennikarzy. Nie wiem, co słyszałeś, ale na twoim miejscu skończyłbym aperitif i zmiatał stąd. Nie znajdziesz tu osoby, której szukasz, a nawet jeśli gdzieś tutaj jest, to nie dowiesz się niczego. Zrozumiałeś?

Walnął dłonią w bar i zostawił na nim spłaszczony banknot pięciu euro. Odwrócił się i wrócił do swoich. Wyszedłem z baru, zapaliłem papierosa i postanowiłem poczekać przy molo. Kwadrans później mężczyzna opuścił lokal i skierował się do przystani, gdzie stały zacumowane kutry rybackie. Nie miałem wątpliwości, że w barze nie było żadnego Francisco, a nawet jeśli gdzieś tu był, to sam i tak bym go nie znalazł. Ruszyłem w bezpiecznej odległości za mężczyzną, kryjąc się między straganami na targu. W powietrzu unosił się zapach zgniłej ryby, soli i wilgoci. Rybak w żeglarskiej czapce podszedł do przycumowanej przy nabrzeżu starej łodzi.

– Ximo! – krzyknął. Zza burty wychylił się mężczyzna. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Rybak zwrócił się do mężczyzny na łodzi po walencku. – Twój przyjaciel kręcił się przy barze. Jeśli pojawi się tu znowu, to rzucimy go rybom na pożarcie i pozbędziemy się go raz na zawsze. Chcę, żeby moi ludzie mieli spokój, żeby wszystko poszło dobrze. Zgoda?

Muskularne ciało Rojo było spalone słońcem. Miał dwudniowy zarost i nie przypominał znanego mi już tego nieskazitelnie ubranego funkcjonariusza patrolującego ulice.

– Mamy umowę – odpowiedział. – Nie przejmuj się.

Potem schował się do nadbudówki. Facet z knajpy rozejrzał się dookoła i wszedł na pokład.

– Tak, mamy umowę. I jutro zrobimy to po raz ostatni – powiedział. – Mnie też nie podobają się ci ludzie. Jutro wydam ci tę kanalię, a ty powiesz swoim kolegom, żeby przymknęli oko na... wiesz już sam co.

– Jeszcze pogadamy o warunkach.

– Mam nadzieję, że dotrzymasz słowa – odpowiedział. – Ufam ci tak, jak w swoim czasie zaufałem twojemu ojcu.

– Jesteśmy ludźmi honoru.

– Oby tak było – zawyrokował i opuścił łódź, nie zauważając mnie.

Blanka miała rację. Ale co tutaj robił Rojo? Dlaczego używał fałszywego imienia i kim był jego ojciec? Historia komplikowała się coraz bardziej.

Poczułem wibracje telefonu w kieszeni. Przyszła SMS.

To była Blanka.

Fin uciekł z aresztu.



Rojo pojawił się znowu na pokładzie, ściągnął żółte zniszczone rękawiczki i otarł pot z czoła. Wiatr niósł w moją stronę smród rozkładających się ryb. To był smak portu.

Łódź nazywała się AGATA, miała zaledwie siedem metrów długości i dwa szerokości. Rybacki kuter żaglowy z silnikiem, podstarzały, z niewielką ładownią i kajutą pod pokładem, w której samotne dni spędzało czterech lub pięciu rybaków żeglujących na morzu. Dalej w porcie stały zacumowane w rzędzie o wiele większe jednostki przemysłowe. AGATA była skromną łodzią, typową dla niezależnych rybaków.

Dla mnie w całej tej scenerii najbardziej intrygujący był jednak nowy członek załogi łodzi – były policjant.

Odważnie ruszyłem mu na spotkanie. Cisza w porcie potęgowała odgłos moich kroków. Bez namysłu, pod wpływem impulsu, wskoczyłem na rufę kutra. Łódź zakotłowała się i Rojo mnie zauważył.

– To ty? – zdziwił się i zastygł nieruchomo. – To ty?!

– Spodziewałem się bardziej serdecznego powitania.

– Co tu robisz, wariacie?

– Jak sam widzisz, nie jest łatwo się mnie pozbyć. Przyszedłem dowiedzieć się prawdy.

– Nie opowiadaj głupot, Gabriel – odpowiedział. – To nie jest miejsce dla ciebie. Spadaj stąd, zanim ktoś przyjdzie.

– Ani myślę – odparłem. Zapadał zmrok i nocny wiatr szarpał moje ubranie. – Od kiedy jesteś rybakiem?

– Już ci powiedziałem, Caballero – wycedził. – Nie każ mi robić tego, czego mogę później żałować.

– Blanka wie, że jestem tutaj z tobą. Znajdzie cię.

Policjant nie odpowiadał.

– Rojo, kto za tym wszystkim stoi? Fin uciekł z aresztu.

– A to ci niespodzianka. Co jeszcze wiesz?

– Mam swoje teorie – oznajmiłem. – Wiem, że złożyłeś dymisję, aby odszukać prowodyra tego zamieszania. Ta osoba ma cię doprowadzić do twojej żony. Z drugiej strony podejrzewam, że dostawy narkotyków na Półwysep pochodzą z Balearów. Tak, wiem, że to zbieg okoliczności, ale to ma sens... Krab to tylko symbol. Przypadkowy, bez większego znaczenia. Jeszcze nie odkryłem związku między twoją żoną a trupami, ale wydaje się, że istnieje i wcześniej lub później go poznam. Najbardziej zastanawia mnie jednak to, kim jest Heikki Hämäläinen, jak się tu dostał i jaką pozycję zajmuje w strukturze. Wiem, że może zabrzmi to niedorzecznie, ale chyba mamy do czynienia z siatką zajmującą się różnymi nielegalnymi interesami, handlem narkotykami i ludźmi.

Rojo bezgłośnie zaklaskał.

– Brawo, Gabriel, brawo. Bardzo celne spostrzeżenia – uśmiechnął się pod nosem. – Pełne fantazji, atrakcyjne i intrygujące. Twoja historia ma wszystkie elementy, by trafić na pierwsze strony porannych gazet. Czemu więc jej nie spiszesz i nie zostawisz mnie w spokoju, do cholery?

– Czy to znaczy, że mam rację?

Rojo otworzył lodówkę turystyczną, wyjął dwie czerwone puszkę piwa Mahou i rzucił mi jedną.

– Dobrze wiesz, że nie – powiedział po upiciu tyka. – Chociaż muszę przyznać, że twoja historia brzmi lepiej niż rzeczywistość.

– Twoja rezygnacja to fikcja, co?

– To wabik.

– Tak samo jak i ucieczka Fina.

– Ktoś zapomniał przekręcić klucz w zamku.

– Cała policja jest w to zamieszana?

– Tylko lokalna – powiedział. – Jurysdykcje wspólnotowe.

– Co się stanie, gdy dowie się o tym Madryt?

– Kiedy to się stanie – wyjaśnił – sprawa będzie rozwiązana, aresztujemy winnych i nikt nie będzie zadawał pytań. Sprawa zamknięta, koniec historii.

– A co z Finem?

– To zwykły handlarz – powiedział. – Prowadzi interesy na całym wybrzeżu Alicante, dyskoteki w Benicàssim, Benidorm czy Torrevieja i zainwestował w tereny mieszkalne, które wykupił od banków. To dzięki niemu dzisiaj w El Campello, Guardamar i Santa Pola pełno jest obcokrajowców najróżniejszej maści.

– Obserwowaliście go – stwierdziłem z niedowierzaniem. Po raz kolejny poczułem się oszukany. – Ale dlaczego tyle trupów?

- Ktoś mu sprzedał wadliwą partię. Ten cholerny narkotyk pochodzi z Rosji. To chemia produkowana w laboratoriach. Symuluje efekt marihuany, ale ostatecznie uszkadza mózg.

- A wy...

- Jak wiesz - wszedł mi w słowo - trudno znaleźć tysiące pigułek rozrzuconych po całym terytorium. I chociaż mnie to boli, nie dysponujemy ani odpowiednią technologią, ani metodami, które by nam pozwoliły dotrzeć do tak wielu ludzi w krótkim czasie. To strata czasu.

- Kto byłby zdolny do czegoś takiego?

- Obawiamy się, że chodzi o porachunki lub o wojnę bossów narkotykowych.

- A Miranda, jaka jest jej rola?

- Współpracuje z nami... ale nie bezpośrednio - wyjaśnił. - Właściwie to nigdy tego nie robiła. Wystarczyło jednak ją śledzić, by doprowadzić nas do odpowiednich osób. Ta dziewczyna ma dużo wdzięku.

- Dlaczego mnie okłamywałaś, Rojo? - wykrztusiłem oburzony. - Dlaczego marnowałeś mój czas?

- Ostrzegłem cię pierwszego dnia, Gabriel - powiedział. - Mówiłem ci, żebyś się nie mieszał. To operacja policyjna na dużą skalę. Nic ciekawego, nic nowego. Takie historie zdarzają się ciągle.

- Ale... kraby... twoja żona.

- Przykro mi... - zawiesił głos. - To też była farsa.

- Nie pierdol, Rojo - warknąłem. - Obaj widzieliśmy film w ten dzień z trupem w wannie.

- Tak... Ten chłopak... co za towarzystwo... Caballero. To był zwykły ćpun - stwierdził. - Przepraszam cię, Gabriel. Ostrzegłem, że prawda ci się nie spodoba.

- Ta kobieta, obok twojej żony, miała wytatuowanego kraba na piersi.

- To prawda - potwierdził. - Chociaż nie ma to związku z tym, co się teraz dzieje. To zwykły przypadek.

- Nie wierzę ci - odparłem. - Fin powiedział mi, że krab...

- Fin jest nawiedzony.

- Poza tym, sam słyszałem wiadomość z filmu.

- Przykro mi to mówić, ale ta wiadomość była sfabrykowana.

- Również oszustwo? - zapytałem. Rojo przytaknął. - A twoja żona?

- To było stare nagranie, Gabriel. Obawiałem się, że nadejdzie chwila, kiedy się tego dowiesz. Zmiażdżyłem ręką pustą puszkę po piwie i rzuciłem mu pod nogi.

- Jesteś draniem - syknąłem. - Jesteś kłamliwym draniem!

- Lepiej będzie, jeśli już sobie pójdiesz, Gabriel.

- Skąd mam wiedzieć, że znowu mnie nie okłamujesz?

- Przestań drążyć. Powiedziałem ci prawdę. Teraz chcę, żebyś już sobie poszedł.

- Wal się, Rojo.

- Jak chcesz - skwitował. - Ta dziewczyna, Blanka, jest tu z twojego powodu. Wątpię, żeby wierzyła w tę historię, ale nadal jest przy tobie. Ocknij się wreszcie, Caballero. Bądź mężczyzną i zrób to, co ważne. Będziesz miał jeszcze czas na rozwiązywanie zagadek i zabawę w detektywa.

- Jesteś palantem.

Odszedłem zdruzgotany i zdradzony. Bez przyjaciela. Choć może był to po prostu gorzki smak półprawdy. Wszystko to, co się wydarzyło, nie było niczym więcej, jak tylko letnim spektaklem, przedstawieniem, które miało mnie zająć na jakiś czas. Zastanawiałem się tylko... dlaczego? Po co Rojo miałby zadać sobie tyle trudu, żeby mnie odsunąć od sprawy? A Blanka? Co ona wiedziała, a czego nie?

Wróciłem do rybackiej knajpy i znów usiadłem przy barze. W środku nie było prawie nikogo. Spojrzałem na zegarek, była dziesiąta wieczorem. Nostalgiczny kelner i brzęk zmywanych naczyń.

- Whisky z colą - zamówiłem.

- Zamykamy za godzinę - oznajmił mężczyzna, polerując szklanki.

- Zdążę - powiedziałem. - Życie dało mi popalić.

- Wyluzuj, chłopie - odparł. Postawił przede mną szklankę z trzema kostkami lodu, nalał whisky i trochę Coca-Coli. Potem wyjął talerz z oliwkami i postawił obok szklanki. - Oliwa sprawiedliwa zawsze na wierzch wypływa.

Następnie wyjął drugą szklankę, mniejszą, chwycił butelkę koniaku z czarnym bykiem na etykiecie i napełnił naczynie do połowy. - Przyłączę się do ciebie. O tej porze smutny człowiek nie powinien pić sam.

- Dziękuję.

- Kobieta? - zagaił. - Jeśli nie masz ochoty, nie musisz odpowiadać.

- To też - westchnąłem. - Życie... tak ogólnie.

- To powinno być zabronione - powiedział, popijając koniak - przynajmniej w wakacje.

W telewizji pokazywano letnią galę, w której występowały dzieci przebrane za zwierzęta. Pojawiły się homary, ośmiornice, kraby. Za dużo tych zbiegów okoliczności. Byłem wyczerpany tym wszystkimi, życiem i sobą samym.

- A ta dziewczyna, to ładna jest? - zainteresował się mężczyzna, poprawiając wąs.

- Zgadza się - potwierdziłem. - Bardzo ładna, ale należymy do dwóch różnych światów.

- Zawsze tak jest, młody człowieku - powiedział. - Jeśli jest tego warta i cię kocha, to nie odpuszczaj. Kobiety są w stanie wiele wybaczyć. To cnota, której nam nie...

- Skrucha nas wyzwoli - przerwałem mu.

- A nie prawda? - zdziwił się kelner.

- To też, to też...

Nagle w kieszeni zawibrował mi telefon.

Dostałem SMS-a.

- To ona, prawda?

- Tak - przytaknąłem. - Prosi, żebym do niej zadzwonił.

- To co tu jeszcze robisz? Ja wracam do swoich zajęć.

- Dziękuję - rzuciłem, skończyłem drinka jednym haustem i zapłaciłem. Barman-właściciel został w środku i w samotności polerował dalej szklanki, spoglądając w telewizor i kończąc swojego drinka.

Wyszedłem na plażę i wybrałem numer. Miałem zamiar powiedzieć Blance, że mam już dość tych gier.

Nie było mi to jednak dane.

Serce podeszło mi do gardła, gdy po drugiej stronie słuchawki nie usłyszałem jej głosu.

Ktoś wziął głęboki oddech.

- Jeśli chcesz jeszcze zobaczyć swoją przyjaciółkę... - powiedział Heikki Hämäläinen. - Musisz się pospieszyć.

- Jak ją tylko tkniesz, to poderżnę ci gardło - zagroziłem mu drżącym głosem.

- W takim razie proponuję ci układ. Jeśli na niego przystaniesz, zwrócę ci ją w takim stanie, w jakim ją znalazłem.

- Sukinsyn.

Usłyszałem kobiecy krzyk.

Blanka.

- Zważaj na słowa, matole - ostrzegł mnie i wybuchnął śmiechem. - Chcę, żebyś mi wystawił swojego kolegę policjanta.

- Nie wiem, gdzie jest - odpowiedziałem.

- AAAAAAH! - ponownie krzyknęła Blanka w oddali.

- Jeszcze jedno kłamstwo i wyślę ci zdjęcie jej odciętej dłoni... - powiedział Fin. - Tej nocy będzie dostawa. Wiem, że twój przyjaciel wszystko zorganizował. Inspektor Rojo uważa się za sprytniejszego od innych, nieprawdaż? Ale o tym pewnie już wiesz... Na drugim kutrze będzie mój człowiek. Po dostawie, na mój znak, zdetonuje bombę ukrytą w ładowni. Powiedz glinie, żeby się poddał, a zapobiegiesz nieszczęściu. W przeciwnym razie stanie się przysmakiem dla mew.

- Jesteś nienormalny! - krzyknąłem. - Rojo się nie podda.

- Pamiętaj o dziewczynie.

- Nie posłucha mnie.

- Przekonaj go - usłyszałem kolejny krzyk Blanki. - Mam nadzieję, że teraz jesteś już odpowiednio zmotywowany.

Połączenie zostało przerwane.

Serce zamarło mi z trwogi.



Po zakończonej rozmowie obróciłem się na pięcie i puściłem biegiem w kierunku AGATY. Po kilku minutach zziębnięty dobiegłem na miejsce. W oddali zobaczyłem oświetlony kuter, a na nim pięciu mężczyzn ładujących coś do luku. Chciałem wyznać prawdę Rojo. Z jednej strony instynkt podpowiadał mi, aby mu zaufać, ale z drugiej coś mnie przed tym powstrzymywało. Postanowiłem więc schować się na łodzi i poczekać na moment dostawy. Mężczyźni zeszli z kutra i udali się do nabrzeżnego hangaru. Skorzystałem z okazji i panujących ciemności – wskoczyłem na podkład i szybko ukryłem się we wnętrzu łodzi. Byłem w środku. Nie było tu zbyt dużo miejsca. W kajutach brakowało drzwi i jedyną kryjówką mogło stać się pomieszczenie z blaszanymi, przeżartymi przez rdzę drzwiami, które nosiły ślady licznych nieudanych napraw. Pchnąłem je, ale bez skutku. Najwyraźniej się zacięły. Słyszałem dochodzące z zewnątrz głosy. Lekko spanikowany napałem ponownie całym ciężarem ciała i poczułem, że wrota uchyliły się na kilka centymetrów. Odgłosy były coraz wyraźniejsze, więc nie miałem innego wyjścia, jak tylko otworzyć je kopniakiem. Rozległ się huk. Głosy ucichły.

– Słyszeliście? – usłyszałem czyjś głos.

– To pewnie z hangaru – stwierdził ktoś inny.

Pomieszczenie wypełniał rybi fetor. Na podłodze leżały zeschnięte rybie łuski, a wokół walały się połamane skrzynki, sieci i akcesoria do połowu. Chwyciłem oparty o ścianę harpun i czekałem.

Mężczyźni weszli na pokład, łódź zachybotowała się, a głosy były teraz dobrze słyszalne.

– Jesteśmy w komplecie – oznajmił jeden z nich zachrypniętym głosem. To był mężczyzna, z którym rozmawiałem w barze.

– Tak – potwierdził drugi. Ten głos należał do inspektora Rojo. – Działamy zgodnie z planem. Zrozumiano, kapitanie?

– Zgoda – potwierdził mężczyzna – twój ojciec będzie z ciebie dumny.

– Na moim miejscu postąpiłby tak samo – powiedział Rojo. – Można ufać twoim ludziom?

– Oczywiście. Chociaż nigdy nie brali udziału w czymś takim.

– Ten facet – Rojo ściszył głos – ten niski, za bardzo wścibia nos we wszystko.

– Ambrosio? – zapytał kapitan. – To najnowszy nabytek, trochę skryty, nie mówi dużo, ale przykłada się do pracy. Będę go miał na oku.

– Nie ma potrzeby. Ale wolałbym uniknąć niespodzianek.

– I tak będzie – potwierdził kapitan. – Co z twoim człowiekiem?

– To fachowiec. Wie, co ma robić.

– Mam nadzieję, że nas nie zawiedzie – dodał kapitan. – Wiesz, o co mi chodzi? Nie przywykliśmy do broni.

– Takie rzeczy dzieją się tylko w filmach, kapitanie.

Mężczyzna roześmiał się.

Głosy ucichły.

Zaczęły pracować silniki.

Poczułem, że odbijamy od brzegu.



Mówią, że każdą burzę poprzedza cisza. Chyba nikt z nas nie zdawał sobie sprawy, jak blisko owej burzy się znajdujemy. Z rozmowy wywnioskowałem, że Rojo miał swojego człowieka na pokładzie – i nie byłem nim ja – oraz że nie ufa niejakiemu Ambrosio, a to mogła być właśnie ta osoba, o której mówił Heikki Hämäläinen. W moim zawodzie panowała zasada, która mówiła, aby nie wierzyć w informację, póki nie sprawdzi się jej u źródła. Możliwe, że Rojo zawiódł policyjny nos i zdrajcą był ktoś inny. Cała odpowiedzialność spoczywała na moich barkach. Mogłem albo powiedzieć o tym Rojo, albo milczeć. Od tego zależało życie Blanki, życie nas obojga. Nie po raz pierwszy mierzyłem się z takim dylematem. W amerykańskich filmach takie rzeczy były na porządku dziennym. A na koniec Bruce Willis ratował wszystkich, zabijał łotra i odbijał dziewczynę. Wszystko

kończyło się ogromną eksplozją, z której oboje wychodzili cało jedynie z twarzą osmaloną sadzą. Nasza sytuacja była o tyle skomplikowana, że nie znajdowaliśmy się w Hollywood, tylko na Morzu Śródziemnym.

Powoli przyzwyczajałem się do smrodu ryb. Temperatura panująca w pomieszczeniu sprawiła, że poczułem senność. Z apatii wyrwało mnie nagłe szarpnięcie łodzią i uderzenie skrzynki z narzędziami. Znalazłem w niej łom i zabrałem się za przeszukiwanie stojących w pomieszczeniu zabitych gwoździami skrzyń. Po otwarciu drugiej z nich podskoczyłem z przerażenia. W środku znajdowała się bomba podłączona do telefonu komórkowego. Ten łajdak nie żartował.

Czas grał na naszą niekorzyść. Podejrzywałem, że zdrajca albo ktoś przepływający obok, za chwilę uruchomi zapalnik. Sytuacja była beznadziejna.

Odłożyłem łom na bok i przyjrzałem się bombie. Na pierwszy rzut oka nie wyglądała na jakąś wyrefinowaną konstrukcję, a raczej na chałupniczą robotę. Ładunek wybuchowy był przymocowany do dna skrzyni za pomocą szarej taśmy klejącej. Nad nim biegło kilka przewodów różnej długości, które podłączono do przenośnych akumulatorów i telefonu Nokia 3210. Wystarczy jeden sygnał, który uruchomi telefon, połączy obwód, a w ułamku sekundy zamienimy się w smażone kiełbaski.

Pomyślałem o Blance, o tym, gdzie teraz jest, o naszym ostatnim tańcu i pocałunku. To nie był moment na cikliwość, a ja w napływie wspomnień zacząłem się rozklejać. Podejrzywałem, że wkrótce ktoś tu wejdzie, aby sprawdzić stan tego cholernego ustrojstwa. Złapałem harpun, ukryłem się w najciemniejszym kącie i czekałem. Nie myliłem się. Po kilku minutach drzwi uchyliły się. Ktoś wszedł do środka i nerwowo zaczął sprawdzać skrzynie. Cholera. Zapomniałem posprzątać bałagan.

- Co jest, kurwa? - powiedział do siebie mężczyzna. Widziałem tylko jego plecy.

- Jeden ruch - rzuciłem do niego - a przedziurawię ci tors. Ostrzegam.

Podniósł ręce do góry i nie odwracając się do mnie, zaczął się śmiać.

- Jesteś frajerem - powiedział.

- Co? - zapytałem zaskoczony.

- Jesteś frajerem - powtórzył. - Czego chcesz?

- Odwróć się - rozkazałem.

Mężczyzna odwrócił się w moją stronę. Nigdy wcześniej go nie widziałem. Mówił z tutejszym akcentem. Wyglądał na jakieś czterdzieści lat. Miał krótko ostrzyżone, przyprószone siwizną włosy i ciemne oczy. Był nieogolony, chudy i słabo umięśniony, a na prawym policzku, tuż pod okiem, widać było szramę.

- Jeżeli wystrzelisz - powiedział - znajdziesz się w niezłych tarapatach. Chcesz pieniędzy?

- Odsuń się od tego ładunku - nakazałem i zamknąłem drzwi. - Bo zaraz obydwaj zginiemy.

- Nie - zaprotestował. - Nie, jeśli pozwolisz mi ją rozbroić. To pułapka.

- Twój szef cię zdradzi.

- Tak? - dodał ironicznie. - Powiedz mi coś, czego nie wiem... - opuścił ręce. - Tylko ja potrafię to rozbroić.

Zawahałem się przez chwilę. Mężczyzna wyjął z kieszeni policyjną odznakę i podsunął mi pod nos.

- Dostaliśmy cynk, że ta wymiana to prowokacja. Zachowaj spokój, jestem pirotechnikiem.

Gdy tylko opuściłem harpun, mężczyzna rzucił się na mnie i powalił na ziemię. Broń wypadła mi z rąk. Nie zdążyłem zareagować, gdy ten przetoczył się po podłodze, chwycił harpun i przystawił mi do piersi.

- Jeden fałszywy ruch i przedziurawię cię na wylot - zagroził. - Już jesteś trupem.

Z pokładu dobiegły nas odgłosy rozmowy.

- Ruszaj się, wychodzimy - rozkazał.

Uniosłem ręce w górę i skierowałem się do drzwi. Wyszliśmy na korytarz.

Stał tam inspektor Rojo z resztą załogi.

- To ty? - kapitan stanął jak wryty. - Co tu robisz?

- Cholera jasna! - krzyknął Rojo.

- Inspektorze, znalazłem go w ładowni - wyjaśnił. - Zaatakował mnie.

- Co do diabła? - odpowiedział Rojo. - Opuść broń, on jest nieszkodliwy.

Facet popchnął mnie w kierunku inspektora. Zrobiłem kilka kroków, obawiając się, że zaraz strzeli mi w plecy.

- Kłamie... - wyszeptałem jak mogłem najciszej. - Musisz mi uwierzyć. Tam jest bomba... Mają Blanę, chciałem cię ostrzec... Heikki Hämäläinen chce twojej głowy, w przeciwnym razie wysadzi kuter.

- Czy to prawda? - zdenerwował się kapitan, słysząc moje słowa.

- Uwaga! - wrzasnął Rojo.

W tej chwili podwładny Rojo wystrzelił z harpuna, jednak na szczęście trafił w ścianę.

Prawie równocześnie rozległ się wystrzał z broni.

- Do kajut! - krzyknął kapitan i rzucił się do ucieczki. Rojo oddał kolejny strzał, próbując ukryć się w pustym pomieszczeniu. Zdrajca wystrzelił kilkakrotnie w jego stronę i puścił się biegiem w kierunku schodów prowadzących na zewnątrz. Rojo rzucił się w pościg za mężczyzną i strzelanina przeniosła się na pokład. Przypominała partię szachów, wolną i statyczną, którą, wcześniej lub później, jeden z graczy przegra. Nie wiem, ile czasu to trwało, ale były to najdłuższe sekundy w moim życiu.

Znowu wróciły wspomnienia o Blance.

Wyszedłem na zewnątrz. Cisza zmieszała się z mrokiem.

Byłem przerażony. Widać było tylko światło na maszcie łodzi. Morze było spokojne, nieruchome. Nic nie widziałem. Nagle oślepiło mnie światło latarki.

- Nie strzelaj! Błagam! - krzyknąłem, trzęsąc się ze strachu. Otworzyłem oczy. To inspektor celował we mnie reflektorem. - Nie żyje?

- Nie wiem - odpowiedział. - Chyba wpadł do morza...

Po chwili dołączyła do nas reszta załogi.

- Zbliżamy się do miejsca spotkania - powiedział kapitan. - *Mare de Dieu*, nie spodziewałem się tego.

- Prowadź do tej ładowni - rozkazał mi Rojo.

Zbiegliśmy na dół do pomieszczenia z bombą. Ładunek leżał nienaruszony w skrzyni, a na ekranie komórki widać było bieżącą godzinę.

Rojo odsunął pozostałych i zaczął oglądać uważnie materiał wybuchowy. Trzech marynarzy i ja czekaliśmy na werdykt policjanta.

- Mamy przerąbane - powiedział Rojo - bo nie za bardzo się na tym znam.

- Co się dzieje, Ximo? - kapitan był poruszony.

- Raczej, co się nie dzieje, kapitanie. Teraz siedzimy wszyscy po uszy w gównie.

- Matko Boska, co za hańba dla narodu - westchnął. - I co teraz zrobimy?

- Po pierwsze, połóżcie wszystkie swoje rzeczy na stole - rozkazał policjant, szukając telefonu, który mógłby zdetonować ładunek. - To dla naszego bezpieczeństwa.

Kapitan spojrzał na swoich ludzi, dla których słowa Rojo były jak policzek.

- Zróbcie to.

W jednej chwili wyjęliśmy wszystkie rzeczy osobiste na stół.

Oprócz mnie, żaden z nich nie miał przy sobie telefonu komórkowego. Rojo zarekwirował mój sprzęt i schował do kieszeni.

- A co, gdybyśmy wrzucili bombę do morza? - zaproponował jeden z członków załogi.

- Ale dopiero po jej rozbrojeniu - zawyrokował inspektor. - W przeciwnym razie usmażymy się w jednej sekundzie.

- Kiepsko to wygląda - stwierdziłem.

- Pomyśl dwa razy zanim się odezwiesz... - Rojo zirytował się. - Co jeszcze powiedział ci Heikki Hämäläinen?

- On chce ciebie - odparłem. - Wygląda na to, że jeden z jego ludzi, którzy przypłyną z dostawą, zna numer telefonu, który wyzwoli zapalnik bomby pod pokładem.

- Możemy spróbować przejąć ich łódź - rzucił jeden z marynarzy.

- Wysadzą nas w powietrze - powiedział Rojo. - Nie starczy nam czasu na ucieczkę.

- Nie opuszczę tego statku - oświadczył kapitan.

- Nie mamy też odpowiedniej broni, aby ich zaatakować z odległości - dodał inny marynarz.

- W takim razie poddam się - oznajmił Rojo.

- Nie gadaj bzdur! - oburzył się wilk morski. - Oni nas wszystkich zabiją. Będą chcieli zatrzeć ślady. To pułapka, dzieciaku.

- Bywaliśmy w gorszych opałach - dodałem. Wszyscy patrzyli na mnie, mając nadzieję, że powiem coś sensownego: - Czy mamy łódź ratunkową?

- Tak - powiedział kapitan. - Mamy ponton z silnikiem ... A dlaczego pytasz?

- Chyba wpadłem na pomysł, jak pozbyć się tych szumowin.



Uruchomiliśmy silnik łodzi ratunkowej i marynarze szybko się do niej przesiedli. Kapitan został jednak na pokładzie.

- Nie opuszczę mojej łajby... - oświadczył. - Ta łódź to mój dom.

- Kapitanie, pan będzie uprzejmy i zejdzie do pontonu... Proszę pana jako policjant, a nie jako przyjaciel.

- Tutaj, młody człowieku - obruszył się kapitan - tylko ja wydaję rozkazy.

- Łodzi nic się nie stanie - Rojo próbował uspokoić kapitana. - Proszę nam tylko zaufać.

- Ha, ha! Jesteś uparty jak twój ojciec, młody człowieku - powiedział kapitan. Ciężko było się z nim dogadać.

- Na dodatek nie wiesz, jak nawigować tym statkiem. Potrzebujesz mnie.

Rojo spojrział na mnie wymownie. Wzruszyłem ramionami, bo nie wiedziałem, co robić.

- Dobrze - zgodził się policjant - ale od tej pory podporządkuje się pan moim rozkazom. Zrozumiano?

- Pożyjemy, zobaczymy... - odrzekł kapitan i obrócił się na pięcie.

Pożegnaliśmy pasażerów pontonu, który odpływał w kierunku ledwo widocznych świateł zatoki.

- Płyniemy dalej zgodnie z kursem - powiedział inspektor. - Niech nas pan zawiadomi, gdy będziemy blisko miejsca spotkania.

- Tak jest - zgodził się wilk morski.

- A ty pójdziesz ze mną - rozkazała mi Rojo. - Obawiam się, że będziemy musieli skorygować nasz plan.

- Jak to?

- Caballero, przecież mnie znasz, prawda? - powiedział z drwiną w głosie. - Na tym etapie znajomości chyba nie spodziewasz się, że będę ryzykował życie, aby uratować dziewczynę?

- Co zamierzasz?

- Chodź za mną.

Zeszliśmy lukiem do pomieszczenia, gdzie znajdował się ładunek wybuchowy. - Wiem, że nie miałeś tego w planie, ale teraz ją rozbiorimy.

Poczułem ucisk w piersi.

- Na mnie nie licz.

- Przykro mi, ale będę potrzebował co najmniej jedną twoją rękę.

- A jeśli odmówię?

- Będę musiał zrobić to sam - wyjaśnił spokojnie - a wtedy wątpię, abyśmy przeżyli.

Wziętem głęboki oddech.

Jeden.

Dwa.

Trzy.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz - powiedziałem niepewnie.

- Przykro mi to mówić, ale zupełnie nie - odparł Rojo.

Podeszliśmy do bomby. Zaczął się przypiływ i fale uderzające w burty rozkołysały kuter.

- To jest bomba domowej roboty - stwierdził Rojo. - Tyle jestem w stanie powiedzieć. I choć to nie jest moja specjalność, to zawsze byłem ciekaw, jak to działa. Tego typu mechanizmy nie mają wielu tajemnic.

- A więc...?

- Zazwyczaj ładunek wybuchowy jest podłączony do detonatora. Ten do jakiegoś źródła zasilania, a ono natomiast do zegara.

- Jasne.

- Znajdziemy przewód łączący ładunek z detonatorem, rozbiorimy go i problem rozwiązany.

- Jasne.

- Tak się stanie, o ile ładunek ma tylko jeden detonator a nie dwa i nie ma wyzwalacza, na wypadek, gdyby ktoś dezaktywował główny detonator.

- To już mniej jasne...

- Istnieje możliwość, że ładunek posiada dodatkowe wewnętrzne źródło zasilania... No wiesz, na wszelki wypadek.

- Ten pomysł w ogóle mi się nie podoba, Rojo.

- Nie? No cóż... - Rojo zawiesił głos. - Zobacz. Tutaj mamy telefon komórkowy, który pełni rolę mechanizmu zegarowego. Sygnałem, który spowoduje, że statek wyleci w powietrze, będzie przychodzące połączenie telefoniczne.

- Z dowolnego numeru?

- Dokładnie – powiedział. – Sęk w tym, że my go nie znamy.
- Dlatego jedynym wyjściem jest rozbicie zegara...?
- Tak – przyznał – chociaż nie jest to Szklana Pułapka ani nie ma przewodów w dwóch kolorach. Tak naprawdę tutaj wszystko może się wydarzyć, Gabriel.

Rojo zwrócił się do mnie po imieniu – musiał być bardzo przejęty.

- A gdyby tak wrzucić skrzynię do morza?

- Rozum ci odebrało?

Rojo stał i przyglądał się mechanizmowi bomby, a ja wyszedłem z ładowni, by zobaczyć, co robi kapitan.

- Coś się dzieje? – zapytałem mężczyznę. Wyglądał na zdenerwowanego.

- Mam złe przeczucia co do tego wszystkiego, chłopcze – powiedział. – Żyję jednak nadzieją, że dotrę do portu cały i zdrów.

Kuter zaczął zwalniać, aż w końcu całkowicie się zatrzymał.

- Spokojnie. Uda mu się – próbowałem go pocieszyć. – Dlaczego się zatrzymaliśmy?

- Dopłynęliśmy na miejsce spotkania – oznajmił. – Jeszcze nikogo nie ma. Weź strzelbę z mojej kajuty. Przygotujmy się na najgorsze.

Po chwili zobaczyliśmy w oddali zbliżającą się do nas z prędkością błyskawicy łódź motorową.

Zszedłem na dół do kajuty, sięgnąłem po broń, o której mówił kapitan i zawołałem Rojo. Nie odpowiedział.

- Rojo! – krzyknąłem po raz kolejny.

- Niech Bóg ma nas w swojej opiece – usłyszałem w odpowiedzi.

Wyszliśmy na pokład. Kapitan pogasił światła. Rojo wyjął z kabiny jakąś walizkę. Musieliśmy zachować spokój. Czułem, że cała ta operacja wymyka się spod kontroli. Nasze siły zmalały do stanu jednego starego marynarza, prowincjonalnego dziennikarza i byłego inspektora policji. Handlarze z pewnością przypłyną uzbrojeni i w razie niepowodzenia nie zawahają się użyć broni. Jedyna nadzieja była w straży przybrzeżnej z Santa Pola i Alicante, którą Rojo miał powiadomić o godzinie wkroczenia do akcji.

- Nadszedł czas, żebyś wezwał posiłki – powiedziałem.

Rojo wyjął telefon z kieszeni i wybrał numer.

- Dziwne – wymamrotał zaniepokojony.

- Co tym razem? – zapytałem. Ręce drżały mi tak, że nie byłem w stanie utrzymać strzelby.

- Nie ma zasięgu – zakomunikował. – Ktoś zakłócił sygnał.

- To chyba dobra wiadomość, co? – powiedział kapitan.

- Biorąc pod uwagę okoliczności... – dodałem.

- Jeśli to oni zagłuszyli sygnał telefoniczny, mogą go w każdym momencie przywrócić. To niczego nie zmienia... Może chcą tylko mieć pewność, że nie szykujemy zasadzki.

- To dobry moment, żeby wyrzucić bombę do morza – stwierdziłem.

- To, że nie ma zasięgu – oznajmił Rojo – nie oznacza, że nie wybuchnie.

- Ta historia to jakiś pieprzony koszmar – jęknąłem.

Hałas silnika zbliżającej się motorówki wzmagał się z każdą sekundą. Jej obecność zburzyła spokój morza.

- Posłuchajcie – powiedział inspektor. – Nastawmy ich przeciwko sobie. Jeden z nich, człowiek pracujący dla Fina, jest zdrajcą. Wystarczy zasiał wątpliwość między nimi, a pierwszy, który się wychyli, będzie jego człowiekiem. Po transakcji przywrócą sygnał telefoniczny.

- A my zamienimy się w smażone mięso – dodałem.

- Nie daj się ponieść emocjom – rzucił poważnym tonem. – Musimy działać z zimną krwią. Kapitan, bez względu na to, co się stanie, wróci cały i zdrowy do portu.

- I to we własnej łodzi – zawtórował mu wilk morski.

Czekaliśmy na pokładzie.

Łódź przemytników podpłynęła tak blisko, że zostaliśmy oślepieni snopem światła z potężnego reflektora. Nie widzieliśmy, ilu ich jest. Może czterech, może pięciu. Kiedy już podpłynęli do kutra, jeden z mężczyzn wszedł na nasz pokład, a za nim, w charakterze ochrony, kolejny. Reflektor zgasł i w świetle księżyca dostrzegliśmy sylwetki pozostałych dwóch członków załogi.

- Dobry wieczór – przywitał się nieznajomy mężczyzna. – Załatwmy to raz dwa. Gdzie są pieniądze?

Rojo wskazał walizkę.

- Proszę, jaki jesteś praktyczny – powiedział – ale ja ci nie wierzę.

Po czym wykonał ruch ręką i na łódź wszedł kolejny jego człowiek.

- Przelicz pieniądze.

Szef przemytników skrzyżował ręce na piersi i spojrzał na nas spode łba. Rojo podszedł do mężczyzny liczącego pieniądze.

- Jest wszystko - powiedział. - To nie ja jestem zdrajcą.

- Co ty pleciesz?

- Jest nim jeden z waszych ludzi - dodał Rojo. - Nie mów, że nie wiedziałeś.

Ochraniający szefa mężczyzna ani drgnął.

- Bardzo sprytnie - wycedził i uśmiechnął się niewyraźnie. - Nie próbuj ze mną pogrywać. Powiedziałem ci, że wszystko jest pod kontrolą. Odcieśliśmy sygnał telefoniczny i nikt nam nie przeszkodzi. Moim ludziom można ufać, dobrze im płacę... Co się stało staremu?

Kapitan nerwowo przestępował z nogi na nogę. W końcu nie wytrzymał i wybuchnął.

- Na kutrze jest bomba, chłopcze. Wylecimy w powietrze jak korki od szampana!

- Kurwa mać! - krzyknął mężczyzna liczący pieniądze.

- Co się stało?

- Muszę zacząć od początku, kurwa.

- Gówno prawda! - powiedział przemytnik i podniósł broń. - Zamknijcie się!

- Skończycie jako przysmak dla mew! - krzyknął jego towarzysz.

Po plecach przeszedł mi zimny dreszcz, bo słyszałem już wcześniej te słowa.

Bez zastanowienia rzuciłem się na niego. Zanim upadł pod moim ciężarem i wypuścił pistolet z ręką, zdążył wystrzelić dwa razy. Podniosłem się i wymierzyłem mu cios w twarz. I jeszcze jeden. Zareagował kopniakiem i odepchnął mnie do tyłu, ale udało mi się utrzymać równowagę, więc szybkim ruchem chwyciłem leżącą na pokładzie broń i uderzyłem go jej rękojeścią w twarz.

Po tym ciosie stracił przytomność.

Kiedy się pozbierałem, zobaczyłem trupa w kałuży krwi. Naokoło pełno było porzrzuconych banknotów. Inspektor Rojo i kapitan statku mieli na muszce dwóch pozostałych przemytników. Przeszukałem kieszenie spodni bandziora i znalazłem telefon.

- Jest! - obwieściłem triumfalnie, unosząc w zwycięskim geście starą Nokię.

- Skąd wiedziałeś, który z nich jest zdrajcą? - zapytał kapitan.

- Wiedziałem, że skądś znam tę formułkę: „Skończycie jako przysmak dla mew”. Użył go kiedyś przy mnie ten przeklęty Fin.

- Pozamiatane - skwitował z zadowoleniem Rojo, po czym zmusił pozostałych mężczyzn, aby wskoczyli do morza. Ci posłusznie wykonali rozkaz. Chwycił walizkę z pieniędzmi i przeskoczył na drugą łódź.

- No dalej, za mną! - rozkazał kapitanowi.

- Ani myślę opuszczać łódź - odmówił kapitan.

Rojo zamilkł na chwilę.

- Nie mam czasu na dramaty i słabości - powiedział w końcu. - Wsiada pan do motorówki albo skończy marnie tutaj.

Chwyciłem kapitana za ramię. Stary wilk morski opierał się przed porzuceniem swojego drugiego domu. Nie było to dla niego łatwe i prawdę mówiąc w pełni go rozumiałem.

Rojo nie był najlepszym negocjatorem.

Kapitan zapalił wszystkie światła na kutrze. Wskoczyliśmy do łodzi motorowej przemytników, po czym kapitan pożegnał się z łodzią, całując kadłub w miejscu, gdzie niebieskimi literami na białym tle wymalowano napis AGATA.

- Spadamy - zarządził Rojo. - Jest już późno.

- Dokąd płyniemy? - zapytałem, rozglądając się w ciemności.

- Lepiej niech kapitan przejmie stery - odparł inspektor. - Wkrótce wyślą za nami pościg. Masz ten telefon?

- Tak - powiedziałem i podałem mu aparat. - Nie ma ani jednego zapamiętanego numeru, jest bezużyteczny.

- Bezużyteczny to jesteś ty, Caballero - odparł z drwiną w głosie. - Przejrzyj nieodebrane połączenia. Tam powinien być ten numer.

- Skąd ta pewność?

- Sprawdźmy to - powiedział i nacisnął zieloną słuchawkę. Nastąpiła cisza. - Cholera! Włącza się poczta głosowa.

- A więc raczej nigdy nie dowiemy się, kto to był...
- Teraz to już nie ma znaczenia... - odezwał się kapitan.
Przyglądaliśmy się dryfującej w oddali łodzi.
Nagle, ku naszemu zaskoczeniu, kutrem wstrząsnęła silna eksplozja i rozerwała łódź na kawałki.
Spektakularny widok - doszczętnie zniszczony kuter tonący w morzu i my trzej na łodzi motorowej w świetle płomieni jednostki trawionej przez ogień. Piękno w nieszczęściu.
- Dokąd płyniemy, kapitanie? - zapytał inspektor, próbując po raz kolejny wczytać mapę w telefonie.
- Nie wiem - odpowiedział kapitan. Obejrzał się za siebie, potem jeszcze raz. - Nie widzę latarni. Jeśli jednak zawrócimy w kierunku kutra, to pewnie uda nam się dotrzeć do portu.
- Skąd ta pewność? - spytałem powątpiewająco.
- A po co te głupie pytania? - odgryzł się kapitan.
- Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, wkrótce będziemy mieć na głowie inne problemy - powiedział Rojo.
- Jak dotąd nic nie idzie zgodnie z planem - skwitowałem.
- Zamknijcie się już! - fuknął rybak. - Słońce wzejdzie o szóstej trzydzięci i dopiero o brzasku coś zobaczymy.
Płynęliśmy chwilę w ciszy, gdy w oddali zamajaczył jakiś oświetlony kuter rybacki.
- Mamy szczęście - powiedział Rojo.
- Zachowaj czujność, chłopcze - kapitan był ostrożny. - Tutaj raczej łodzie nie wypływają na połów.
- W takim razie to muszą być oni... - stwierdził Rojo.
- Nie bądź osłem, Rojo - rzuciłem. - Lepiej zawróćmy i płynijmy jak najdalej stąd.
- Caballero, zamiast sikać w gacie, odlej się do morza - odparował złośliwie Rojo. - W tej chwili mamy nad nimi przewagę. Myślę, że łódź wyleciała razem z nami w powietrze. Szczerze wątpię, aby Hämäläinen znał wszystkich, którzy dla niego pracują, dlatego podpłyniemy cicho do kutra i ich zaskoczmy.
- Tak po prostu? - zakpiłem - jak w filmie ze Stevenem Seagalem?
- Czas ucieka, a możliwości jest coraz mniej - kontynuował policjant. - Już mnie zdradził jeden z moich ludzi. Jestem pewien, że straż przybrzeżna włączy się w tę sprawę... W każdym razie, tylko oni mogą nam pomóc..., ale wtedy całą operację przejmą inni i sprawa stanie się publiczna. Wejdziemy na pokład jak prawdziwi piraci.
- Postradałeś zmysły, Rojo...
- Odwagi, kurwa.



Ruszyliśmy z wyłączonymi światłami. Łódź sunęła po wodzie z dużą prędkością. Gdy podpłynęliśmy wystarczająco blisko kutra, wyłączyliśmy silnik i czekaliśmy, aż prąd znieś nas blisko jego burty. W ciemności trudno było cokolwiek zobaczyć. Na pokładzie nie widać było nikogo. Nie spodziewali się nas.

- Już czas - ogłosił Rojo.
Podsadziliśmy inspektora i ten wskoczył na łódź. Za nim ruszyłem ja.
Łódź zakołysała się.
- Chodźmy, kapitanie - podałem mu rękę.
Zaraz po wejściu na pokład, usłyszeliśmy metaliczny dźwięk.
- Idziemy - szepnął Rojo.
Przykucnięci, zaczęliśmy skradać się w stronę rufy. Inspektor wskazał ruchem ręki strażnika i gestem polecił nam zostać na miejscu, a sam zaszedł go od tyłu, ogłuszył ciosem w tył głowy i bezgłośnie ułożył ciało na podłodze. Ponownie rozległ się metaliczny odgłos. Wyczułem czyjąś obecność. Nie byliśmy na pokładzie sami.
Potężnej mocy reflektory oświetliły nagle całą łódź. Ktoś nas obserwował z mostka kapitańskiego.
- Nieźle, nieźle... - z góry rozległ się głos. To był Heikki Hämäläinen. - Co za niespodzianka, panie inspektorze.
- Masz mnie - Rojo zwrócił się do niego. - Tego właśnie chciałeś, prawda? Ale ich zostaw w spokoju.
- Brawo, co za bohaterstwo... I to wszystko, co masz mi do powiedzenia? - zapytał Fin i rzucił do swoich ludzi. - Pozbądźcie się ich.

Zobaczyłem, jak kapitan upada powalony na ziemię. Zaraz potem poczułem uderzenie metalowym przedmiotem. Pociemniało mi w oczach, a pokład zaczął wirować jak na karuzeli. Próbowałem się czegoś złapać, ale bezskutecznie. Zamknąłem oczy i po raz kolejny się poddałem.



Mogłem poruszać głową, ale w jej tylnej części czułem palący ból. Z trudem otworzyłem oczy. Wydawało mi się, że płyniemy. Śmierdziało rybą – ten cholerny smród, który wnikał w nozdrza i którego trudno było się pozbyć. Na litość boską, już miałem go dosyć. Gdy próbowałem się poruszyć, okazało się, że mam związane ręce i nogi. Przynajmniej mogłem krzyczeć, ale to i tak nie miało sensu. Obok mnie zobaczyłem przywiązane do krzesła półprzytomnego kapitana. Gdy otworzył oczy, szepnąłem:

– Kapitanie, kapitanie! Jest pan cały?

– Gdzie do cholery jesteście? – wystękał zachrypniętym głosem. – Czuję się, jakbym miał najgorszego kaca w życiu.

– Musieli nas wsadzić do ładowni – powiedziałem.

– Możesz się ruszać?

– Ledwo.

– Musimy się uwolnić, zanim pojawi się tu jeden z tych drani.

Rozejrzeliśmy się wokół w poszukiwaniu czegoś, co pomogłoby nam wyswobodzić się z więzów. Kapitan dostrzegł w kącie szklaną butelkę i przesuwał pod sobą krzesło, zbliżył się do niej powoli, po czym rozbił ją nogą na drobne kawałki.

Bałem się, że brzęk tłuczonego szkła ściągnie czyjąś uwagę.

Bez namysłu przeczołgałem się w tamtą stronę i spróbowałem chwycić kawałek szkła. Nie było to takie proste. Każdy ruch był okupiony ostrym bólem głowy.

Przy pierwszej próbie zraniłem się w rękę.

– Gówno! – wymamrotałem.

– Skup się – doradził staruszek – już prawie go masz.

W końcu udało mi się złapać jeden z kawałków. Trzymałem go sztywno w ręce, a staruszek pocierał o niego taśmę, którą miał związane nadgarstki.

– Dobra robota, chłopcze – powiedział z uznaniem, gdy udało mu się przeciąć więzy. Złapał szkło i rozciął taśmę krępującą mi ręce i nogi. – Reszta to już łatwizna.

– Teraz poszukajmy Rojo – oznajmiłem.

– Co tu się wyprawia?! – wrzasnął wartownik, który zniecierpliwiony pojawił się w drzwiach.

Nie zauważyłem, że ma broń i nie myśląc długo rzuciłem się na niego. Podczas szamotaniny waliłem pięściami na oślep jak bokser amator. Jednym z ciosów wytrąciłem wartownikowi z ręki broń, która upadła obok kapitana. Ten chwycił leżący pistolet, wycelował i strzelił. Narobił mnóstwo hałasu, a kula poszybowała w niepożądanym kierunku. Wartownik uwolnił się ode mnie jednym kopniakiem i powalił na ziemię.

– Uwaga! – krzyknąłem.

Kapitan wycelował ponownie i strzelił. Rozległ się kolejny huk. Tym razem trafił w dziesiątkę. Kula przebiła klatkę piersiową intruza.

Statek zakołysał się i bezwładne ciało strażnika przygniotło starego wilka morskiego. Wstałem i pomogłem kapitanowi uwolnić się spod ciężaru trupa.

– Matko boska, kapitanie. Niewiele brakowało.

– Chłopcze... – wyjęczał cicho. Gdy ściągnąłem z niego martwego wartownika, zauważyłem dużą plamę krwi na jego koszuli. W pierwszej chwili pomyślałem, że to krew zabitego. Pech chciał, że rybak upadł na jeden z kawałków butelki. Ostry fragment o długości kilku centymetrów wystawał mu spod żeber.

– Spokojnie, to nic poważnego, wylizę się pan z tego – pocieszyłem go.

– Czy to życie nie jest zabawne? – szepnął. – Gdy przychodzi czas na śmierć... umierasz... Co cię jednym razem ocaliło... innym zabije...

– Nie gadaj bzdur, człowieku – powiedziałem, podtrzymując jego głowę. – Nic panu nie będzie, zobaczy pan.

Znowu usłyszałem hałas. Ktoś się zbliżał.

– Weź... pistolet – polecił staruszek ostatkiem sił.

– Nie umiem strzelać.

– Pomyśl, że to harpun... a ty polujesz... na rekina... – wyszeptał. – Weź oddech... skoncentruj się... i nie myśl zbyt wiele.

Jedną ręką chwyciłem broń, a drugą podtrzymywałem kapitana. Kroki były coraz bliżej.

Utkwiłem wzrok w drzwiach.

Ręka mi drżała.



Ile czasu spędziliśmy na łodzi rybackiej? Gdzie byliśmy teraz? Nie wiedziałem. Poczułem, jak kuter uderza burtą o nabrzeże. Oparłem kapitana delikatnie o ścianę. Wstałem i niepewnie trzymając pistolet w dłoni, wbiłem wzrok w drzwi.

- Dobiliśmy do portu – szepnął staruszek. – Jakby co, nie wahaj się, tylko strzelaj.

Drzwi otworzyły się z hukiem.

- Gabriel! – krzyknął kobiecy głos. To była Blanka Desastres, tak samo żywa, jak piękna. W jej spojrzeniu widać było zachwyty, jakby zobaczyła we mnie anioła. – Ty żyjesz!

Najwidoczniej zdążyła uznać mnie za martwego. Ujęła w ręce moją twarz i ku mojemu zdumieniu pocałowała mnie. Przytuliliśmy się. Chłonałem ten cudowny zapach jej włosów przebijający się przez smród gnijącej ryby. Rozpoznałbym go wszędzie, nawet gdybym był niewidomy.

- Musimy mu pomóc – wskazałem na kapitana. – Jest ranny, mieliśmy pewne komplikacje.

- Rozumiem – przytaknęła Blanka, widząc martwego wartownika na ziemi.

- Jak udało ci się uciec?

- To długa historia, Gabriel. Jeszcze będzie czas na wyjaśnienia... Teraz musimy się stąd wydostać. Jesteśmy w porcie w Palma de Mallorca.

- Co? – zdziwił się staruszek.

- Palma? – powtórzyłem. – Mój Boże.

- Tak – potwierdziła i dodała wzburzona: – Dużo się tu wydarzyło. –

- Co masz na myśli?

- Uwięzili mnie w kabinie, gdzie pilnował mnie jeden z bandytów – wyjaśniła. – Kiedy rozległy się wystrzały, strażnik poszedł zobaczyć, co się dzieje. Skorzystałam z okazji, by uciec i na pokładzie znalazłam martwą załogę łodzi. Ktoś ich zabił. Wszyscy mieli wytatuowanego na ciele kraba, Gabriel. Na statku nie było żywego ducha, nikt nie przeżył... Tylko ten wartownik

- A Rojo?

- Nie ma po nim śladu – poinformowała – ani po Hämäläinenie.

- Jeśli się pospieszymy, to może uda nam się ich znaleźć.

Blanka spojrzała na kapitana.

- Mną się nie przejmujcie... łapcie tego drania.

- Czas ucieka – ponaglała Blanka.

- Ja zatrzymam policję... – wyszeptał kapitan. – Dzieciaku... Spotkamy się jeszcze pewnego dnia, okej?

- Na pewno – potwierdziłem.

Opuściliśmy z Blanką kuter. Na nabrzeżu minęliśmy tłumek gapiów i patrol straży portowej, która zauważyła pojawienie się niezgłoszonej w porcie łodzi. Blanka poprosiła kogoś z załogi cumującej w pobliżu łodzi rybackiej o wezwanie karetki. W oddali dostrzegłem Rojo i Hämäläinenę wsiadających razem do taksówki. Co to, do licha, miało znaczyć?

Uniosłem rękę i zatrzymałem przejeżdżającą taryfę.

- Jest pan wolny? – rzuciłem do taksówkarza.

Kierowca wychylił się przez otwarte okno. Na głowie miał czapkę z logo producenta mleka. Poczułem, jakbym miał déjà vu.

- *Mare de Dieu!* A myślałem, że już nigdy się nie spotkamy – taksówkarz uśmiechnął się szeroko. – Dokąd jedziemy?



Przypadek? Kto mi to wyjaśni? Jakby w mieście nie było innych taksówkarzy. Mężczyzna, w nieodłącznych pilotkach na nosie, wydawał się zadowolony z naszego ponownego spotkania. Szybko wskoczyliśmy do samochodu.

- Kto tym razem nas ściga? – zainteresował się.

- Za tamtym samochodem, proszę – zarządziłem. – Dzisiaj to my kogoś ścigamy...

- Do usług, młodzieńcze. – Kierowca ruszył z piskiem opon.

- Skąd znasz tego faceta? – zapytała szeptem Blanka.

- To długa historia – odpowiedziałem i uśmiechnąłem się.

Wlatujący przez otwarte okna samochodu wiatr chłodził nam twarze, z głośników dobiegały gitarowe dźwięki flamenco, a we wnętrzu unosił się duszący zapach sosny.

– ¡Olé, olé! – wykrzyknął mężczyzna i poklepał ręką drzwi samochodu. – Z drugiej ręki. Dobra jakość. Czy jest państwu wygodnie?

– Niech pan zachowa ostrożny dystans – poleciłem. – Nie chcę, żeby nas zauważyli...

Samochód wyjechał z portu i ruszył dwupasmówką wijącą się wśród pustynnych zboczy gór porośniętych wyschniętymi trawami i kolczastymi opuncjami.

– To ciekawe, chłopcze... – odezwał się po kilku kilometrach taksówkarz. – Wygląda na to, że wracamy do portu.

– Jesteś pewien?

– Na bank... – przytaknął.

Dojechaliśmy do towarowej części portu, gdzie dużo miejsca zajmowały poustawiane jeden na drugim różnokolorowe kontenery, tworzące nieprawdopodobny labirynt. Samochód przed nami zwolnił i zatrzymał się. Obaj pasażerowie wysiedli. Taksówkarz zaparkował swój pojazd w bezpiecznej odległości.

Choć staliśmy daleko od nich, byłem prawie pewien, że Hämäläinen trzyma pistolet przyłożony do pleców Rojo.

– Dziękuję – rzuciłem szybko do kierowcy i wręczyłem mu banknot 50 euro.

– Chcesz, żebym poczekał? – zapytał, chowając pieniądze do portfela.

– Nie ma potrzeby.

– Powodzenia, młodzieńcze. Nie wpakuj się w kłopoty. – odparł, po czym odjechał.

Spojrzałem na niebo. Całe szczęście, że zostało jeszcze kilka godzin do zachodu słońca. Po zmroku nie byłoby tu czego szukać. Szanse na znalezienie kogokolwiek w gąszczu kontenerów byłyby zerowe.

– Boję się – Blanka zadrżała i chwyciła mnie za ramię. – Myślę, że powinniśmy wezwać policję, Gabriel.

– Nie – zaprotestowałem i wyjąłem pistolet zza pasa. – Mam już dosyć, Blanka. Czas zakończyć tę historię.

Śpiew mew odbijał się echem od metalowych gigantycznych skrzyń. Szedłem przodem, trzymając broń w drżącej ręce.

– Słyszałeś? – Blanka stanęła jak wryta na dźwięk metalicznego odgłosu.

– Zostań tutaj i nie ruszaj się – rozkazałem i ruszyłem naprzód.

Kilkoma susami pokonałem pierwsze paręnaście metrów, przystanąłem na chwilę i rozejrzałem się wokół, ale nikogo nie widziałem. Gardło miałem ściśnięte ze strachu.

Przerażały mnie te niekończące się korytarze między kontenerami. Wszystkie wydawały się identyczne, a na ich końcach widać było tylko morze i horyzont.

– Gabriel! – zawołała Blanka i wskazała coś ręką.

Odwrociłem się w tamtym kierunku, uniosłem broń i kątem oka zauważyłem czyjś cień przemykający za niebieskim metalowym zbiornikiem.

– Rojo! – krzyknąłem i pobiegłem w tamtą stronę, ale gdy dotarłem do skrzyżowania, postać zniknęła. – Pieprzę to! Rojo!

– Uciekaj stąd! – usłyszałem męski głos, odbijający się echem od korytarzy.

Zza kontenera wyłoniła się dłoń w czarnej rękawiczce trzymająca pistolet. Widząc palec na spuście, odruchowo padłem na ziemię.

– Nie! – krzyknęła z oddali Blanka.

Uniosłem swój pistolet i wystrzeliłem. Rozległ się ogłuszający huk.

– Blanka? – zawołałem głośno.

Nie było odzewu.

Po chwili usłyszałem kolejny wystrzał i w lewym udzie poczułem silne pieczenie.

– Cholera! – jęknąłem bezwiednie. Kula przeszła mi nogę. Rana piekła jak diabli.

Noga ważyła chyba tonę i nie mogłem jej ruszyć. Ból narastał. Wiedziałem, że od takiej rany raczej nie umrę, ale musiałem jak najszybciej zatamować krwawienie.

– Gabriel! – krzyknęła ponownie Blanka, biegnąc w moją stronę. Widziałem panikę w jej oczach, a łzy płynęły jej ciurkiem po policzkach. Podbiegła do mnie zdenerwowana, pocałowała, a potem mocno przytuliła.

– Jesteś cały?

Było warto.

– Trzeba wezwać pomoc, Gabriel – stwierdziła, oglądając ranę. – To wygląda groźnie.

- Ale, ten skurwysyn...

- Gabriel... - położyła palec wskazujący na moich ustach. - Opuść sobie, proszę. I tak już zabrnęliśmy za daleko.

- Blanka, ty nic nie rozumiesz?

- Potrzebujesz pomocy lekarza.

- Posłuchaj mnie - przerwałem jej. - Nie obchodzi mnie ten artykuł. Robię to dla niego, jest moim przyjacielem.

Blanka chwyciła mnie za rękę. Spojrzałem jej w oczy. W tej chwili zrozumiałem, że ona nadal mnie kocha. I że najprawdopodobniej nigdy nie przestała.

Już miałem ją pocałować, gdy usłyszeliśmy dwa wystrzały.

- Nie! Rojo? - ryknąłem i podniosłem się szybko. Utykając, spróbowałem pobiec w kierunku, z którego rozległy się strzały.

Widok, który ukazał się moim oczom, miał niewiele wspólnego z typowym szczęśliwym finałem kina akcji. Jakies dwadzieścia metrów dalej, w kałuży krwi leżał Hämäläinen. Obok niego, tyłem do mnie, stał mężczyzna w kapeluszu, spod którego wystawały mleczno-białe włosy. W ręce trzymał broń i mówił coś do kłęczącego przed nim Rojo.

Uniosłem pistolet, wycelowałem w oddaloną postać i przygotowałem się do strzału.

Policjant zauważył mnie. Zanim pociągnąłem za spust, podniosł ręce w geście ostrzeżenia.

- Nie rób tego! Nie strzelaj! - krzyknął.

Mężczyzna w kapeluszu obrócił się i wystrzelił pierwszy w moją stronę. Kula trafiła w jeden ze stalowych kontenerów. Zanim zdążyłem jakoś zareagować, albinos zniknął w gąszczu krętych korytarzy.

- Rojo! - wrzasnąłem, biegnąc w jego stronę.

Blanka była tuż za mną. Inspektor podniósł się z kolan i chwycił za głowę. Nie był zachwycony moim widokiem.

- Co ty, kurwa, tutaj robisz? - wykrzyknął po raz kolejny tego dnia.

Na jego twarzy zobaczyłem dziwny grymas.

- To ten człowiek... - Blanka wskazała na wsiadającego do łodzi faceta w kapeluszu. Przy nabrzeżu czekał na niego jego wspólnik. Bez pośpiechu uruchomili silnik i zniknęli na morzu.

- Co się dzieje, Rojo? - zapytałem zdezorientowany i wskazałem na zwłoki Fina. - No co? Powiedz mi wreszcie, do cholery!

- Uspokój się, Gabriel... - nakazał protekcjonalnym tonem.

Zdesperowany, wycelowałem w niego broń.

- Gabriel! Uspokój się! - krzyknęła Blanka.

- Wiesz co? Mam tego dosyć, naprawdę... Mam po dziurki w nosie twoich historii, tych wszystkich kłamstw - wykrzyczałem. - Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi, którzy mówią sobie prawdę, a przynajmniej rozmawiają o tym co ważne, ale myliłem się co do ciebie... Francisco, Joaquín czy jak tam masz na imię ... Mam tego dosyć! Kim był ten człowiek? Kim ty jesteś? Jak do tego wszystkiego doszło, „panie władzo”?

Inspektor przeczeszał ręką włosy.

- Odłóż broń.

- To właśnie masz zamiar zrobić? Olać mnie? To mnie olej!

- Wyjaśnię ci wszystko w swoim czasie - powiedział łagodnie. Wyczerpany opuściłem broń. Wszyscy wiedzieli, że i tak nie wystrzelę. - A teraz oddaj mi to. To nie twoja broń, nas tutaj nie było, a przynajmniej was dwójga. Zrozumiano?

Inspektor zabrał mi broń, przetań bluzką i włożył pistolet do ręki Fina. Potem sprawdził godzinę.

- I co? Znowu masz, co chciałeś, prawda?

- Nie bądź melodramatyczny, Caballero.

- Pewnego dnia cię zdemaskują - odpowiedziałem. - Nie możesz iść przez całe życie...

- Opuść sobie, dobrze? - przerwał mi. - Masz już swoją historię. Więc lepiej zbieraj się i jedź do szpitala, bo ta rana naprawdę słabo wygląda.

- Nie.

- Chcesz, żebym cię aresztował? - zapytał. - Ten kaprys może cię sporo kosztować.

- Robię to wszystko dla twojej żony - ciągnąłem dalej. - Ten facet coś wie, dlatego zostawił cię przy życiu.

- Nie zaczynaj...

- Hämäläinen był członkiem organizacji, prawda? - zapytałem. Inspektor potwierdził ruchem głowy. - Jednym z trybików w maszynie... Wiedziałeś, że zaprowadzi cię wyżej.

- Zaczynasz zmierzać w dobrym kierunku - przyznał niechętnie. - Afera narkotykowa kończy się wraz z Hämäläinenem, przynajmniej na razie. Macie go na talerzu... czego jeszcze chcecie? To była jedna z największych operacji z udziałem niewielu funkcjonariuszy. Miała być tajna i pozostać niezauważona zarówno przez władze, jak i media. I niech tak zostanie. Możesz użyć tych informacji, ale nie cytuj mnie.

- Jaka jest twoja rola w tym wszystkim? - zapytała Blanka. - Bardzo się zaangażowałeś.

- Po prostu wykonuję swoją pracę - odparł. - Sytuacja stawała się coraz bardziej skomplikowana i napięta, więc musiałem tym razem zachować się w mniej konwencjonalny sposób i udać, że odchodzę z zawodu. Tak naprawdę utrata pracy to ostatnia rzecz, której teraz pragnę.

- To wszystko było jedną wielką farsą - zarzuciłem mu.

- Ależ skąd!

- Kim jesteś, Rojo?

- Przecież wiesz.

- Nie, nie wiem - zirytowałem się. - I wątpię bym kiedykolwiek się dowiedział.

- Więc zamknij w końcu dziób - rozkazał. - Zbliży się patrol, ktoś musiał ich już zawiadomić... Uciekajcie tamtędy. Droga zaprowadzi was do bramy dla ciężarówek.

Otworzyłem usta, ale zanim zdążyłem zadać kolejne pytanie, Blanka chwyciła mnie za ramię i pociągnęła za sobą.

- Jeszcze się spotkamy, inspektorze - westchnąłem i spojrzałem na Blankę. Wyraz jej twarzy mówił wszystko - wyrażał rezygnację i rozczarowanie. Idealna puenta wydarzeń tego dnia.



Historia dobiegła końca. Lokalna prasa zrobiła z Heikkiego Hämäläinena bohatera, a jego śmierć zakończyła krwawe lato, które wywołało panikę wśród turystów i hotelarzy na śródziemnomorskim wybrzeżu. Miasto Palma de Mallorca stało się sceną operacji antynarkotykowej prowadzonej przez wydziały zabójstw i agencję antynarkotykową Wspólnoty Walencji. Prasa doniosła wkrótce, że siły porządkowe podążały tropem Heikkiego Hämäläinena i jego organizacji od wielu miesięcy. Główny inspektor policji w Palmie ogłosił koniec mrocznego epizodu i sukces operacji uwieńczonej aresztowaniem ponad 50 mężczyzn, którzy tworzyli siatkę przestępczą działającą na wybrzeżu iberyjskim. Skonfiskowano tonę narkotyków w tabletkach oraz pół miliona euro. Podobno największą partię towaru znaleziono w porcie morskim w Palmie po zawiadomieniu, które złożył ścigający przywódcę organizacji inspektor wydziału zabójstw w Alicante.

Siły policji przyjęły tę wiadomość z radością, wyczerpane wakacyjnymi wydarzeniami. Nie było żadnej wzmianki o mężczyźnie w kapeluszu.

Blanka postanowiła zostać na wybrzeżu jeszcze kilka dni, aby uporządkować sobie w głowie różne sprawy. Postanowiliśmy, że po powrocie na Półwysep zrobimy sobie krótką przerwę i wrócimy do tamtego małego nadmorskiego hotelu, aby przewinąć taśmę w naszym filmie do momentu, w którym Blanka się budzi i oboje jesteśmy szczęśliwi.

Rana na udzie szczęśliwie okazała się tylko powierzchownym zadrapaniem. Lekarz powiedział, że byłoby o wiele gorzej, gdyby pocisk naruszył mięśnie, ale teraz nie było powodu do zmartwień. Miałem jedynie lekkie trudności z chodzeniem. Niewątpliwie był to jeden z powodów, dla których Blanka przedłużyła swój pobyt.

- Co się z tobą dzieje, Gabriel? - zagadnęła mnie. - Wyglądasz na zmartwionego. To przez pieniądze?

- Nie, to jest teraz najmniej ważne - odpowiedziałem. - Wkurza mnie to, że straciliśmy szansę na reportaż roku. I wiesz, nie mogę przestać myśleć o Rojo.

- Powiedziałam ci, żebyś dał sobie z nim spokój. Ten gliniarz to socjopata.

- Być może, Blanka, ale on wie, że jego żona żyje. To o nią w tym wszystkim chodzi.

- A jakie to ma znaczenie? - zapytała zrezygnowana. - Jeśli będziesz ciągle wściubiał nos w nie swoje sprawy, to w końcu naprawdę źle skończysz. Bardzo źle.

- To ważne, Blanka, i to bardzo.

- Jesteś dziennikarzem, Gabriel - ciągnęła. - A nie policjantem. Masz opowiadać historie, a nie uczestniczyć w nich.

- Moja praca polega na mówieniu prawdy.

- A może świat nie chce wiedzieć niektórych rzeczy?

Rzuciłem jej posępne spojrzenie, ale w głębi duszy wiedziałem, że Blanka chciała mi jedynie uświadomić, że istnieją sprawy ważniejsze niż praca.

– Wybacz – odparłem.

Siedzieliśmy na tarasie w restauracji hotelowej. Niebo pociemniało, nastąpiła noc i zaczęła wiać delikatna morska bryza. Ogromny księżyc świecił jak odbijająca się w wodzie latarnia morska, wskazując drogę ku nieskończoności.

– Co podać? – spytała kelnerka, która właśnie do nas podeszła.

Zamówiliśmy czerwone krewetki, świeże grillowane kalmary, deskę z małżami na parze i dwa kieliszki schłodzonego białego wina.

Na drugim końcu tarasu zauważyłem mężczyznę z charakterystycznymi blond włosami. Wyglądał na cudzoziemca. Poczujęm, jak skacze mi ciśnienie. Zacząłem bezwiednie kopać nogą w stół.

– Spokojnie – powiedziała Blanka i wzięła mnie za rękę – to zbieg okoliczności. Psychika czasami płata nam figle...

Mężczyzna siedzący w towarzystwie długowłosej, zielonookiej blondynki w białej sukni rozejrzał się po sali i ponownie utkwiał wzrok w swojej towarzyszce.

– Masz rację – zgodziłem się. – To wszystko przez ten cholerny stres, potrzebuję wina.

Kelnerka wróciła z naszym zamówieniem. Próbowałem zabawiać Blankę, aby nie zauważyła, że ciągle przyglądam się temu facetowi. On również mnie obserwował.

– Co zamierzasz teraz zrobić? – zapytała.

– A jak myślisz?

– Przestań. Chcę wiedzieć, jakie masz plany.

– Prawdę mówiąc, nie zastanawiałem się nad tym... – zawiesiłem głos. – Kolejne lato dobiega końca... W każdym razie teraz, kiedy wszystko się skończyło, chyba odzyskam swoje mieszkanie i wrócę do normalności.

– Powinieneś odpocząć.

– Przydałoby się.

– Moglibyśmy spróbować od nowa – rzuciła nerwowo drżącym głosem. Poraził mnie jasny promień. Wiedziałem tylko jej oczy i usta. – Myślałam o tym, Gabriel. Nie żebym zapomniała, co zrobiłeś, ale wiem, że część winy leży po mojej stronie. Wiem, że relacje z moją rodziną też się do tego przyczyniły. Nie wiedziałam jak się zachować i przyznaję, że wymagałam od ciebie zbyt wiele.

– Ale, Blanka...

Dotknęła mojej ręki.

– Gabriel... – powiedziała łagodnie. – Tylko nie palnij jakiejś głupoty.

– Ale jedna rzecz...

– Ja cię kocham. Nie mogę już dłużej z tym walczyć – dodała. – Ostatnie kilka dni tylko mnie w tym utwierdziły.

Uścisnąłem jej rękę, przysunąłem się bliżej, delikatnie objąłem ją za szyję i z całej siły pocałowałem w usta. To był długi, delikatny pocałunek – najlepszy w moim życiu.

W jej słodkich oczach pojawiła się łza i spłynęła po policzku.

– Zamówię dobrze schłodzoną cavę do pokoju – szepnąłem.

Uśmiechnęła się.

– Zwariowałeś, Gabriel.

– Na twoim punkcie, Blanco Desastres.

Kiedy zawołałem kelnerkę, stolik na drugim końcu tarasu był pusty, ale to już mnie nie obchodziło.

Wróciliśmy do pokoju i piliśmy spragnieni, to szepcząc, to milcząc, to przyglądając się sobie ukradkiem. W radiu śpiewał dla nas Sam Cooke. Koniec cavy obwieścił początek naszej wspólnej nocy. Tuliliśmy się, całowaliśmy i pospiesznie zdzieraliśmy z siebie ubranie, pragnąc nadrobić stracony czas. Pocałunki zamieniły się w czułości, serdeczności zaś – w namiętność. Podniosłem Blankę i oparłem ją o okno. Temperatura rosła, a my kochaliśmy się jak dzikie zwierzęta.

Potem Blanka zasnęła na mojej piersi przykryta hotelowym prześcieradłem.



Obudził mnie dzwonek telefonu. Otworzyłem lewe oko i zobaczyłem gwiazdy. Była jeszcze noc. Lekki wiatr poruszał delikatnie białymi zasłonami. Spojrzałem na szafkę nocną i zobaczyłem rozświetlony ekran aparatu.

Miałem nową wiadomość.

„Przejdźmy się. Czekam na zewnątrz”.

Wiadomość została wysłana z nieznanego mi, zagranicznego numeru. Nie wróżyło to nic dobrego, ale ciekawość zwyciężyła. Szybko się ubrałem i po cichu, nie budząc Blanki, wyszedłem z pokoju. Gdy przechodziłem obok recepcji, ochroniarz na chwilę oderwał zaspany wzrok od telewizora i spojrzał na mnie.

– Idę do samochodu – szepnąłem. – Zapomniałem czegoś.

Facet skinął głową i wrócił na spotkanie z Morfeuszem.

Z końcem sierpnia od morza ciągnęło chłodem, który przenikał mnie na wskroś. Zacząłem trząść się z zimna. Nadawca wiadomości nie podał miejsca spotkania, więc obszedłem budynek i ruszyłem w kierunku plaży.

W blasku księżycy zobaczyłem sylwetkę mężczyzny palącego papierosa. Z daleka nie widziałem kto to, ale nie wyglądał na groźnego.

Mężczyzna skrył twarz pod czapką.

Powłóczyłem nogami, trząśłem się z zimna i strachu.

– Czego chcesz? – zapytałem, cały drżąc, kiedy podszedłem blisko niego.

– Już miałem się stąd zbierać – odpowiedział. To był Rojo. – Jest cholernie zimno, a ty nie odpisałeś na wiadomość.

– Jak mnie znalazłeś?

– Zadajesz pytania, jakbyś mnie w ogóle nie znał, Gabriel – zwrócił się do mnie po imieniu. – Jestem gliną i przede mną się nie ukryjesz, idioto.

– Podśłuchiwałeś też rozmowy?

– Nie po to tu przyszedłem. Słuchaj... – zaczął, zmieniając temat. – Chyba jestem ci winien wyjaśnienie.

– Na to nigdy nie jest za późno.

– Daj mi swój telefon... – poprosił. Podałem mu komórkę. Inspektor wziął ją i wrzucił do morza.

– Co ty, kurwa, robisz, człowieku? – krzyknąłem oburzony.

– Kupisz sobie nowy – powiedział. – Z iPhone’a nie da się wyjąć baterii. Nie miałem innego wyjścia.

– Mogłem zostawić go w pokoju.

– No trudno. Przejdźmy się.

Lodowate fale podchodziły do naszych stóp. Z plaży El Pinet prowadziło wiele ścieżek w różnych kierunkach. Inspektor skierował się ku światłom portu Santa Pola. Szliśmy obok siebie w milczeniu, aż okryła nas zupełna ciemność i znaleźliśmy się poza zasięgiem czyjegokolwiek wzroku.

– Będę się streszczał – oświadczył – nie przerywaj mi. Potem będziesz mógł zadać mi tyle tych swoich impertynenckich pytań, ile tylko sobie życzysz.

– Chciałeś powiedzieć: trafnych pytań.

– Wiem dobrze, co mówię... Po tobie można spodziewać się tylko jednego – zaśmiał się. – To, co ci powiem, jest poufne. Jak się wygadasz komukolwiek, znajdę cię i wyrwę język. A jeśli ja tego nie zrobię, to oni to zrobią.

– Oni?

– Nie zaczynaj – rzucił ostrzegawczo. – Zrobimy to po mojemu. Opowiem ci prawdziwą historię, a ty napiszesz swoją, która będzie cię żywić przez kolejny rok, podczas którego będziesz mógł pisać o tym, o której godzinie zachodzi słońce. Zrozumiano?

– Ale, Rojo...

– Tak czy nie? Tylko o to cię proszę – przerwał mi. – Stawka jest wysoka, Gabriel, a ja nie chcę narażać cię na niebezpieczeństwo.

– Dlaczego miałbym ci tym razem uwierzyć?

Inspektor chwycił mnie mocno za ramię i spojrzał mi prosto w oczy.

– Bo mówię ci, kurwa, szczerą prawdę, Gabriel.

– Dobra. Poddaję się.

Policjant wziął głęboki oddech i spojrzał pod nogi.

– Przypuszczam, że ostatnimi dniami zastanawiałeś się, kim był ten albinos, prawda? Nie musisz mi tego mówić, ja to wiem... Widzisz, będzie trudno poskładać to wszystko do kupy, ale zrobię wszystko co w mojej mocy – powiedział i wziął oddech. Zamilkł i przez kilka sekund wpatrywał się w majaczące na horyzoncie światło. To chyba była latarnia morska na wyspie Tabarca. – Pamiętasz, jak ci opowiadałem o moim pobycie w Finlandii?

– Tak.

- Kłamałem - wyjaśnił. - No cóż, może niezupełnie. Nie powiedziałem ci jednak, że moja żona była członkiem piramidy, która wabiła swoje ofiary nie tylko seminariami z automotywacji i duchowymi kursami New Age, ale również narkotykami. Popadła w depresję, zaczęła brać i robić rzeczy zupełnie do niej niepodobne... W tej właśnie części cię okłamałem. Byłem pochłonięty pracą i dopiero po jakimś czasie zauważyłem, że bardzo schudła i zaczęła źle traktować nasze dziecko. Wysłałem więc małego do dziadków, ponieważ tam mu nic nie groziło, a jej...

- Co się stało?

- Zakreśliłem kurek - powiedział zawstydzony. - Jeśli miała umrzeć, to prędzej z głodu niż z zaćpania się. Abstynencja to jedyny sposób, aby z tego wyjść. Jednak to zdało się na nic. Zawsze udawało jej się zdobyć pieniądze. Zawsze znalazła coś do sprzedania na kolejną dawkę...

- Heroina? Kokaina?

- Nie, nie była zwykłą ćpunką - wyjaśnił. Sięgnął do kieszeni i wyjął pigułkę. Na pigułce był rysunek kraba. - Brała to. Coś ci to przypomina?

- Wygląda znajomo.

- To, co teraz sprzedają, to zmodyfikowana wersja - wyjaśnił policjant - silniejsza. Widziałeś, co robi z ludźmi... A to, co brała moja żona, to był halucynogen, którego używali podczas terapii.

- Więc twoja żona nie zniknęła z powodu sekty...?

- I tak, i nie - powiedział. - Nie zrozum mnie źle. Jedno pchnęło ją ku drugiemu. Ta ulotka, którą przyniosła, to było dla zamydlenia mi oczu. Fizycznie była wrakiem, ale to właśnie sekta złamała jej ducha.

- Przykro mi, ale nie widzę związku.

- To bardzo proste - kontynuował. - Moja żona miała depresję, zanim zaczęła brać, a halucynogen sprawiał, że wchodziła w stan transu.

- Robiła głupoty lub coś w tym stylu?

- Nie - zaprzeczył. - To działa trochę jak konopie indyjskie, które po spożyciu blokują fale beta w mózgu i wzmacniają fale alfa i theta. Fale beta to te, które pomagają ci zachować czujność i uwagę. Ta substancja przyspiesza pojawienie się fal theta i pomaga wejść w stan hipnozy. Powiedzmy, że otwierają drzwi do twojej podświadomości, pomagają osiągnąć Nirwanę i tego typu podobne bzdury.

- A potem?

- Wystarczy zażywać kolejne dawki do momentu, aż przenikną do organizmu na stałe - powiedział z rezygnacją. - Nazywają to metodą Ludovica - terapią szokową zainspirowaną filmem „Mechaniczna Pomarańcza”. Jej celem miało być stworzenie armii złodziei.

- Teraz wszystko zaczyna się układać w całość...

- Zrozumiałem, że moja żona była zamieszana w coś poważniejszego, gdy znalazłem torebkę tabletek w kredensie. Wiedziałem również, że używała mojego komputera i sprzedawała raporty, które miałem na nim zapisane.

- Myślałem, że jesteś bardziej ostrożny.

- I tak było - powiedział. - To skomplikowane, wiesz? A zwłaszcza, gdy chodzi o twoją żonę... Są sprawy, które wolisz przemilczeć.

- Co się wydarzyło później?

- Śledziłem ją - Nie była geniuszem komputerowym, ale ktoś nauczył ją, jak ma postępować. Nie korzystała z poczty elektronicznej, wszystko zapisywała na karcie pamięci. Usuwała historię wyszukiwania przy każdym wylogowaniu się z sieci. Nie miałem wyboru i musiałem poprosić o przesledzenie adresów IP, do których uzyskiwała dostęp, a także rozmów telefonicznych oraz SMS-ów.

- Od kogo?

- To nie ma znaczenia.

- I pewnie niczego nie znalazłeś, co?

- Nie - odparł z nutką żalu. - Wyprowadziła się z domu. Zostawiła taką samą wiadomość jak inne kobiety, ale wiedziałem, że kłamię. Ciągnąłem śledztwo dalej, ale wszystko wskazywało na domniemaną śmierć.

- Po tak krótkim czasie?

- W tym przypadku, tak - powiedział. - Z punktu widzenia prawa wystarczy, że minie jeden rok.

- Nieźle.

- Nie chciałem tego zaakceptować. Rozmawiałem ze specami od narkotyków i kryminologii. Wykonałem trochę telefonów i nalegałem, aby znaleźli źródło pochodzenia pigułek. Minęło ponad siedem miesięcy, zanim

zdobyliśmy cokolwiek. Oczywiście wszystko nieoficjalnie, a kosztowało mnie to sporo zachodu i pieniędzy.

- I śledztwo doprowadziło cię do albinosa...?

- Nie tak od razu - pokręcił głową. - Pierwsze ślady zaprowadziły mnie do Rosji. Najwyraźniej w Matce Rosji funkcjonował rynek narkotyków syntetycznych. Nic dziwnego... Rozprowadzali je przez sąsiednie kraje Europy Wschodniej. Byłem rozzarowany. Przypominało to szukanie igły w stogu siana. Nie wiem, czy dałbym radę, gdybym musiał jechać aż do Rosji. Ale wtedy coś się wydarzyło.

Rozmowa urwała się. Doszliśmy do ujścia małego strumienia, który wpadał do morza.

- Tędy - wskazał kierunek i obszedł strugę. Szedłem za nim w ciemności, stąpając po piasku, który zapadał się pod naszymi nogami. - Mój kontakt z grupy roboczej Guardia Civil dał mi cynk. Interpol znalazł miejsce pobytu pewnego brutalnego handlarza narkotyków z Ukrainy. Znaleźli go w mieszkaniu na przedmieściach Turku, w którym mieściło się tajne laboratorium.

- Zupełnie jak w filmie.

- Wolałbyś nie wiedzieć, na jakim świecie żyjesz - dodał. - Pavel Danilko został zastrzelony, gdy oglądał Top Gun i pił margaritę rozwalony na kanapie. W laboratorium znaleziono dyski twarde z zawartością, która łączyła go z siecią alfonsów stręczących kobiety w całej Europie. Wideo, które widziałeś to był amatorski montaż na podstawie tych znalezionych materiałów.

- Jak je zdobyłeś?

- Teoria Milgrama - odpowiedział. - I tak dotarłem do Finlandii. Wziąłem urlop, nauczyłem się fińskiego - dziwny język - i ruszyłem do Helsinek na dalsze poszukiwania.

- I tam poznałeś Violetę.

- Wreszcie zaczynasz łapać - spojrzał na mnie. - Zmieniłem tożsamość oraz wygląd. Zacząłem rozpytywać po barach i szybko mnie namierzali... Dotarcie do Violety zajęło kilka miesięcy. Nawiązaliśmy powierzchowną przyjaźń.

- Spałeś z nią?

- To było konieczne - wyznał. Po pewnym czasie zacząłem wypytywać ją o możliwość pracy, a ona wyjaśniła, jak działa organizacja. Między nią a szefami była tylko jedna osoba. Ktoś, czyjej twarzy nawet nie widziała. Nie znała też żadnych nazwisk.

- Co jeszcze?

- To wszystko - odpowiedział. - Zdałem sobie sprawę, że pracuję dla ludzi, którzy porwali moją żonę i nie mogłem nic z tym zrobić. Mieli swoje komórki w różnych krajach. Poza tym Skandynawowie nie rzucają się w oczy na naszym wybrzeżu... Turyści z pieniędzmi, nieszkodliwi i spokojni. Kto by ich podejrzewał? Prędzej posądzimy ludzi biednych, innej wiary lub uchodźców niż posiadaczy pełnego portfela. Taka jest brutalna rzeczywistość.

- Jak się to wszystko skończyło?

- Organizacje o strukturze piramidy mają tendencje do szybkiej demoralizacji - wyjaśnił. - Bractwo Milczenia to tylko jeden z wielu przykładów. Violeta uwiła sobie gniazdko w naszym mieście, rozwijając działalność na wzór biznesu, który prowadziła z sektą. I nie była to jedyna taka organizacja. Jestem przekonany, że jest ich więcej w innych regionach Europy. Ogólnie rzecz biorąc, ich ofiarami stają się osoby, które rozzarowała religia i na które łatwo wpłynąć. Walka z nimi jest bez sensu. Wątpię, aby udało się nam wyeliminować je wszystkie. Mnożą się jak grzyby po deszczu.

- A co twoja żona ma wspólnego z Finem?

- Już zbliżam się do końca - odparł. - Przez dłuższy czas nie dowiedziałem się niczego nowego i zeszłego lata uznałem sprawę za przegraną. Jednak na wiadomość o pierwszych zgonach spowodowanych dopalaczami i po pojawieniu się tego szczególnego symbolu, zjeżyły mi się włosy na głowie.

- Nie tylko tobie.

- Nie przerywaj mi, to poważna sprawa - dodał. - Poruszyłem niebo i ziemię, aby odzyskać pliki, ale po raz kolejny ktoś mnie uprzedził.

- Heikki Hämäläinen.

- Szybko dowiedziałem się, że to on był szefem Violety.

- Przypadek?

- Nazywaj to jak chcesz.

- Ale wydawało mi się, że Hämäläinen był rozczarowany - powiedziałem. Przypomniały mi się jego własne słowa. - Szukał zemsty, społecznego uznania.

- Tak i chciał się też wzbogacić - dodał inspektor. - Zakup jachtu i willi z basenem w Palmie na jego nazwisko wywołał alarm, i to nie tylko we mnie. Byłem idiotą, że nie połapałem się wcześniej.

- W kwestii...?

- Hämäläinen mieszkał na Balearach od wielu lat. Jego zadaniem była korupcja regionalnej policji i przejście całkowitej kontroli. To samo zrobił we Wspólnocie Walenckiej.

- Twoi ludzie przekupieni? Kto by się spodziewał.

- To nic nowego - oznajmił. - Łącznik, któremu moja żona przekazywała informacje, był jednocześnie moim kolegą z brygady. Siedzimy w tym gównie od ponad dekady, Caballero.

- Chwilka... - przerwałem. - Czyli twoja żona została skaptowana przez piramidę zajmującą się handlem ludźmi i narkotykami?

- Tak.

- I ta sieć powstała w Finlandii?

- Nie jestem do końca pewien - zawahał się - ale wygląda na to, że stamtąd jest finansowana.

- Wow, tego jest już... dużo.

- Żyjemy w chlewie.

- Jeszcze jedna rzecz.

- Strzelaj.

- Kim był tamten mężczyzna?

- Albinos?

- Tak.

- Nazywa się Arvid Eettafel, znany jako Hydra.

- Hydra z Lery.

- Raczej z Tampere - poprawił mnie. - Był szefem Hämäläinena, którego nazywano Krabem, bo czerwił się, gdy pił wódkę. Ci ludzie posługują się pseudonimami i wydaje im się, że są przez to groźniejsi. Skandynawowie lubują się w tym. W każdym razie on wie, gdzie jest moja żona i wiedział, że Hämäläinen go zdradza. Darował mi życie, Gabriel, a ja dałem mu coś w zamian. Pociągnięcie za spust nic by go nie kosztowało, ale tego nie zrobił.

- Co teraz zamierzasz?

- Nie wiem... - zawiesił na chwilę głos. - Myślałem o odejściu z policji. Biorąc pod uwagę, że dużo wiem, sądzę, że za niedługo ześlą mnie na Syberię lub zamienią moje życie w piekło. Sprawa jest mocno podejrzana, a ci ludzie mają większe wpływy, niż nam się wydaje.

- Przestań gadać głupoty, Rojo.

- Ależ mówię ci prawdę.

- Myślisz, że przekupili nadinspektora?

- Kto wie...? - zamyślił się, chlapiąc butem w wodzie. - Ale wiem na pewno, że zarówno ty, jak i ja, potrzebujemy odpocząć.

- Zeszłego lata mówiłeś to samo.

- Mówiłem ci, żebyś trzymał się z daleka, nic ponadto.

- Pewnie będziesz szukał jej dalej?

- Mojej Elsy? - po raz pierwszy wymówił jej imię. - Może.

- Tylko nie opowiadaj bajek.

- Elsa obchodzi mnie tyle, co zeszłoroczny śnieg - podniósł głos - bo po niej pewnie pozostanie tylko wspomnienie. Policja nie jest doskonała i wcale nie działa tak, jak to pokazują w kinie. Nie jest w stanie poradzić sobie z tym wszystkim.

- Jesteś romantykiem, Rojo.

- Jestem swoim doświadczeniem, niczym więcej.

- Rozumiem - przygnębiło mnie to, co powiedział. Rojo, podobnie jak Hämäläinen, mścił się za pozbawienie go szansy na normalne życie. A tak bardzo chciał je odzyskać. - Teraz, kiedy już wszystko mi opowiedziałeś, przypuszczam, że dowiem się, co mam mówić mediom, prawda?

- Liczę na ciebie, Caballero.

Rojo opracował plan doskonały. Wiedział dużo. Wiedział, co wydarzy się w najbliższych dniach. Dostałem jasne wytyczne. Inspektor wręczył mi pendrive z nieoficjalnymi dokumentami, które miały zaszkodzić rządzącej elicie i miejscowej klasie politycznej. Policjant podał mi na tacy nie tylko numery zagranicznych

rachunków bankowych, wykaz nieruchomości kupionych na słupa i nagrania z podsłuchanych rozmów telefonicznych, ale także plan działań opatrzone datami realizacji.

Przedstawienie czas zacząć.

Z Rojo rozstałem się na hotelowym parkingu przy plaży. Wsiadł do swojej czarnej Toyoty Rav, opuścił szybę i uściśnął mi rękę na pożegnanie.

- Dbaj o siebie i unikaj kłopotów – polecił mi. – Mam nadzieję, że przez jakiś czas się nie zobaczymy.

- Dokąd pojedziesz?

- Nie mam pojęcia – odpowiedział. – Może zanim rozpocznie się przedstawienie, spędzę kilka dni w Fuerteventura, z moim synem. No wiesz, ojciec i syn. Żeby zapomnieć o tym wszystkim i ukryć się przed pieprzoną prasą. Potem znajdę tego drania, tego możesz być pewny... A ty?

Pomyślałem o Blance, która wciąż spała w pokoju.

- Jestem w skomplikowanym momencie mojego życia – wyznałem – jedne drzwi się otwierają, a inne jeszcze się nie zamknęły.

- Przestań pleść bzdury i dramatyzować – przerwał mi. – Ta dziewczyna, Blanka, szaleje za tobą. Dała ci drugą szansę. Musi cię kochać, więc nie spieprz tego.

- Jak cię złapać?

- Nawet nie próbuj. Sam cię znajdę.

- Dziwny masz charakter.

- To dla naszego bezpieczeństwa, nic więcej.

Uruchomił samochód.

- Jedno pytanie...

- Ostatnie – powiedział.

- Jakie jest twoje prawdziwe imię?

Inspektor zachichotał.

Wrzucił jedynekę i odjechał.



Wróciłem do pokoju i podłączyłam pendrive do laptopa Blanki. Przez kilka godzin przeglądałem jego zawartość. Dowody były kompromitujące i dotyczyły tak wielu osób, że zastanawiałem się, czy wszystkiego natychmiast nie skasować i uznać, że cała ta sytuacja w ogóle nie miała miejsca. Z drugiej strony jednak pomyślałem, że to właśnie takie historie dawały szansę prawdziwemu dziennikarstwu. Tylko czy ja byłem prawdziwym dziennikarzem? To pytanie nie dawało mi spokoju.

Opozycja uformowała potężny spisek, który miał obalić burmistrza i odsunąć od władzy jego ludzi. Niemniej jednak żaden z polityków grzejących tyłki w ławach Kortezów nie był bez winy. Załączona dokumentacja nie tylko pograżała klasę rządzącą, ale także członków aparatu państwowego: policję, sędziów, urzędników, dyrektorów szkół, profesorów. Wielki wstyd. Rojo poprosił mnie o ostrożność i zastrzegł sobie anonimowość. Nigdy nie będę mógł ujawnić źródła informacji, ponieważ zagrożiliby to nie tylko życiu jego, ale także tych, którzy pozyskali informacje z państwowych systemów bezpieczeństwa. Popijając jedną kawę za drugą i analizując dane, odkryłem coś, co dało mi mnóstwo satysfakcji: Cañete znalazł się w ślepych zaułku, gazeta bankrutowała i utrzymywała się na powierzchni tylko dzięki dotacjom partii rządzącej. Wtedy zrozumiałem, dlaczego unikał dziennikarskiego śledztwa, a szum medialny, który starał się wywoływać miał jedynie stanowić przykrywkę dla skandali.

Ten pendrive zarobi na dobre wakacje – na mój zasłużony odpoczynek.

Kiedy Blanka się obudziła, Rojo był już daleko, a ja byłem gotów do pakowania walizek.

- Dzień dobry, piękna – przywitałem się.

- Cześć, przystojniaku – zamruczała, przeciągając się półnaga w łóżku. – Co robisz na nogach tak wcześnie? Opuściłeś mnie.

- Lubię wstawać ze wschodem słońca. Dobrze spałaś?

- Nawet lepiej.

- Mamy piękny dzień.

Blanka spojrzała na biurko i swój komputer.

- Używasz mojego laptopa? – zapytała zaintrygowana.

- Mam coś dla ciebie, Blanka – powiedziałem z entuzjazmem i pokazałem jej pendrive.



Lato dobiegło końca, plaże opustoszały, a spakowani plażowicze stanęli w niekończących się kolejkach na lotnisku. Zająłem się mieszkaniem, do którego sąd w końcu oddał mi klucze, a Blanka rozpoczęła pracę nad artykułem. Postępowaliśmy zgodnie ze wskazówkami inspektora. Blanka знаła się na swojej robocie.

Na podstawie informacji od Rojo napisaliśmy reportaż i sprzedaliśmy za sporą sumę jednej z najważniejszych gazet o krajowym zasięgu. Tak jak obiecałem, odmówiłem podpisu pod artykułem i pozwoliłem, aby cały splendor spłynął na Blankę. Czerostronicowa kronika bez reklam zadziałała jak trampolina i Blanka wróciła do stolicy z kontraktem pod pachą. Nie będzie już jednym z wielu redaktorów, ale dołączy do grupy korespondentów i reporterów pracujących dla telewizji i prasy drukowanej. Jeśli chodzi o nas, to zaczęliśmy nowy rozdział w naszym życiu. Postanowiliśmy dać sobie drugą szansę. Blanka wróciła do Madrytu, a ja postanowiłem zostać jeszcze kilka tygodni, aby uporządkować myśli, odpocząć i skończyć książkę o zbrodniach i dziewczynach w bikini.

Kiedy powieść była gotowa, Blanka udostępniła ją kilku swoim znajomym i moje dzieło zwróciło uwagę znanego wydawcy powieści kryminalnych. W parę dni od wysłania poprawionego przez Blankę rękopisu, zadzwonił telefon. Rozmowa z mężczyzną o zachrypniętym i głębokim głosie zakończyła się umową o papierowe wydanie. Udało się. To była moja pierwsza książka.

Zacząłem się pojawiać w lokalnych gazetach i modnych magazynach. Przydzielony mi agent szybko zorganizował kilka audycji radiowych i telewizyjnych, w których opowiadałem o moim powakacyjnym sukcesie, który zrobił furorę w kraju. We wszystkich wywiadach pytano mnie, czy jest to autobiografia z elementami fikcji, a ja, tchórz, odpowiadałem, że nie. Jednocześnie myślałem o Rojo i o historiach, które od niego zapożyczyłem, aby uwiarygodnić mojego bohatera.

Pod koniec września zdecydowałem się na kolejny krok i postanowiłem pojechać do Madrytu, aby stawić czoła rzeczywistości. Weekendy zrobiły się krótkie, a tydzień roboczy trwał wiecznie. Nie wystarczały mi już wieczorne rozmowy telefoniczne z Blanką i zmęczony, nie zastanawiając się długo, kupiłem bilet na szybkobieżny pociąg AVE z Alicante prosto do Madrytu. W ciągu godziny dotarłem na stację Atocha.

Blanka przeprowadziła się do nowego mieszkania w pobliżu starej rzeźni, którą przekształcono w inkubator start-upów. Na pierwszy rzut oka dzielnica nie spodobała mi się. Zadzwoniłem do Blanki, ale nie odbierała, więc postanowiłem włączyć tryb wólczykija i poczekać na nią w kawiarni w pobliżu mieszkania. Wszedłem do środka, postawiłem torbę przy barze i zamówiłem kawę. Moją uwagę zwrócił starszy wiekiem kelner ubrany w białą koszulę i czarną muchę.

– Halo, młody człowieku, mam pytanie – powiedział. – Nie jest pan przypadkiem pisarzem?

– Jasne, pisarzy nam nie brakuje...

Mężczyzna wyciągnął spod lady moją powieść.

– Faktycznie. Podobny do tego na zdjęciu – powiedział do siebie, przyglądając się ostatniej stronie okładki. – Od lat żadna książka nie wciągnęła mnie tak bardzo. Mogę prosić o autograf?

– Z przyjemnością – odpowiedziałem i wyjąłem długopis. W telewizji leciał program o gangu dilerów narkotykowych ze wschodu Europy. – Jak panu na imię?

– Manuel... Śniadanie na koszt firmy – oznajmił. Postawił przede mną małą szklanekę i napełnił ją JB. – To też, oczywiście.

– Dziękuję bardzo.

– Nie ma za co. Co pana tu sprowadza? – zainteresował się.

– Moja dziewczyna mieszka w budynku obok.

– Ciekawe... – podrapał się po brodzie. – Dobre wieści. Mam nadzieję, że będę pana częściej widywał.

– Być może tak się stanie.

– W tym barze – zaczął – wiele lat temu jadał śniadania Camilo José Cela.

– Interesujące. Pisarz, który szuka inspiracji w swojej dzielnicy – dodałem.

– Cóż, gdybym panu opowiedział, młody człowieku, o tym, co się tutaj dzieło...

– Zawsze uważałem, że kelnerzy to najlepsi obserwatorzy – powiedziałem z uznaniem. – Nawet lepsi niż my, pisarze.

– Może i ja napiszę książkę, a przy okazji dorobię sobie do emerytury.

Słyszałem to zdanie setki razy.

– A tymczasem, proszę pozwolić, że zapłacę.

- Nie - zaprotestował i chwycił mnie za rękę. - To zaszczyt... A teraz, to i owszem, proszę, obiecaj, że będziesz pisał dalej.

- Na pewno - potwierdziłem. - A pan niech mi obieca, że będą chcieli mnie dalej wydawać.

Czterdzieści minut później przyjechała Blanka i zabrała mnie do mieszkania, prawie nowego apartamentu, z pięknym widokiem i dużym salonem. Po wejściu, bez wdawania się w dłuższą rozmowę, poprowadziła mnie do sypialni. Całowaliśmy się i kochaliśmy z taką samą namiętnością jak tamtej letniej nocy nad morzem, miesiąc wcześniej.

Gdy wyszliśmy spod prysznica, Blanka położyła na stoliku nocnym klucze.

- To twoja para.

Minęło kilka miesięcy, a ja przywykłem do stolicy, do jej barów, do gapienia się na ładne dziewczyny. Poczułem sympatię do tutejszego folkloru, do miejscowych tradycji i funkcjonowania miasta, które (jak wszyscy mi mówili i nikt się nie pomylił) faktycznie nigdy nie spało. Życie uśmiechało się do nas obojga. Blanka pracowała non stop, a ja miałem czas na włączenie się po ulicy Princesa i jej koktajlowych barach, w słońcu, które raziło nawet przez okulary.

W pewien zimny marcowy poranek, gdy szykowałem kawę w kuchni przed pracą nad kolejnym artykułem do lokalnego dziennika, usłyszałem dźwięk przychodzącej poczty w moim komputerze.

Pomyślałem, że to pewnie jeden z tych śmieciowych maili, ale ostatecznie (jak zawsze) ciekawość zwyciężyła.

Postawiłem kawiarkę na palniku i podszedłem do komputera.

To była wiadomość od nieznanego nadawcy.

Policzyłem do trzech i otworzyłem pocztę.

Poczułem jak ciśnienie mi rośnie, a ręka drży. Kliknąłem.

- To niemożliwe - wymamrotałem. - A więc ci się udało...

To była wiadomość od Rojo.

Znalazł miejsce pobytu swojej żony.



Czytelniku!

Spodobała Ci się ta książka?

Śledź dalsze losy Gabriela Caballero na stronie:

www.autornia.com

Dziękuję!

O autorze



Pablo Poveda (Cartagena, 1989) jest dziennikarzem, pisarzem i zwolennikiem prostego życia. Jako nastolatek grał w zespole rockowym, wydał jeden singiel i nagrał kilka piosenek. Wystąpił w MTV i pisano o nim w gazetach. Później odłożył gitarę i skupił się na pisaniu powieści w stylu Raymonda Chandlera, Ernesta Hemingwaya i Patrycji Highsmith.

Pisząc kolejne książki podróżował po Europie. Przeznaczenie zaprowadziło go do wielu miejsc, ale ostatecznie trafił do Warszawy. Pewnej nocy przechadzał się samotnie po ulicy, śnieg prószył, a on wsłuchiwał się w dobiegający z baru utwór Coltrane'a. Wtedy postanowił porzucić konwencjonalną pracę w biurze, by zrealizować swoje literackie marzenia.

Pięć lat później wrócił do Hiszpanii. Zamieszkał na krótko na śródziemnomorskim wybrzeżu Costa Blanca. W 2018 r. przeprowadził się do stolicy Hiszpanii. W tym samym roku wydał powieść „El Doble” (Sobowtór), dzięki której został finalistą Nagrody Literackiej Amazon. Ten sam sukces powtórzył w 2000 r. z książką „El Misterio de la Familia Fonseca” (Tajemnica rodziny Fonseca).

Napisał ponad dwadzieścia powieści, a tysiące egzemplarzy jego książek znalazły czytelników w Hiszpanii oraz Ameryce Łacińskiej i rozstawiło jego kryminalne historie na całym świecie. Jest minimalistą i w podróż zabiera tylko niezbędne rzeczy: dobrą książkę, notatnik i okulary słoneczne.

Fascynuje go Morze Śródziemne, tajemnice, ludzie, którzy mają coś wartościowego do powiedzenia, podrzędne drogi, tradycyjne bary i kluby jazzowe Madrytu.

Tłumaczenia książek na język polski:

[Gabriel Caballero](#)

[Wyspa ciszy](#)

[Klątwa Kraba](#)